


HORROR

HARRY ADAM KNIGHT

MACKI



PHANTOM  PRESS

HARRY ADAM KNIGHT

MACKI

Przełożyła
Beata Brynkiewicz

**PHANTOM PRESS INTERNATIONAL
GDAŃSK 1991**

Tytuł oryginału
Tendrils

Redaktor
Roman Głowinkowski

Opracowanie graficzne
Maria Dylis

Projekt okładki
Radosław Dylis

Copyright © Simon Ian Childer 1986

© Copyright for the Polish edition
by Phantom Press International, Gdańsk 1991

Wydanie I

ISBN 83-85276-71-8

Skład: „COMP TEKST” Spółka z o.o.

Rozdział 1

Poniedziałek, 12.14

Świder nieubłaganie przedzierał się przez warstwę wapienia na głębokości czterystu trzydziestu stóp. Diamentowe wiertło miało za kilka minut natrafić na materię niepodobną do czegokolwiek, napotkanego dotąd na ziemi.

Zgromadzeni na powierzchni dookoła sprzętu inżynierowie i robotnicy absolutnie nie przewidywali co znajduje się głęboko pod ich stopami. Nikt nie miał nawet mglistego przeczucia niebezpieczeństwa, nikt nie podejrzewał, że za czterdzieści pięć minut większość z nich będzie już martwa.

Jadąc wąską szosą, Anna Thomas rozglądała się po okolicy. Nic się tu nie zmieniło. Pola, drzewa, żywopłoty i dom wyglądały ciepło i bogato w promieniach letniego słońca. Dzikie kwiaty porastały pobocza z nieregularnością tak wystudiowaną, że mogłaby być zaplanowana przez ludzi z Rady Artystycznej.

Samochód Anny znajdował się mniej więcej w środku kawkady, jadącej przez Hertfordshire. Przez otwarte okna wpadał chłodny powiew. Słyszała dźwięk przebijający się przez hałas betlesów i deux chevauxów, z których głównie składał się konwój, dźwięk rozwiewający wrażenie sielankowego spokoju otaczającej ich okolicy.

Był to ryk świdra.

- Ale huk! - rzucił z tyłu Gavin. - Zanim zatrują ziemię, zatruwają nawet fale dźwiękowe. To kamyczek powodujący lawinę.

Anna uśmiechnęła się. Było to ukochane powiedzonko Gavina. Niemal wszystko było dla niego kamyczkiem powodującym lawinę - czy to kolejny przykład biurokratycznej bezmyślności, czy też złamanie kolejnego podstawowego prawa.

Ona i Clive, jej mąż, używali tego zwrotu jako stałego dowcipu, którym nieraz zażegnawali kłótnie. Nieczęsto, gdyż nie bywało ku temu zbyt wielu okazji. Jej małżeństwo dotarło już chyba po wcześniejszych burzliwych latach do cichej, spokojnej przystani. Modliła się, by tak pozostało na zawsze.

Żałowała, że Clive nie jest razem z nimi. Popierał ich walkę, lecz praca w Centralnym Laboratorium Epidemiologicznym w Colindale stawiała go przy tego typu sprawach w trudnej sytuacji. Zwłaszcza teraz, od kiedy, jego stosunki z szefem były napięte. Musiała więc zadowolić się towarzystwem Gavina i jego obecnej, niestety, nieco tępawej, przyjaciółki Poppy.

- Gavin ma rację - błyskawicznie przytaknęła Poppy. - To rzeczywiście jest kamyczek powodujący lawinę.

Stwierdziła to tak, jakby stare, znane powiedzonko Gavina zostało wyryte na kamiennych tablicach Dekalogu.

Anna odgarnęła z czoła kosmyk blond włosów, lecz wiatr rozwał je ponownie.

- To więcej niż kamyczek, to wręcz miazdzący wszystko gład, zepchnięty na nas przez rząd.

Gavin przechylił się o oparcie fotela.

- To bez znaczenia! - krzyknął jej prosto w ucho. - Ludzie mogą powstrzymać wszystko. W naszej demokracji nawet rząd musi słuchać prawdziwego sprzeciwu. Możemy dosłownie ustawić się w rzędzie i kazać odliczyć. Patrz, ilu się nas tu zebrało w tak krótkim czasie!

Skinęła głową. Wyruszenie konwoju wywarło na niej naprawdę wielkie wrażenie, nie tylko z powodu liczby samochodów, ale także przekroju społecznego uczestników. Wśród przeróżnych tańszych wozów były tam także dwa BMW, porsche a nawet jeden rolls. Gdy zobaczyła to porsche, odwołała wszystko, co do tej pory myślała o właścicielach takich samochodów.

- Czy pomyślałaś o zawiadomieniu lokalnych gazet? - spytała Gavina.

- On nie zapomniałby o tym, no nie? - stwierdziła Poppy opiekuńczo.

- Będzie tam jakiś reporter - odpowiedział. - Chociaż nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że firma prowadząca roboty jest własnością tego samego konsorcjum, co nasz lokalny szmatławiec.

- Patrzcie! - krzyk Poppy był tak nieoczekiwany, że Anna aż podskoczyła.

Wskazywała palcem na szczyt wieży wiertniczej, widocznej już znad szeregu drzew. Przed sobą widzieli druciane ogrodzenie, okalające miejsce robót. Samochody z kawalkady zjechały na jedną stronę drogi, a ludzie wysiadali i rozwijali transparenty.

Anna usłyszała nagły łomot za plecami, coś ciężkiego upadło na podłogę.

- Co to? - spytała.

- Nic, nic - odparł Gavin.

Powiedział to tak zdawkowo, aż obejrzała się, by spojrzeć.

- Czy to nożyce do cięcia drutu? - spytała zaskoczona. Odwróciła się w samą porę, by nie wpaść na tył rollsa, który właśnie zawracał. Kierowca wykazywał typowy dla bogaczy, zupełny brak ostrożności.

- Cholera - mruknęła, wymijając go i lądując na poboczu w trawie.

- No, niezupełnie nożyce do cięcia drutu - powiedział Gavin. - Nie zdążyłem zorganizować żadnych, więc pożyczylem od ojca sekator.

Zmroziła go wzrokiem wysiadając z samochodu.

- To miała być pokojowa demonstracja. Wiesz, co myślę o takich rzeczach.

- Nno, tak... - Gavin usiłował schować za plecami potwornie zardzewiały sekator.

- Brama i tak jest otwarta - głos Poppy był pełen rozczarowania.

Miała rację. Jakiś facet w kombinezonie i elegancko ubrana kobieta wpuszczali protestujących do środka.

„No, no” - pomyślała Anna - „NIREX przejmuje inicjatywę. Punkt dla nich. Ale czegokolwiek by nie zrobili, aby rozładować napięcie, ciągły łoskot świdra przypominał każdemu, co się tu działo naprawdę”.

I właśnie wtedy świder zatrzymał się.

- Jezu, a to co znowu? - wrzasnął Grainger, gdy wszystko nagle ucichło.

- A bo ja wiem... - mruknął Furnoval, jego asystent, podnosząc wzrok znad papierów na biurku.

- Więc idź i sprawdź, do cholery! - warknął Grainger. Spojrzał na Furnovala wychodzącego z rozwalającego się baraku i ze smutkiem pomyślał, że jego przeznaczeniem jest

praca z ignorantami. I biurokratami. Ci byli jeszcze gorsi. Jako kierownik budowy był odpowiedzialny za nieprzekraczanie wyznaczonego budżetu, co oznaczało, że każdego dnia miał do czynienia z urzędasami z NIREX-u domagającymi się więcej, niż im się należało za pieniądze zapłacone jego firmie.

A przede wszystkim nie potrzebował tej baby, rzeczniczki prasowej, pani Maybury, która nalegała, aby ci wszyscy demonstrowujący hippisi zostali wpuszczeni na teren robót, niczym wycieczka z przewodnikiem...

A teraz na domiar złego, świder został wyłączony bez jego zezwolenia. Szlag by to trafił.

Przejechał palcami po łysinie i przez chwilę zmarszczki przecinające jego czoło wygładziły się. Gdy cofnął rękę, zmarszczki powróciły, a twarz poczerwieniała ze złości. Wpastrywał się niecierpliwie w okno i dostrzegł Furnoala ciągnącego ze sobą po błotnistym trawniku Yatesa, geologa spółki. Wszystkie maszyny nadal stały w bezruchu, chociaż widział ludzi kręcących się koło nich.

- I co? - spytał, kiedy przekroczyli próg.

- To bardzo ciekawe - długa, chłopięca twarz młodego geologa płonęła z podniecenia. - Przebiliśmy się przez warstwę wapienia i nagle wiertło nie natrafiło na prawie żaden opór. Zeszliśmy dziesięć stóp głębiej i dalej nic, więc zdecydowałem wstrzymać wiercenia.

- A, to pan, tak? - złowieszco zasyczał Grainger.

Nie dostrzegając tego, Yates skinął głową i kontynuował z podnieceniem.

- Nie mogę sobie wyobrazić, co to może być. Żaden z naszych przekrojów geologicznych nie wykazywał najmniejszego śladu takiej anomalii na tych terenach. Oceniałem, że skały

wapienne ciągną się jeszcze pięćdziesiąt do osiemdziesięciu stóp głębiej i dopiero wtedy dotrzemy do warstwy iłów...

- Może to jakaś mała soczewka gazu - zasugerował Grainger, mimo iż wiedział, że jest to praktycznie niemożliwe.

- Nie, nie. Nie w tym rejonie - stwierdził Yates.

- A może to ten przekłęty strumień, o którym ci demon-stranci ciągle gadają? - spytał. Kilku starszych farmerów twierdziło, że w okolicy płynęła podziemna rzeka, co protestujący wykorzystywali jako argument przeciwko zakopywaniu odpadów radioaktywnych w tym miejscu.

- Już panu mówiłem - sztywno odparł geolog. - Nie ma żadnego podziemnego strumienia w okolicy, daję głowę. To wymysł jakiegoś zwariowanego różdżkarza. Zaklinają się, że znajdują podziemne rzeki w dowolnym rejonie.

- No więc, co to jest? - Grainger domagał się odpowiedzi.

- Wkrótce będziemy wiedzieli. Kazałem George'owi przynieść trochę próbek.

Grainger westchnął i spojrział na zegarek. Już mieli opóźnienie.

- Czy nie możemy wiercić dalej bez względu na to, co to jest, aby dotrzeć do iłów? Według pana, nie powinny być zbyt głęboko?

Yates miał nieszczęśliwą minę.

- Nie radziłbym. Naukowcy z NIREX-u wpadną w furję.

- Żaden z nich jeszcze się nie pojawił - zaznaczył Furnoval. - Co z oczu, to i z serca. Nie będą wiedzieli.

- Wszystkie dane dotyczące procesu wiercenia są notowane - cierpliwie tłumaczył Yates. - Jeżeli odkryją, że

zaniedbaliśmy sprawdzenie szczeliny w warstwie wapienia, powiedzą, że nie dotrzyaliśmy warunków kontraktu i po prostu wyniosą się bez słowa, zostawiając naszej firmie zapłacenie za wszystko. A może proponujesz sfalszowanie zapisów? - ton jego głosu wyraźnie świadczył, że nie weźmie w tym udziału.

Grainger był przygotowany na sfalszowanie wszystkiego, gdyby oznaczało to ukończenie prac w terminie, lecz wiedział, że Yates upierałby się przy swoim, więc westchnął tylko:

- No dobra. Dajcie znać, jak się czegoś dowiecie. Wtedy...

Przerwał, bo drzwi baraku otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich rzeczniczka NIREX-u, gestem zachęcając go do wyjścia.

- Proszę przyjść i poznać tych cudownych ludzi! - zaszczepiała. - Właśnie ich zapewniałam, że absolutnie nie mają się czego obawiać. Jeżeli to miejsce nada się na składowanie odpadów, przywrócimy powierzchni całe jej piękno i nikt się nawet nie domyśli, że tu kiedykolwiek byliśmy!

Grainger zmrugał oczy i zacisnął zęby. Nic nie powie dział, lecz Yates znając stosunek szefa do niej, szybko stanął między nimi i powiedział:

- Może najpierw ja z nim pogadam. Rzucę im parę naukowych terminów itd. - Odwrócił się do Graingera.

- Zgadza się pan?

Ten chrząknięciem wyraził zgodę. Gdy geolog z kobietą wyszli, wałał pięściami w biurko, aż kartki papieru sfrunęły na podłogę.

- Ci z NIREX-u muszą mieć nie po kolei w głowie! - warczał. - Zatrudnić taką głupią krowę!

- No, nie wiem - powiedział Furanovał. - Słyszałem, że całkiem nieźle sobie radzi na zebraniach organizacji kobiecych. Wszystkie te stare jędze jedzą jej z ręki, zanim jeszcze skończy przemawiać. Trzymałyby odpady radioaktywne we własnych lodówkach, gdyby im tylko kazała...

- Z tą bandą tak łatwo jej nie pójdzie - mruknął Grainger.
- Raczej odgryzą jej rękę, niż będą z niej jedli.

Na samą myśl o tym twarz mu się rozpozodziła .

- Pogada pan z nimi?

Znowu westchnął.

- Chyba tak. Wygląda na to, że będzie to jeden z tych dni. Nic nie poradzę. Trzeba zacisnąć zęby, iść naprzód i mieć nadzieję, że to koniec niespodzianek na dzisiaj.

Rozdział 2

Poniedziałek, 12.35

„Ale bałagan” - pomyślała Anna, rozejrzawszy się wokół. Teren wyglądał jak zwykły plac budowy, z wieżą wiertniczą tkwiącą pośrodku. Wszystko można przywrócić do dawnego stanu, chociaż...

Stała na czele grupy zgromadzonej przed drzwiami przenośnego baraku z tabliczką „RA. Grainger - kierownik budowy”.

Kobieta, która przyprowadziła ich spod bramy, właśnie przedstawiła wysokiego, młodego chudzielca, który wychynął z baraku.

- ... nasz geolog, pan Yates, będzie szczęśliwy, mogąc wyjaśnić wszystkie niepokojące państwa sprawy związane z naszymi pracami.

- W zasadzie... - doktor Yates uśmiechnął się z zakłopotaniem - moim zadaniem jest zapewnienie państwa, że wszystkie ustanowione prawnie zasady bezpieczeństwa są przez nas rygorystycznie przestrzegane. Gwarantuję, że żadne odpady nie zostaną tu złożone, jeżeli nie będziemy pewni w stu procentach, że nie istnieje groźba wycieku.

- Ale dlaczego tutaj? - padło pytanie z tłumu. - Dlaczego nie gdzie indziej?

- Na przykład pod Westminsterem! - wrzasnął inny.

Anna nie była pewna, czy to nie głos Gavina.

Geolog uśmiechnął się ze smutkiem i powiedział;

- Powodem, dla którego wybraliśmy to miejsce na przyszły magazyn głębinowy, są wyniki badań geologicznych. Wykazują, że pokłady skał magmowych zalegają tu wyjątkowo płytko, blisko powierzchni. Skały magmowe, jeśli państwo nie wiecie, są formowane bezpośrednio w płynnym jądrze Ziemi - na przykład bazalt lub granit - i są idealne do naszych celów. Przy skałach osadowych, jak glina czy piaskowiec, istnieje prawdopodobieństwo filtracji, lecz gdy magazyn będzie wycięty w skałach magmowych, poniżej poziomu ujęć wodnych, nie ma żadnej szansy na jakikolwiek wyciek.

- Przepraszam, doktorze Yates - przerwał głos z tłumu, tym razem z pewnością należący do Gavina - lecz zgodnie z raportem Państwowej Komisji Ochrony Radiologicznej nie jest możliwe przechowywanie odpadów radioaktywnych na zawsze odizolowanych od środowiska naturalnego. Teraz lub później nastąpi wyciek...”

Zanim ten zdążył odpowiedzieć, z baraku wynurzył się drugi mężczyzna. Wydawał się być szerszy niż drzwi i sprawiać wrażenie, że pociągnie barak za sobą, gdyby drzwi nie zrezygnowały z nierównej walki i nie wypuściły go na zewnątrz.

Yates, z odcieniem ulgi w głosie, oznajmił:

- Oto jest pan Grainger, nadzorujący całą operację. Może zechce pan zwrócić się z tym pytaniem do niego...

- Czy on może zagwarantować, że materiały, które zamierzacie tu zakopać nigdy nie spowodują wycieku? - dopytywał się szyderczo Gavin.

Grainger spojrział na niego.

- Nie, nie mogę - oświadczył z nieoczekiwaną szczerością. - Nie jestem naukowcem. Wiem tylko tyle, ile oni mi powiedzą, a twierdzą, że odpady, które zamierzamy tu zakopać,

pozostaną radioaktywne przez tysiące lat i że ta metoda pozbycia się ich jest obecnie najlepsza. Jeżeli za tysiąc lat rzeczywiście nastąpi wyciek - cóż, będą musieli wymyślić coś nowego. Na razie nie ma innego wyboru, muszą zaakceptować to, co naukowcy mi mówią i zgodnie z tym prowadzić moją robotę.

- To nie wystarczy! - krzyknął ktoś.

Kierownik budowy wzruszył ramionami.

- Może pan to przyjąć lub nie. Orowadzenie was po placu i odpowiadanie na pytania - no wszystko, co doktor Yates i ja możemy zrobić. Ale proszę nie pytać nas o sprawy ustalone przez rząd lub komisje międzynarodowe. O to pytajcie swoich posłów do parlamentu. Jeżeli nie ma już więcej pytań, chodźmy rzucić okiem na urządzenia wiertnicze.

Przeszedł przez tłum rozstępujący się przed nim, niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem. Po kilkusekundowym wahaniu protestujący posłusznie poszli za nim.

Anna, wbrew sobie samej, była zachwycona Graingerem. Z pewnością nie był ekspertem od prowadzenia rozmów ze społeczeństwem, lecz, to, co powiedział, było o wiele skuteczniejsze niż układne głupstwa kobiety z NIREX-u, którą chyba całkiem zatkało.

Już chciała pójść za wszystkimi, gdy ktoś pociągnął ją za rękaw. Był to Gavin i jakiś młody facet z kolczykiem i w obcisłym swetrze. W tym upale!

- Anno, to jest Paul z lokalnego dziennika. Chciałby przedstawić punkt widzenia kogoś piszącego książki dla dzieciaków, które będą musiały dorastać w świecie skażonym promieniotwórczo.

- Wygląda na to, że już ten kawałek napisał sam i wcale

mnie nie potrzebuje. Idę obejrzyć urządzenia i posłuchać, o czym mówią...

Reporter podszedł bliżej.

- Pani Thomas, jest pani naszą sławą i znakomitością. Gdybym mógł zacytować pani słowa, pomogłoby to mojemu artykułowi.

- Paul, nie obraż się, ale zanim zacznę wygłaszać uświęcone opinie, chcę wiedzieć o czym mówię i dlaczego powinienam być tam i słuchać pana Graingera, a nie ciebie. Gdy poznam bliżej fakty, pogadamy... - odeszła z uśmiechem, dołączając do reszty.

Gdy podeszła do dźwigu, Grainger właśnie wyjaśniał:

- ... próbka została wydobyta za pomocą wiertła sondującego. W przeciwieństwie do normalnych wiertel, które rozbijają całą skałę w trakcie wiercenia, wiertło sondujące jest puste w środku. Może wyciąć mały kawałek skały i przechować go...

- Czy natrafiliście na wodę? - spytała jedna z protestujących, wskazując na błoto dookoła otworu.

- Nie. Oto, co nazywamy „błotem”. To mieszanina wody i różnych chemikaliów, które pompujemy w głąb szybu. Działa, między innymi jako chłodziwo...

Przerwał, gdyż podbiegł do niego Furnoval, trzymając coś w wyciągniętej dłoni.

- Szefie, niech pan spojrzy na to!

Grainger zerknął podejrzliwie na substancję w ręku asystenta i zmarszczył brwi.

- Wygląda jak kłaki ze starego materaca. Skąd to?

- Pochodzi z tej próbki, szefie.

Spojrzał na Furnovala z niedowierzaniem.

- Zwariowałeś!

- Przysięgam panu! - zaklinał się Furnoval. - Mam świadków. A w baraku badawczym jest tego więcej. Wszystko pochodzi z tej jednej próbki.

- Pokaż! - Yates niemal wyrwał próbkę asystentowi z ręki. Podniósł ją i wtedy Anna po raz pierwszy zobaczyła to dokładnie. Wyglądało jak kłęb delikatnych, sprężystych włókien. Było obrzydliwie żółte.

- No, co to jest, do diabła?! - burknął zirytowany Grainger.

Yates miał mocno zakłopotaną minę.

- Nie wiem...eee...coś jakby sierść - mamrotał.

- Może natrafiliście na jakieś skamieniałe zwierzę... - zasugerował głos z tłumu.

Grainger spojrzał na Yatesa.

- Czy to możliwe? Na głębokości prawie pięciuset stóp?

- Tak, oczywiście, ale... - Yates ciągle wpatrywał się we włókna. - Sierść nie zachowuje się na skamielinach... To nie może być sierść...

Anna przyglądała się żółtej, jedwabistej masie i nagle coś obudziło w niej stare wspomnienia. Coś z dzieciństwa, lecz pamięć uparcie odmawiała wydobycia tego z pokładów podświadomości.

- Pójdę zbadać to pod mikroskopem.

Grainger machnął ręką z obrzydzeniem.

- Rób, co chcesz. Zaczynamy wiercenie. Już dosyć czasu zmarnowaliśmy.

Yates wyglądał na nieszczęśliwego.

- Nie sądzi pan, że powinniśmy poczekać na wyniki analiz?

- A co za różnica? - burknął kierownik. - Jeżeli jest tam jakiś zdechły mamut czy coś innego to nie po to ryliśmy całe

pięćset stóp, żeby go wydobywać. Chcę wiedzieć, jak głęboko zalega to świństwo. Zaczynamy...

Odwrócił się do tłumu obserwatorów.

- Zamierzamy wznowić wiercenie. Prosimy państwa o pozostanie i przyjrzenie się, jeżeli będziecie w stanie znieść łoskot.

Dał znak i niemal natychmiast maszyna ożyła. Hałas był tak ogłuszający, że Anna zmuszona była zasłonić uszy rękami. Zauważyła, że większość ludzi postąpiła tak samo. Tylko niektórzy odeszli.

Patrzyła jak urzeczona na wirujący świder, zapadający w głąb szybu. W niecałą minutę wiertło zwolniło gwałtownie i było jasne nawet dla laików, że natrafiło wiele stóp pod ziemią na inną, twardszą substancję.

Zerknęła na Graingera. Stał obok operatora, posiwiąłego mężczyzny. Obaj z napięciem wpatrywali się w przyrządy pomiarowe.

Wtedy poczuła lekkie drżenie ziemi pod stopami.

Jednocześnie usłyszała głęboki, odległy grzmot, jakby niedaleko przejeżdżało metro.

Kolejną rzeczą, którą dostrzegła, był kawałek rury ze świ-dra - wylatujący w górę z wielką szybkością. Rozległ się donośny trzask, gdy z olbrzymią siłą przebił drewnianą obudowę dźwigu i wciąż wznosił się w górę.

Ku jej zdziwieniu, następna część rury wystrzeliła z szybu, a potem kolejna...

Stała jak sparaliżowana, mimo że Grainger gwałtownie machał rękami i wrzeszczał:

- Wracać, cofać się, uciekać, do cholery, uciekajcie!!!

Większość ludzi stała jednak jak ona, patrząc i nie rozumiejąc, co się właściwie dzieje. Dopiero, gdy pierwsza część

rury spadła niczym oszczep na landrovera zaparkowanego jakieś pięćdziesiąt stóp dalej, przebijając dach i tłukąc wszystkie szyby, ludzie ocknęli się z szoku.

Było już za późno.

Tuż za ostatnią częścią świdra ze środka szybu wytrysnął gejzer czarnego płynu; wystrzelił ponad dwadzieścia stóp w powietrze i rozprysnął się na wszystkie strony.

„Ropa.” - pomyślała Anna cofając się. - „Znaleźli ropę. O ironio losu!”

Lecz szybko zorientowała się, że nie była to ropa.

Ludzie ochlapani mazią natychmiast padali na ziemię, wiążąc się jak w ogniu. Ich krzyki były przerażające.

Już chciała biec na pomoc najbliższej ofierze; mężczyźnie, który miał całą głowę i ramiona pokryte cieczą, lecz zanim dobiegła, wyprzedziła ją młoda dziewczyna.

Zarzuciła mu na ramiona kurtkę próbując zetrzeć maź i prawie natychmiast zaczęła krzyczeć. Podniosła ręce, które zaczynały dymić. Anna widziała dokładnie dłonie dziewczyny pokrywane się bąblami i ciało odpadające od kości.

Już nie myślała o pomaganiu komukolwiek. Wciąż cofała się tyłem; zbyt przerażona by odwrócić się i uciekać w obawie, że maź ochłapie ją niespodziewanie w trakcie ucieczki. Krople padały blisko, lecz jak dotąd, nic się jej nie stało. Choć od dawna uważała się za osobę niewierzącą, zaczęła desperacko się modlić.

Spojrzała na otwór szybu. Gejzer zmniejszył się, lecz co chwila nowe erupcje bulgoczącej mazi ożywiały jeziorko gorącego błota. Znad szybu unosiły się kłęby dymu, a dźwig chwiały się, skrzypiąc złowieszczo. Nadwyreżony przez impet uderzających w niego rur, bliski był zawalenia.

Wtem, wśród chaosu i kłębow dymu, Annie wydało się, że widzi cienki, ciemny kształt wyrastający w górę z kurczącego się gejzeru. Wyglądał jak wielki wąż lub macka i przez sekundę zastygł w bezruchu. Tylko czubek poruszał się, jakby rozglądał się dookoła.

W tym momencie dźwig załamał się i runął w dół. Dziwny kształt zniknął, pozostawiając ją w niepewności, czy był tam naprawdę.

Ktoś biegł w jej kierunku. Była to kobieta z NIREX-u, lecz z powodu głębokich ran na twarzy nie można jej było rozpoznać. Biegła na oślep, z rozpostartymi ramionami, Anna widząc, że oczy kobiety były całkiem wypalone usunęła się jej z drogi.

Gejzer zniknął. Wciąż cofała się - wolno i ostrożnie, jakby w obawie, że jakikolwiek gwałtowny ruch spowoduje gejzer do ponownej erupcji. Nie mogła uwierzyć, że uniknęła opryskania cieczą. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że inni również uszli cało i tak jak ona uciekali z miejsca wypadku lub stali bezradnie, patrząc na ofiary.

Dostrzegła Graingera. Cudem nie ucierpiał, mimo że stał o wiele bliżej szybu niż ona. Chód ził między skręconymi ofiarami, bezskutecznie próbując złagodzić ich cierpienie, posypując ziemią popalone ciała. Nagle pochylił się i próbował podnieść jakąś kobietę.

Anna usłyszała jego przeraźliwy krzyk. Ciało kobiety dosłownie rozpadło się na kawałki niczym zgniły owoc. Grainger upuścił szczątki i zaczął histerycznie bić się w piersi.

Odwróciła się. Prawie upadła potykając się o ciało leżące tuż koło jej stóp. Od pasa w górę było jedną zwęgloną, dymiącą masą - widziała żebra i kości czaszki - ale para obwisłych

dżinsów z różowymi lampasami była aż nazbyt dobrze znajoma. „Biedna Poppy” - pomyślała, tak naprawdę zupełnie nie czując nic.

Obok Poppy leżało kolejne zwęglone ciało. Tylko zardzewiały sekator pozwalał ustalić tożsamość ofiary.

Serce Anny waliło, jakby chciało wyskoczyć z piersi, a ciałem wstrząsały dreszcze. Przez chwilę sądziła, że jednak maż opryskała ją także, ale uczucie to błyskawicznie minęło. Zastąpiło je otępienie, jakby dostała olbrzymią dawkę morfiny.

Szła przed siebie nie zwracając uwagi na jęki umierających. Zastanawiała się, co poda Fowlerom na kolację w przyszłą sobotę. Przedyskutuje to jeszcze z Clivem. Ostatecznie ta kolacja to jego pomysł...

Rozdział 3

Środa, godzina 9.40

- Jak tam Anna?

Clive Thomas podniósł wzrok znad elektronicznego mikroskopu i przymrużył oczy. Stał przy nim profesor Henry Mitchell, szef administracyjny laboratorium. Hipotetyczny wybuch legionellozy będzie musiał jeszcze trochę poczekać.

- Ciągłe w stanie lekkiego szoku, lecz jest znaczna poprawa. Dziękuję za troskę, Henry.

Mitchell oparł swój wielki tyłek o brzeg biurka.

- Dlaczego nie wezmiesz kilku dni wolnego? Byłem zdziwiony słysząc, że jesteś dziś w pracy, wzięwszy pod uwagę okoliczności.

- Anna zmusiła mnie do przyjścia. Powiedziała, że nie potrzebuje mojego krzątania się po domu i robienia setek szklanek niepotrzebnej herbaty. Podałem się. To wbrew pozorom bardzo żywotna dziewczyna. Lekarze przebadali ją od stóp do głów i zalecili odpoczynek. Telefon jest odwieszony, drzwi frontowe zamknięte, a ona sama nafaszerowana taką ilością środków uspokajających, że przytłumią nawet najgorsze wspomnienia.

Mitchell współczująco pokiwał głową.

- Straszny wypadek, straszny...

Urwał. Thomas doskonale wiedział, co teraz nastąpi. To zrozumiałe. Sam pewnie zrobiłby to samo.

W końcu padło oczekiwane pytanie:

- Hm, czy Anna opowiadała ci dokładnie, co tam właściwie zaszło?

- Nie powiedziała nic, o czym byś nie wiedział - zawód na twarzy Mitchella był prawie niedostrzegalny.

- Wszystko, co widziała, to erupcja z szybu czarnej cieczy podobnej do ropy. Tyle tylko, że działanie miała raczej jak kwas niż jak ropa. Z bliska wyglądem nie przypominała ropy. Ściekała z ofiar jak długie lepkie macki.

Profesor westchnął.

- Gdybyśmy tak mieli choć próbkę tej substancji... Umieram z ciekawości, co to mogło być.

- Cokolwiek to było, musiało być bardzo nietrwałe. Rozpad nastąpił bardzo szybko.

- Tak - zgodził się Mitchell. - Mikroślady nie zawierały niczego oprócz nieszkodliwych soli, azotanu potasu, itp.

- To sugeruje kwas.

- Ale jaki rodzaj kwasu może dać taki efekt? I jaki kwas działa jedynie na substancje organiczne? Żaden metalowy obiekt na miejscu wypadku nie ma nawet śladu uszkodzeń - Mitchell potrząsnął głową z zakłopotaniem.

- Cóż, cokolwiek to było, powinniśmy wkrótce otrzymać odpowiedź.

Thomas zmarszczył brwi.

- Jak to?

- Nie słyszałeś? Ministerstwo Ochrony Środowiska zamierza wznowić wiercenia w tym samym miejscu. Wszystko pod należytą ochroną oczywiście. Celem będzie zabezpieczenie próbek do analizy. Tylko w ten sposób zeznania świadków mogą być potwierdzone raz na zawsze.

Thomas drgnął. Czerwone, tłuste policzki szefa poczerwieniały jeszcze bardziej.

- Clive, nie chciałem sugerować, że Anna...
- W porządku - szybko przerwał Thomas. Rozumiem.

Mimo wszystko czuł się dotknięty reakcją naukowców NIREX-u i Ministerstwa Ochrony Środowiska z jaką przyjęli opowiadania ocalałych ludzi, w tym i Anny. Według naukowców i inżynierów rządowych to było po prostu niemożliwe. Taka substancja na Ziemi nie istniała. A fakt, że ani drobina tej ropopodobnej cieczy nie została znaleziona na miejscu wypadku, uzasadniał sceptycyzm oficjalnych opinii.

Wymyślono zatem wersję alternatywną - to demonstranci przy próbie sabotażu spowodowali eksplozję, zapewne przypadkowo. Wkrótce jednak urzędnicy zostali zmuszeni do odrzucenia tej wersji. Kilkoro ocalałych członków ekipy wiertniczej opowiedziało tę samą historię. Wtedy też znaleziono resztki dziwnych soli i sceptycy nie mieli wyboru. Musieli przyznać, że jednak coś wytrysnęło z szybu. Ale, oczywiście, ciągle mieli wątpliwości do wersji wydarzeń podanej przez świadków.

Mitchell zwłóknął się z biurka i z zakłopotaniem stwierdził:

- Takie sprawy zwykle ciągną się latami. Ale przynajmniej do czasu, kiedy zakończy się oficjalne dochodzenie, Anna powinna już całkowicie wrócić do siebie.
- O, z pewnością! - Thomas z utęsknieniem czekał chwili, aż szef zabierze się i wyjdzie.

Jakby czytając w jego myślach Mitchell powiedział:

- No, muszę iść. Daj mi znać, jeśli tylko będę mógł w czymś pomóc. Bez skrępowania. I ucałuj ode mnie Annę.

- Dzięki Henry, oczywiście - Thomas obserwował, jak szef odpływa, kołysząc się na boki. Próbował nie wkurzyć się na niego. Wiedział, że standardowa formułka o pomocy była na pewno szczerą. Tyle tylko, że uważał szefa za faceta nie do zniesienia - zachowywał się tak, jakby nadal zarządzał instytutem, mimo że po przeniesieniu profesora Rentona z Porton Down do Colindale był jedynie figurantem.

Thomas zastanawiał się nad słowami Mitchella. Miał mieszane uczucia co do ponownych wierceń. Gdyby to od niego zależało, byłby ostrożniejszy. Dopóki nie ma rozeznania, czym dokładnie była substancja, zawsze istniało zagrożenie spowodowania jeszcze większej katastrofy.

Co prawda, cieszyłby się, gdyby podejrzenia ciągle wiszące nad głowami demonstrantów zostały definitywnie rozwiązane. Nie podobała mu się wczorajsza wizyta dwóch facetów z Wydziału Specjalnego. W jego własnym domu! Byli uprzedzająco grzeczni w stosunku do niego i Anny, a ich przesłuchanie było delikatniejsze od muśnięcia płatkami róży, lecz drażniło. Samo przypuszczenie, że jego żona brała udział w spisku, aby rozmyślnie spowodować eksplozję na placu wierceń, złościło go potwornie.

Wzruszył ramionami, wyprostował się i ponownie pochylił nad mikroskopem. Patrząc przez okular przypomniał sobie, co powiedziała mu wczoraj w nocy, tuż przed zaśnięciem. To było coś, o czym nie powiedział ludziom z Wydziału Specjalnego ani nie wspomniał Mitchellowi.

- Clive, pewnie pomyślisz, że zwariowałam - szepnęła - Jestem pewna, że widziałam coś, zanim dźwig się zawalił... coś żywego.

Opisała wtedy węzowaty kształt, wyrastający z otworu. Odpowiedział miękko, że musiało to być złudzenie optyczne - wyobraźnia pod wpływem szoku i zamieszania splątała jej figla.

- Mam nadzieję. - Były to jej ostatnie słowa przed zapadnięciem w sen wywołany środkami uspokajającymi; lecz długo leżał martwiąc się, że poniedziałkowe przejścia odbiły się na jej zdrowiu mocniej, niż początkowo przypuszczał.

Odsunął na bok wszystkie zmartwienia i usiłował skoncentrować się na swoim zadaniu. Już, już prawie pojmował sens badanego, chaotycznego mikroświata, gdy nagle zadzwonił telefon.

Klnąc pod nosem, podniósł słuchawkę.

- Thomas - warknął.
- Doktor Clive Thomas? - spytał kobiecy głos, którego nie był w stanie rozpoznać.

- Tak - odparł krótko.
- Tu Robin Carey z „Daily News”. Chciałabym...
- Jest pani reporterką - przerwał jej.
- Tak, chciałabym porozmawiać...

Przerwał jej znowu.

- Bardzo mi przykro, panno Carey, ale muszę skierować panią do naszego biura prasowego. Podadzą pani komunikat dotyczący sytuacji w hotelu „Majestic”. Obawiam się, że nie mogę udzielić pani odpowiedzi osobiście.

- Pan nie rozumie - powiedziała szybko. - Chciałabym porozmawiać z pańską żoną. O wypadku na budowie NIREX-U. Próbowałam dodzwonić się do państwa do domu, ale numer jest ciągle zajęty. Dzwonię więc do pana, aby spytać, jak mogłabym skontaktować się z żoną...

Thomas poczuł gwałtowne bicie serca. Zaciśnął dłoń na słuchawce, aż pobieleły mu palce.

- Nie, to absolutnie wykluczone - powiedział zimno, starając się zachować spokój. - Nie może pani rozmawiać z moją żoną.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza i w końcu kobieta stwierdziła:

- Proszę się nie obrazić, ale to chyba sprawa pańskiej żony, a nie pańska.

- Panno Carey, zapewniam panią, że pod żadnym pozorem moja żona nie zgodzi się na pytania pani czy jakiejś innej hieny prasowej. Przeszła piekło w poniedziałek. Sama ledwie uniknęła śmierci, widziała też potworną śmierć swoich przyjaciół. Wiem, że wy, dziennikarze, cierpicie na pełny zanik wyobraźni, jeżeli idzie o zrozumienie ludzkich uczuć, więc powtórzę to pani głośno i wyraźnie - żona potrzebuje teraz tylko ciszy i spokoju. Jasne?

- Doktorze...

- Żegnam - wycedził i rzucił słuchawkę.

Odetchnął głęboko i poczekał, aż serce wyrówna rytm. Czuł się nieco zażenowany, że dał się sprowokować do wygłoszenia takiej tyrady. Nie był w stanie się powstrzymać. Jeżeli darzył kogoś odrazą, to właśnie reporterów. Natrafiał na nich bezustannie w swojej pracy i każde spotkanie potwierdzało radykalnie jego opinię o nich. Sama myśl, że Anna mogłaby być prześladowana przez kogokolwiek z prasy, była nie do zniesienia.

W kwadrans później Mitchell z przepaszającą miną, woczył się do laboratorium znów przerywając mu robotę.

„Co znowu?” - zastanawiał się Thomas ze znużeniem.

- Coś nowego w sprawie legionistów? - zapytał Mitchell podchodząc do biurka.

Thomas potrząsnął głową.

- Sprawdziłem wszystkie próbki z systemu wentylacyjnego i wodociągów, ale nigdzie nawet śladu wirusa. Jeżeli to rzeczywiście wybuch legionellozy, wirus musi krążyć po hotelu roznoszony w całkiem nowy sposób. Osobiście sądzę, że to fałszywy alarm. Wszyscy członkowie konwencji, którzy zachorowali w hotelu, najprawdopodobniej ulegli zatruciu pokarmowemu, albo padli ofiarą wyjątkowo zjadliwego wirusa grypy.

- Pewnie masz rację. - Mitchell wydawał się błędzić myślami gdzieś daleko. - Ostatecznie nikt z nich nie umarł, a niektórzy wykazują pewne oznaki powrotu do zdrowia.

- Natychmiast napiszę raport.

- Mogę poczekać. Twoje ustne zapewnienie na razie w zupełności wystarczy.

Thomas drgnął. Takie postępowanie było sprzeczne ze standardową procedurą, a szef zazwyczaj był bardzo drobiazgowy.

- O co chodzi? - spytał podejrzliwie.

- Ano, mam inną, drobną robótkę dla ciebie - Mitchell uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Sprawa policyjna. Coś pokrzyżowało szyki tym sprytnym chłopaczkom. Myślą, że to coś dla nas.

- Nie podoba mi się to. - Kiedy policja wzywała ich na pomoc, automatycznie oznaczało to bałagan i kupę kłopotów.

- W czym rzecz?

Mitchell znowu uśmiechnął się niepewnie.

- Chyba będzie lepiej, jeżeli sam zobaczysz. Pierwsze wrażenie itd... Poza tym, to wszystko raczej dziwnie brzmi w prostej i jasnej angielszczyźnie - zachichotał nerwowo.

Thomas był zaintrygowany.

- A gdzie ta tajemnicza robótka, może to też sekret?

Mitchell wręczył mu kawałek papieru.

- Masz skontaktować się z nadinspektorem Langsfordem pod tym adresem. Lepiej się pośpiesz, to go tam teraz złapiesz.

Przeczytał adres. Było to w Harpenden, kilka mil na północ od St. Albans, gdzie mieszkał, co oznaczało, że będzie mógł wpaść do Anny w powrotnej drodze i zjeść z nią lunch. Oczywiście, jeżeli robótka nie zabierze mu zbyt wiele czasu.

- Na pewno nie możesz mi nic bliższego powiedzieć? - spytał.

Profesor skrzywił się, jakby powąchał coś nieświeżego.

- Już mówiłem, że będzie lepiej, jeżeli sam się zorientujesz.

W Harpenden musiał dwukrotnie pytać o drogę, zanim trafił pod właściwy adres. Był to mały domek na północnych peryferiach miasta. Dopiero, gdy zaparkował tuż za policyjnym samochodem stwierdził, że okolica wygląda znajomo. Przypomniawszy sobie, że parę lat temu razem z Anną rozważali możliwość kupna tutaj domu. Była wtedy w ciąży i szukali większego domu z dużym ogrodem. Ale później przyszło poronienie i wiadomość, że nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. To właśnie wtedy zaczęła pisać książki...

Spotkany w drzwiach konstabl zaprowadził go przez dom do ogrodu. Tam zobaczył Langsforda, potężnego faceta koło pięćdziesiątki. Byli z nim dwaj umundurowani policjanci, a także chudy, blady człowiek w cywilu.

W kącie ogrodu stała starsza kobieta, prawdopodobnie właścicielka domu. Stała tyłem do nich z lekko pochyloną głową, opierając się o grabie. Zdawała się ignorować intruzów w swoim ogródku...

- Cieszę się, że przyjechał pan tak szybko, doktorze - powiedział nadinspektor. - Mamy tu niezła łamigłówkę. Jestem bezradny i wcale nie wstydzę się do tego przyznać.

Facet, którego Thomas uważał za lekarza sądowego, wzgardliwie pociągnął nosem.

- To jakiś kawał, na pewno.

Clive był zaintrygowany. Nie zauważył nic szczególnego w tym zwyczajnym domku. Gdy rozejrzał się po ogrodzie, nie dostrzegł nawet śladu, że coś tu nie było w porządku. Żadnych ciał, żadnej krwi, żadnego dowodu, że coś się stało. O co więc cały rwetes?

Zaintrygowanie wzrosło, gdy nadinspektor poprowadził go przez ogród w kierunku starszej damy, która, jak Thomas uważał, nie drgnęła nawet od momentu jego przybycia. Nie odwróciła się nawet wtedy, gdy podeszli bliżej. „Głucha czy co” - pomyślał Thomas.

Kiedy kobieta nie poruszyła się, mimo że Langsford stanął tuż obok, Thomas zdał sobie sprawę, że coś tu jednak nie w porządku.

- Co się z nią dzieje? - zapytał podchodząc do niej z przodu.

- Nie żyje - odpowiedział spokojnie Langsford.

Thomas spojrział na niego ze zdziwieniem, a potem nachylił się, aby spojrzeć kobiecie w twarz. Oczy miała lekko przyknięte, jakby właśnie zasypiała, a usta uchylone jakby chciała zacząć mówić. Policzki były zaróżowione i, jak na kobietę

na oko siedemdziesięcioletnią, wyglądała zupełnie nieźle. Lecz z pewnością nie oddychała...

Mimo to, dalej tam stała opierając się o ogrodowe grabie, które mocno trzymała w dłoniach. Czy dostała ataku serca i zmarła, a ciało z jakiegoś zbiegu okoliczności utrzymywało wciąż pozycję pionową? Dziwaczny wypadek, faktycznie, ale nie usprawiedliwiający wzywania go tutaj...

Na próbę dotknął jej ramienia i doznał największego w swoim życiu szoku.

Mimo, że dotknięcie było leciutkie, kobieta zaczęła chwiać się na wszystkie strony i upadać, ale wolno - tak wolno, jakby nie ważyła ani grama. Nawet padając zachowała tę samą, sztywną pozycję i ciągle trzymała grabie. A gdy upadła, odbiła się kilkakrotnie od trawnika.

Thomas popatrzył na nią, a potem utkwił wzrok w policjancie i lekarzu. Langsford wzruszył ramionami i przeprasza- jąco stwierdził:

- Przytrafiło mi się to samo. Postawiliśmy ją znowu, aby mógł pan zobaczyć, jak ją znaleźliśmy.
- To kawał - wymamrotał lekarz.

Thomas przykląkł przy kobiecie i dotknął jej znowu.

Ciało kiwało się z boku na bok. Zupełnie jak wańka- wstańka. Nie mogła ważyć więcej niż kilka funtów.

Czubkiem palca dotknął nagiej skóry jej przedramienia i doznał kolejnego szoku. Skóra była sztywna, jakby skamienia- ła.

- Jest niczym pusta skorupa - powiedział ochryple.
- Co jej się stało?
- Mamy nadzieję, że właśnie pan nam to powie - stwier- dził nadinspektor.

Rozdział 4

Kiedy doktor Thomas rozłączył się, Robin Carey wykrzywiła się do telefonu i mruknęła:

- Wypchaj się, koleś!

Odwiesiła słuchawkę i zamyślona przygryzła koniuszek długopisu. Była atrakcyjną dwudziestoparoletnią kobietą o kędzierzawych, czarnych włosach, uderzająco niebieskich oczach i szczupłej, nieco chłopięcej figurze.

„W cholerę z nim” - pomyślała. Jak śmiał nazwać ją hieną! Zawsze była pełna względów dla uczuć ludzi, z którymi przeprowadzała wywiady, jeżeli przeżyli jakąś tragedię osobistą. Ale, na miłość Boską, żona Thomasa wyszła z tego prawie bez szwanku. Czemu więc jej mąż był aż tak rozdrażniony?

Odchyliła się na krzesło i rozejrzała po pokoju. W sekcji wiadomości huczało jak w ulu. Maszyny do pisania, dyktafony, telefony, teleksy, rozmowy i kłótnie stanowiły niezmiennie tło pracy, którą tak kochała. I trzeba było czegoś więcej, niż tylko jednego zgorzkniałego, aroganckiego doktora, aby ją zniechęcić.

Co teraz? Zerknęła na krótki spis nazwisk i podkreśliła na niebiesko nazwisko Anny Thomas. Szkoda. Kilka jej słów mogło naprawdę pomóc artykułowi. Była przecież z powodu swych książek dla dzieci, ważną postacią w okolicy, ale była także nieoficjalnym przywódcą protestujących.

Spojrzała na następne nazwisko. Yates. Geolog. Próbowwała skontaktować się z nim wcześniej, lecz w biurze poinformowano

ją, że jest na razie nieosiągalny. Próbowała dodzwonić się do domu, ale szybko odkryła, że przeprowadził się miesiąc temu, a nowy numer nie został nigdzie odnotowany.

Podniosła słuchawkę telefonu wewnętrznego i wcisnęła trzy guziczki.

- Larry? Robin. Znasz tego geologa, z którym rozmawiałeś w poniedziałek? Yates? Właśnie robię ogólne podsumowanie i chciałabym się z nim skontaktować. Masz może jego nowy numer do domu?

Larry McCoullough siedzący w przeciwnym końcu olbrzymiej sali odwrócił się i pomachał jej ręką.

- Tak, chyba mam - rzucił do słuchawki. - Czekaj, tylko sprawdzę w notesie...

Robin widziała, jak przerzuca kartki małego, czarnego notesu i usłyszała:

- Lepiej się pośpiesz z tą swoją opowieścią, dziecko. Słyszałem, że grube rybki zamierzają założyć szlaban na cały ten kram.

- Boże, nie! - krzyknęła. - Skąd to wiesz?

- Od mojego informatora w Ministerstwie Ochrony Środowiska. Wygląda na to, że rząd wcale nie cieszy się z tego, że sprawa nie chce umrzeć własną śmiercią. Wszędzie pełno plotek bez względu na oficjalną wersję, którą opublikowano.

- Ale jeżeli nałożą embargo informacyjne na sprawę, dopiero zaczną się plotki!

- Jasne, ale czy ci ludzie kiedykolwiek myśleli logicznie? Wiesz zresztą, jakie jest podejście rządu do problemu dyskrecji. Zakazaliby publikowania Honorowej Listy Królewskiej, gdyby tylko mogli...

- A to nastawia cię jeszcze bardziej podejrzliwie do wersji oficjalnej?

- Tak właśnie być, panienko, tak właśnie być.... jest tutaj...

Podał jej numer telefonu do Yatesa.

- Życzę szczęścia, maleństwo. Daj mi znać, jak dokopiesz się do czegoś ciekawego.

- Dam - obiecała. - Dzięki!

Rozłączyła się i wykręciła numer Yatesa. Telefon dzwonił i dzwonił, zanim go odebrano. Usłyszała lekko zaniepokojony głos.

- Tak?

- Doktor Yates? Doktor Gordon Yates?

- Tak. Przy telefonie. Kto mówi? - zaniepokojenie w jego głosie wyraźnie wzrosło.

Przedstawiła się i podała tytuł gazety. Odpowiedź była natychmiastowa.

- Przykro mi. Nie mogę pani nic powiedzieć. Zabroniono nam wszelkich rozmów z reporterami.

- Kto panu zabronił? - spytała szybko.

- Urzędnicy z NIREX-u. I Ministerstwo Ochrony Środowiska. Musiałem podpisać przysięgę o ochronie tajemnicy państwowej. Mówiłem im, że podpisałem taki dokument, zanim moja firma otrzymała ofertę NIREX-u, ale nalegali, abym podpisał po raz drugi. Pełna szajba! Sposób myślenia urzędników nigdy nie przestanie mnie zaskakiwać...

Ten komentarz ośmielił Robin. Ostrożnie zaczęła go przyciskać.

- Doktorze. Nie chcę żeby pan zdradził jakkolwiek tajemnicę państwową. Pragnę jedynie pańskiej pomocy w rozwianiu kilku bezsensownych plotek, dotyczących poniedziałkowego wypadku. Obiecuję, że nie zdradzę źródła informacji. Pańskie nazwisko nie zostanie wspomniane.

Chwila ciszy.

- Jakie plotki?

- Na przykład takie, które „Daily Mirror” rzucił wczoraj na pierwszą stronę - że eksplozję spowodowały odpady radioaktywne.

- Kompletna bzdura! - parsknął. - Nie było tam żadnych odpadów. Dopiero wierciliśmy próbne szyby, na miłość Boską! Nawet gdyby miejsce nadawało się na magazyn, upłynęłyby lata, zanim jakiegokolwiek odpady zostałyby przewiezione na ten teren.

- To samo ogłosił NIREX - zgodziła się Robin. - Ale skoro miejsce nie zostało skażone, dlaczego rząd opieczętował cały teren?

- Panno Carey, proszę mi wierzyć; powody nie mają nic wspólnego z odpadami.

- Czy może więc mi pan wyjaśnić, z czym ma to związek?

Cisza po drugiej stronie słuchawki. Spróbowała inaczej.

- Okay, czy może mi pan chociaż powiedzieć, czy wersja oficjalna jest bliska prawdy? Czy naprawdę natrafiłście na soczewkę łatwopalnego gazu?

- Mogę jedynie powiedzieć, że tragedię spowodowało zjawisko naturalne.

- Ale nie gaz?

- Przykro mi. Jedynie tak mogę pani odpowiedzieć.

Zdecydowała nie naciskać go dalej i znowu zmieniła temat

- Miał pan dużo szczęścia. Udało się panu wyjść cało. Tak wiele osób zostało albo zabitych, albo ciężko poparzonych. Nie znajdował się pan blisko szybu gdy ...hm... wydarzył się „wypadek”?

- Nie. Byłem w jednym z baraków i analizowałem... -
urwał.

- Co? - spytała szybko.

Nastąpiła długa chwila ciszy i Robin zaczęła podejrzewać, że Yates po prostu odszedł od telefonu. Wtedy, ku jej zdumieniu, usłyszała:

- Do diabła, nie rozumiem, komu stanie się krzywda, jeżeli pani opowiem.

Poczuła znany dreszcz podniecenia - uczucie, którego zawsze doznawała, gdy sprawy zaczynały układać się po jej myśli. Podniecenie myśliwego...

- Analizowałem substancję dostarczoną przez wiertło sondujące tuż przed... wybuchem - powiedział.

- Jaka to była substancja? - spytała, czując przyspieszone bicie serca.

- Był to zbity kłęb żółtej, włóknistej materii. Ledwo zacząłem badać ją pod mikroskopem, kiedy to się stało. Wiem jedynie, że składała się z naturalnych polimerów.

- Chwileczkę, nie rozumiem. Naturalne co?

- Polimery. Długie łańcuchy molekuł jak na przykład włosy, wełna, jedwab, itp.

Przez chwilę myślała intensywnie.

- Momencik. Czy twierdzi pan, że ta substancja była pochodzenia zwierzęcego?

- Na to by wyglądało.

- Jak głęboko to znaleźliście?

- Prawie pięćset stóp.

- Z pewnością jest niemożliwe, aby szczątki zwierzęce mogły być zagrzebane aż tak głęboko - powiedziała.

- Niezupełnie, jeżeli to stara skamieniałość. Wobec tego nie rozumiem, jak te włókna mogły przetrwać tak długo.

Kiwnęła głową ze zrozumieniem i spytała:

- Jaki jest więc związek między tym czymś a wypadkiem?

- Nie wiem, ale sądzę, że musi istnieć jakiś związek - przeciwnym wypadku byłby to bardzo dziwny zbieg okoliczności.

- Taak - zgodziła się. - Co się stało z tą próbką? Czy ma pan ją jeszcze?

- Nie, zabrali ją chłopcy z Ministerstwa Ochrony Środowiska.

- Wie pan może, czy udało się im ją zidentyfikować?

- Nie. Próbowali różnych sposobów, ale bezskutecznie.

- Jaka jest pańska osobista opinia na temat tej materii?

- Nie mam żadnej opinii. To dla mnie kompletna zagadka. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego. Ani nikt inny, proszę mi wierzyć. Od poniedziałku wertuję wszystkie dostępne książki, ale nie znalazłem żadnego rozsądnego wyjaśnienia: co to jest, co spowodowało wypadek...

- Przypuszczam, że nie zmienił pan zdania na temat opowiedzenia mi całej historii...?

- Nie, panno Carey. Uważam, że i tak za dużo pani powiedziałem. Proszę pamiętać; obiecała pani nie wymieniać mojego nazwiska.

- Oczywiście, proszę się nie martwić.

Roześmiał się bez radości.

- Nie martwić się? Panno Carey, gdyby pani zobaczyła to, co ja w poniedziałek, nic innego by pani nie robiła. Jak ja... teraz...

I nagle rozłączył się.

Robin odłożyła wolno słuchawkę, usiadła wygodnie, kłasnęła w dłonie i krzyknęła głośno:

- Hurra!

Nikt nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

Thomas zajmował się wstępnym badaniem ciała starej kobiety w ogrodzie, gdy przybył inny policjant i zaczął rozmowę z nadinspektorem Langfordem. Thomas podniósł głowę, gdy Langford stanął przy nim. Z wyrazu twarzy łatwo było wywnioskować, że otrzymał złe nowiny.

- Co się stało?

- Więcej przypadków tego rodzaju - powiedział ponuro. - Farmer, właściciel małego stada krów, znalazł większość z nich w takim stanie, jak ta stara pani. Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby zechciał pan spojrzeć także na nie, kiedy skończy pan tu...

Thomas podniósł się.

- Nic tu więcej nie zdziałam. Muszę przenieść ciało do laboratorium.

Odwrócił się do lekarza sądowego, który nazywał się Pickersgill.

- Zakładając, że nie ma pan do tego zastrzeżeń. Nie chcę nikomu nadepnąć na odcisk.

Tamten wzruszył ramionami.

- Proszę robić, co się panu podoba. Wolę żeby to pan marnował czas na ten nonsens.

Thomas przyjrzał mu się z ciekawością.

- Pan ciągle uważa, że to jakiś starannie przygotowany kawał?

- A cóż innego?

- Jeżeli tak, to rzeczywiście sprawia imponujące wrażenie. Wskazał ciało kobiety, które leżało już nagie.

- Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób udało się tym dwojga usunąć wszystkie wewnętrzne narządy bez zrobienia choćby jednego nacięcia. Jedyнным znakiem na jej ciele, był strupek wielkości dwupensówki na kostce prawej nogi.

- Wątpię, czy to jest prawdziwe ciało - stwierdził Pickersgill. - Założę się, że po przeprowadzeniu badań „skóra” okaże się w rzeczywistości plastikowa.

- Mam nadzieję, że tak będzie - powiedział Thomas wpatrując się w ciało. Westchnął i zwrócił się do Langforda:

- Chodźmy zerknąć na te krowy.

Był to niesamowity widok. Z dalszej odległości wszystko wyglądało jak typowy, sielankowy wiejski obrazek - mała grupka łaciatych krów na soczystej, zielonej łące.

Większość krów siedziała, jedynie dwie stały z pochylonymi łbami, jakby się pasły. Ale nie pasły się. Stały absolutnie nieruchomo.

Thomas stał, patrzył na pole i na nieruchome stado. Poczul, jak lodowate ciarki przebiegły mu po krzyżu.

Podszedł do najbliższej krowy i dotknął jej. Zaczęła się chwiać na boki. Podobnie, jak stara kobieta, krowa była tylko kruchą, pustą łupiną.

Młody konstabl spojrzal na Thomasa z nadzieją.

- Co im się stało, proszę pana? - zapytał.

Uśmiechnął się do niego. Chłopak żywił naiwną wiarę w nieomyślność naukowców.

Podszedł do Pickersgilla, który stał przygarbiony obok.

Patrzył na wszystko z widocznym wstrętem. Uważał chyba, że ktoś spreparował mu tę historię na złość.

- No, doktorze, mój podziw dla pańskich dowcipnisiów wzrasta z minuty na minutę. Podkradli się nocą do tego stada, sporządzili modele, stworzyli na ich podstawie repliki, które wyglądają jak żywe i na nie zamienili prawie całe stado. Czyż nie tak?

Pickersgill spojrział na niego, ale nie powiedział ani słowa.

Billy skierował swój pistolet w stronę matki i krzyknął:

- Pif-paf, pif-paf! Mamo, nie żyjesz!

Odczekał chwilę i z westchnieniem opuścił broń. Ciągle bawiła się z nim w tę śmieszna grę. Bawiła się tak już cały ranek i zaczynało go to drażnić. Był strasznie głodny. Nie bardzo rozumiał, co pokazują te duże i małe wskazówki na zegarze, ale wiedział, że już dawno minęła pora śniadania.

Mama nawet nie nakryła do stołu. Zamiast tego stała ciągle przy zlewie i wpatrywała się w niego.

Nie poruszała się, nie powiedziała nawet słówka. Bawiła się tak od chwili, gdy się obudził. Zazwyczaj różne zabawy rozśmieszały Billa; ale teraz nie uważał, żeby ta była choć w połowie tak śmieszna jak inne.

- Mamusiu, jestem głodny! - powiedział po raz kolejny i czekał na odpowiedź. Mama znowu nie odpowiedziała.

Podszedł do niej i pociągnął za spódnicę, lecz nie zwróciła na to uwagi. Nawet na niego nie spojrzała.

Nadaśany, wspiął się na palce i mocno szarpnął ją za rękaw swetra.

Przeraził się bardzo, gdy mama przewróciła się i upadła.

Podskoczył przestraszony, a ciało matki upadło tuż koło niego. Kiedy uderzyła o podłogę, rozległ się trzask. Zobaczył,

że jej głowa rozpadła się na kawałeczki, zupełnie jak salaterka, którą kiedyś upuścił.

- Mamusiu? - wyszeptał trochę przestraszony. Na pewno będzie na niego bardzo zła, że ją rozbił. Ale rozbite rzeczy można zreperować. To wiedział. Klejem...

- Przeprowadzę panią Carter - Billy zwrócił się do matki. Wyszedł i pobiegł przez pole leżące między domem ich i Carterów, najbliższych sąsiadów. Ucieszył się, widząc panią Carter w ogródku, wieszającą pranie. Poprosił ją, żeby przyszła i skleiła mamie głowę z powrotem.

Biegł przez pole i wołał do pani Carter, ale sąsiadka nie odwróciła się.

Gdy podszedł bliżej zauważył, że stała zupełnie nieruchomo. Tak samo jak mama...

Rozdział 5

Uporczywe dzwonienie wyrwało Annę Thomas z głębokiego snu. Półprzytomna spojrzała na budzik na nocnym stoliku. Było prawie południe. Zrozumiała, że spała przeszło czternaście godzin. Więc dlaczego tak strasznie źle się czuła?

Mózg otępiały od środków uspokajających w końcu zidentyfikował źródło brzęczenia. To dzwonek do drzwi frontowych. Walcząc z sennością wstała, założyła szlafrok i zeszła na dół.

W drzwiach stała atrakcyjna młoda kobieta w eleganckich dżinsach i drogiej, skórzanej kurtce. Dziewczyna była nieco zażenowana na widok stroju Anny i ogólnego rozgardiaszu w domu.

- O rany, wyciągnęłam panią z łóżka. Tak mi przykro...
- Nic się nie stało. I tak powinnam już wstać, panno...?
- Carey. Robin Carey. Jestem z „Daily News”. Pani mąż powiedział, że mogę wpaść tu i porozmawiać z panią...

Anna zmarszczyła brwi.

- Clive? Rozmawiała pani z nim?
- Tak. Dzwoniłam wcześniej, rano, do laboratorium. Zadzwoiłabym do pani, żeby uprzedzić o mojej wizycie, ale mąż powiedział, że słuchawka jest odłożona...
- Tak... tak, rzeczywiście - powiedziała z roztargnieniem, usiłując uporządkować myśli. To dziwne, że Clive wyraził zgodę na tę wizytę, biorąc pod uwagę jego awersję do wszystkich

reporterów, nawet tak ślicznych jak panna Carey. Naprawdę, jej wdzięk i urok osobisty były imponujące.

Szerzej otworzyła drzwi.

- Proszę wejść. Ale muszę uprzedzić panią, że nie będę w stanie wykrztusić nic mądrego, dopóki nie wypiję trzeciej szklanki kawy.

Robin, czując się niepewnie, usiadła w kuchni Thomasów. Nie chciała okłamać Anny. Była to jedyna metoda, żeby się z nią zobaczyć. Obawiała się, że zadzwoni do męża, aby potwierdził całą historię. Nasłuchiwała uważnie, ale jedynym dobiegającym dźwiękiem było burczenie ekspresu do kawy.

Stłumiła w sobie poczucie winy, gdy Anna weszła do kuchni.

- Przepraszam, że musiała pani czekać - powiedziała Anna. - Musiałam przeprowadzić poważną operację. Mam nadzieję, że widzi pani jakąś poprawę.

Widziała. Ta biała wynędzniała i nieprzytomna osoba, którą spotkała u drzwi, zmieniła się w atrakcyjną kobietę po trzydziestce. Jej długie, wy szcztokowane blond włosy błyszcząły, a letnia sukienka podkreślała szczupłą, młodzieńczą figurę. Tylko cienie pod oczami przypominały o tragedii, którą ostatnio przeżyła.

Anna nalała kawy, usiadła naprzeciw Robin, oparła łokcie o stół i spytała:

- A więc, jak mogę pani pomóc, panno Carey?

- Proszę mówić mi Robin. Przede wszystkim chciałam powiedzieć, że jestem twoją wielbicielką. Bardzo podobają mi się twoje książki.

Anna uśmiechnęła się.

- Czytujesz książki dla dzieci?

- Pożyczam je od siostrzenicy. Uwielbia twoje książki. Jest w nich coś więcej, niż tylko opowiadki dla dzieci. Znam wielu dorosłych, którzy także je czytują. Kult twojej twórczości zaczyna rosnąć.

- Co jak do tej pory, nie odbiło się jeszcze w statystyce sprzedaży. Ale dziękuję bardzo. O czym naprawdę chciałaś ze mną rozmawiać?

Reporterka westchnęła głęboko.

- Jeżeli nie jest to dla ciebie zbyt bolesne, chciałabym porozmawiać o poniedziałku.

Po chwili milczenia Anna powiedziała:

- To jest dla mnie bolesne. Nie chcę nawet o tym myśleć. Ale będę z tobą rozmawiać o tym, co zaszło. Uważam, że musimy wyjawiać całą prawdę. Niektóre rzeczy głoszone przez telewizję i gazety były zupełnie niedorzeczne. Od czego zaczniemy?

Robin wyjęła z torby pióro i notes.

- Opowiedz i opisz wszystko co pamiętasz, od momentu, kiedy przybyliście na miejsce.

Opowieść zajęła Annie czterdzieści pięć minut. Robin tylko od czasu do czasu przerywała pytaniami. Kiedy skończyła, Robin patrzyła na nią oczami wielkimi jak spodki.

- To nie do wiary! Oficjalna wersja jest zupełnie inna! Czym mogła być ta substancja, jak sądzisz? Kwasem? I dlaczego rząd nie chce puścić na ten temat pary z ust?

- Nie umiem ci odpowiedzieć - wzruszyła ramionami.

- A co z substancją, którą wydobyli wcześniej? Yates, ten geolog, opowiedział mi o tym. Widziałaś ją?

- Tak, ale nie z bliska.

- Jak to wyglądało?

- Wiesz, dziwnie przypominało mi coś, czego nie mogłam sobie przypomnieć aż do dzisiaj...

- O czym mówisz? - dziennikarka spytała z podnieceniem.

Anna potrząsnęła głową.

- To doprawdy głupie - dawno temu, kiedy byłam małą, hodowałam jedwabniki w ramach zajęć z biologii. Wszystko skończyło się wielkim płaczem, bo nikt mi nie powiedział, że trzeba zabić stworzonko w środku, aby otrzymać jedwab, ale... w każdym razie ta substancja przypominała mi... - uśmiechnęła się niepewnie.

Robin uniosła brwi.

- Obawiam się, że cię nie rozumiem.

- Kokony - powiedziała Anna. - Te włókna wydobyte z szybu przypominały kokony jedwabnika.

- O! - Robin usiłowała ukryć rozczarowanie. Nie była to rewelacja, na którą czekała.

Nagle w drugim pokoju zadzwonił telefon. Obie kobiety podskoczyły. Anna przeprosiwszy, pobiegła odebrać telefon.

„Cholera” - pomyślała Robin. „To na pewno jej mąż i kiedy mu powie, że właśnie rozmawia z reporterką, on z pewnością eksploduje. Bez wątpienia, wyrzuci mnie natychmiast”.

Anna wróciła po chwili, a wyraz jej twarzy potwierdził najgorsze przeczucia dziewczyny. Wyglądała na bardzo zmarzwioną. Robin zmusiła się do śmiechu i spytała:

- Stało się coś?

- To Clive, mój mąż - powiedziała bezradnie. - Miał nadzieję, że wpadnie do domu na lunch, ale zaszło coś ważnego.

- Naprawdę? A co? - spytała Robin, uszczęśliwiona wiadomością, że oszczędzano jej spotkania twarzą w twarz z doktorem Thomasem.

- Nie powiedział dokładnie. Wybuch jakiejś choroby, jak sądzę. W Harpenden. Ale musi to być coś poważnego, bo dawno nie słyszałam go tak przejętego.

- W Harpenden? - powtórzyła dziewczyna, notując to w pamięci. - Wybuch czego?

- To wszystko, co powiedział. I że nie będzie go w domu aż do wieczora. Zastanawiam się, co się tam dzieje? Nie znoszę sytuacji, kiedy nie chce mi nic powiedzieć o swojej pracy...

- Eee... wspomniałaś, że tu jestem? - spytała niedbale Robin.

- Nie miałam okazji. Strasznie się spieszył.

Robin odetchnęła z ulgą. Szybko dopiła kawę i powie działa:

- Ja też muszę uciekać. Trudno mi wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczna za tę rozmowę.

- Cieszę się, że mogłam pomóc. Jak mówiłam, jest istotne, aby ludzie wiedzieli, co się naprawdę stało w poniedziałek. Muszę przyznać, że wahałabym się, czy się spotkać z tobą czy nie, gdyby Clive tego nie aprobował. Jest w trudnej sytuacji wskutek swojej pracy dla rządu. Dlatego mój udział w manifestacji był dla niego wystarczającym kłopotem...

Robin skinęła głową.

- Rozumiem dobrze, Anno - powiedziała. Bardzo pragnęła nie czuć się tak podle. Była szczęśliwa, że nie będzie jej tu, gdy zobaczą wieczorne wydanie „Daily News”.

Dopiero o siódmej wieczorem ukończył analizy. Wyniki potwierdziła Lisa, jego asystentka. Kiedy porównali swoje zapiski, po prostu usiedli patrząc w osłupieniu na siebie. Wreszcie odezwała się Lisa:

- Wydaje mi się, że wiem teraz o całej sprawie mniej niż po południu, kiedy zaczynaliśmy...

Thomas westchnął.

- Ja też. Renton będzie się domagał już na chwilę konkretnych odpowiedzi. I co mu powiemy?

Spojrzał na zwłoki starszej kobiety, leżące na stole laboratoryjnym. Długie cięcie biegło od szyi do krocza. Góra czaszki też była usunięta i widać było małe nacięcia na każdej z kończyn. Ciało było zupełnie puste. Ani kropli krwi, żadnego organu wewnętrznego lub choćby jednej kości; nic nie zostało. Wszystko co znaleźli, to drobiny szarej, galaretowatej masy na wewnętrznej warstwie stwardniałej skóry.

To samo było z krowami, które badała inna grupa w Bloku Chorób Zwierzęcych. Ta sama przejmująca pustka i tylko ślady szarej mazi...

Lisa zdjęła okulary i potarła palcami czubek nosa.

Wyglądała na zmęczoną.

- Czy słyszałeś kiedyś o „mutach”? - spytała Thomasa.

- „Muty”? A co to takiego - skrót od mutant? - spytał, również zmęczony.

- Nie, od „mutilation syndrom” - syndrom okaleczeń. To zjawisko narobiło swego czasu wiele hałasu w Stanach. Pierwszy przypadek odnotowano w 1967 w Colorado. Znalezione konia zupełnie pozbawionego skóry, z wyschniętą krwią; brakowało także wielu narządów wewnętrznych, a całe ciało miał pokryte dziwnymi znakami. Od tej chwili przypadki „mutów” odnotowano w trzydziestu stanach. Dotyczyły przede wszystkim jeleni, bydła, psów i koni. Największe nasilenie tego zjawiska wystąpiło w latach siedemdziesiątych, ale potem jakby zanikło, chociaż pojedyncze przypadki ciągle się zdarzają...

- Ciekawe. Czym je tłumaczono?
 - Nikt nie wie - odpowiedziała Lisa. - Było wiele różnych teorii, od UFO i satanistów poczynając na codziennych sprawach kończąc. Uważano na przykład, że zwierzęta padły ofiarą drapieżników. Ale żadne z tych wyjaśnień nie było zadowalające.
 - Czy sądzisz, że coś podobnego zaczyna dziać się w Anglii?
- Wzruszyła ramionami.
- To tylko sugestia.
 - Nasze krowy nie zostały obdarte ze skóry, a wszystkie ich organy wewnętrzne zostały usunięte. Czy to pasuje do teorii „mutów”?
 - Nie - przyznała. - Co więcej, w Stanach, o ile mi wiadomo, do tej pory nie było żadnego ludzkiego „muta”.
 - A my mamy ich od razu osiem - stwierdził ponuro Thomas. Nie licząc starszej kobiety, siedem dalszych ofiar znaleziono tego dnia, wszystkie na peryferiach Harpenden w promieniu pół mili od domu staruszki.
 - A jaka jest twoja teoria? - spytała nieco rozdrażniona.
 - Nie mam żadnej. Jak, na Boga, ktoś lub coś mógł usunąć wszystkie narządy wewnętrzne i kości nie naruszając skóry?
 - Nie zapominaj o tych nakłuciach. Na ciałach wszystkich ludzi i zwierząt znaleziono małe, zakrzepłe ranki, które znajdowały się zawsze na którejś z kończyn.
 - Nie zapominam - powiedział Thomas. Ale zupełnie nie wiem, jakie płyną z tego wnioski.
 - Muszą być punktami wniknięcia i wyjścia dla czegoś, co pochłonęło wnętrze.

- Pochłonęło wnętrzości?
- Tak - powiedziała wyzywająco. - To jedyne wyjaśnienie.

- Droga Liso, wiem, że oboje jesteśmy bardzo zmęczeni, ale czy nie posuwasz się za daleko? Nie potrafię wyobrazić sobie takiego stworzenia lub organizmu, który byłby w stanie to uczynić.

Z powrotem włożyła okulary i spojrzała na niego.

- Robaki - powiedziała.

- Robaki?

- Tak, robaki. Jakaś zmutowana odmiana któregoś z większych pasożytów, jak *Ascaris lubricoides* lub *Diphyllobothrium latum*...

W tym momencie do laboratorium wbiegł Mitchell. Przez całe popołudnie składał im krótkie wizyty, aby sprawdzić, czy dochodzą do jakichś konkretnych wniosków. Dla Thomasa był tak cholernie dokuczliwy jak nigdy dotąd.

- I co? - spytał zacierając ręce, jakby w laboratorium było zimno. - Jaki werdykt?

Thomas wziął głęboki oddech i powiedział:

- Werdykt, Henry? Proszę! Wszystko co zostało z ofiar to naskórek, skóra i włosy. Naskórek i skóra uległy procesowi mineralizacji, która polegała na nasyceniu komórek olbrzymią ilością krzemionki. Natomiast włosy prawie wcale nie uległy zmianom, chociaż drobne ilości krzemionki dają się wykryć...

- Wnętrza tych skamieniałych ciał są kompletnie puste z wyjątkiem śladowych ilości tego...

Thomas podał Mitchellowi próbkę. Mitchell uniósł ją pod światło i przyglądał się szarawej galarecie.

- Co to jest? - zapytał.

- Mieszanka wszystkiego. Woda. Aminokwasy. Cukry proste, glicerol, dwutlenek węgla...

- Tak? - Mitchell patrzył na Thomasa wyczekująco.
Thomas wzruszył ramionami.
- Taki mniej więcej jest skład chemiczny, ale nie powiem ci, co to jest. Znalazłem także ślady substancji, których nie potrafię zidentyfikować. Jedna z nich jest chyba skomplikowaną proteiną, złożoną z niezwyklej ilości łańcuchów polipeptydowych. Podejrzewam, że jest to rodzaj enzymu, ale nie umiem go zidentyfikować.
- To wszystko? - nieomal płacząco spytał Mitchell.
- Obawiam się, że tak.
Okręła twarz Mitchella wykrzywiła się, jakby ktoś przypalał mu sadło żywym ogniem.
- Niezbyt wiele, nieprawdaż? Chciałbym powiedzieć, że profesor Renton nie będzie zachwycony.
- Ja też nie jestem zachwycony - Thomas odparł łagodnie.
- Ale czego się spodziewałeś? Że wymyślę jakąś odpowiedź?
- Ja cię wcale nie krytykuję, Clive, tylko...
- Zrozum; jedyne, co mogę zrobić, to spróbować wyizolować podejrzany enzym. Wygląda na to, że jest raczej w luźnym, obojętnym związku z substratem molekuł aminokwasowych, co sugeruje, że ta galareta jest produktem finalnym jakiegoś procesu zapoczątkowanego przez enzym. Dopiero, gdy wyizoluję, będę mógł zacząć testy w celu ustalenia jego podstawowej funkcji. Ale to może potrwać bardzo długo.
- Tak, tak, Clive, wszystko rozumiem - powiedział Mitchell.
- Ale ministerstwo naciska nas coraz mocniej. Domagają się natychmiastowego wyjaśnienia tych wypadków.
Podszedł do trupa kobiety.
- Słuchaj, czy ty właściwie możesz udowodnić, że była prawdziwym człowiekiem?

Thomas nastroszył się, ale po chwili twarz mu się wypogodziła.

- Aa, widziałem, jak gadałeś z którymś z lekarzy sądowych. Z Pickersgillem, mam rację?

Mitchell skinął głową i powiedział:

- Muszę cię ostrzec, że teoria ta zyskuje coraz więcej zwolenników w kręgach policyjnych. Jedynym racjonalnym wyjaśnieniem wydaje się być jakiś starannie zaplanowany kawał.

- Przykro mi, ale muszę cię rozczarować. Jestem przekonany, że była kiedyś żyjącym, oddychającym człowiekiem. Henry, spójrz tylko na jej włosy, jeżeli koniecznie chcesz do wodu.

- Włosy mogły zostać wszczepione. A sam mówiłem, że skóra uległa mineralizacji. Może tak naprawdę... nigdy nie była prawdziwą skórą.

- A ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby wyglądała jak prawdziwa, że aż wyrzeźbił zarysy komórek dostrzegalne dopiero na poziomie mikroskopowym?! Jeżeli to dowcip i cała banda zwariowanych studentów medycyny lata po okolicy podstawiając repliki, to co zatem stało się z tymi ośmioma osobami, które posłużyły za modele? Nie mówiąc już o stadku mlecznych krów?

- Policja to bada.

Thomas machnął ręką zdegustowany.

- Pięknie! Po prostu pięknie! Podczas, gdy policja ugania się za jakimiś mitycznymi kidnaperami, kolejne takie wypadki mogą się wydarzyć w Harpenden dziś w nocy!

- Clive - Mitchell niemal błagał. - Gdybyś tylko mógł podać jakieś alternatywne, racjonalne wyjaśnienie, jestem pewny, że policja zaakceptowałaby je z radością...

- Robaki - powiedziała Lisa cichutko.

Mitchell odwrócił się i spojrzał na nią zdziwiony.

- Nie rozumiem?

- Według teorii Lisy za wszystko są odpowiedzialne wielkie, zmutowane tasiemce - wyjaśnił Thomas z rezygnacją.

Niedowierzenie odbiło się na twarzy Mitchella.

- W Hertfordshire?

Wtem drzwi laboratorium otworzyły się z trzaskiem i do środka wkroczył Renton. Był niezbyt wysoki, ale nadrabiał to swymi imponująco wyniosłymi manierami. A dzisiaj wyglądał nawet bardziej wyniosłe niż zwykle, z twarzą zastygłą w ponurą kamienną maskę.

Ku zdziwieniu Thomasa podszedł prosto do niego i rzucił jakąś gazetę na stół.

- Man nadzieję, że potrafi pan to jakoś wytłumaczyć, Thomas - wycedził zimno.

Thomas spojrzał na pierwszą stronę. Była to „Daily News”. Nagłówek głosił: „GEJZER KWASU NA SKŁADOWISKU ATOMOWYM”. Pod spodem biegł podtytuł: „Wywiad żony naukowca rządowego Clive'a Thomasa udzielony wyłącznie „Daily News”. Prawdziwa historia potwornej tragedii na miejscu wierceń prowadzonych przez NIREX”. Podpis - Robin Carey.

Podniósł wzrok znad gazety i napotkał oczy Rentona przypominające ślepią bazyliżka.

- A więc? - spytał Renton.

Rozdział 6

Ian był podniecony. To będzie dobra noc, był pewny. Nawet obecność tylu wozów policyjnych na ulicach Harpenden nie odstraszyła go. Wręcz przeciwnie, podniecała jeszcze bardziej.

Zdjął rękę z kierownicy i przesunął pieszczotliwie palcami po twardości wzrastającej pod materiałem spodni.

Ulica, którą jechał, była do niczego. Szeregowe, wąskie domki, przylepione jeden do drugiego, z małutkimi ogródkami nie mogły mu nic zaoferować. Pojechał więc dalej.

Dotarł do lepszej okolicy. Wolno stojące domki, oddalone od ulicy, miały duże, dające dobre schronienie ogrody. Zaparkował wóz i wysiadł. Był nie rzucającym się w oczy mężczyzną po czterdziestce. Nosił ciemne, zwyczajne ubranie i okulary bez oprawek, które nadawały jego łagodnej, okrągłej twarzy wygląd wystraszonej sowy.

Ian żwawo przeszedł oświetloną ulicę. To była część tajemnicy. Musisz wyglądać, jakbyś tu mieszkał. Zacznieś skradać się i przemykać ukradkiem - nici z całej zabawy.

Spacerując, rzucał szybkie spojrzenia w okna mijanych domów, aż w końcu znalazł odpowiednie, warte bliższego przyjrzenia się - duże okno salonu z nie zaciągniętymi zasłonami.

Zatrzymał się, niby chcąc zawiązać sznurowadło, obrzucił szybkim wzrokiem ulicę, pochylił się i zanurzył w gęste zarośla ogrodu.

Podkraść się do okna, przykucnął i zerknął do środka.

Natychmiast spotkało go rozczarowanie: tylko para w średnim wieku oglądająca telewizję. Nic ciekawego.

Przez chwilę wpatrywał się w ich znudzone, tępe miny, powrócił na ulicę.

Miał szczęście dopiero przy trzecim odsłoniętym oknie. Okno było niemal idealnym tableau. Niczym podświetlany ekran. Wspaniała kwiatek w kolekcji.

Młoda kobieta o pełnej figurze leżała na plecach na sofie. Spódnicę podwinęła tak, że widać było prawie całe piersi; jej bielizna leżała rozrzucona na podłodze. Mężczyzna miał głowę schowaną między jej szeroko rozwartymi udami.

Ian aż obliznął się patrząc na mężczyznę - jej męża, kochanka, sąsiada - ugniatającego piersi dziewczyny, podczas gdy jego głowa poruszała się rytmicznie między jej udami. Serce zabiło mocniej z podniecenia. To coś lepszego, niż mógł się spodziewać.

Rozpiął rozporek i wyjął swojego nabrzmiałego członka. Zaczął rozcierać go gwałtownie.

Kobieta przymknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu.

Przesunęła dłoń w dół, zanurzyła palce we włosach mężczyzny i zaczęła go delikatnie pieścić, Ian nie mógł tego dostrzec, ale wyobrażał sobie język mężczyzny sięgający głębiej i głębiej w jej słodką wilgotność, gdy zachęcała go do mocniejszych pchnięć. W tych sprawach miał bardzo plastyczną wyobraźnię.

Czuł tętnienie członka w dłoni i zaczął kołysać się lekko na palcach. Ogarnęła go tak wielka rozkosz, że nie zarejestrował lekkiego łaskotania na łydce prawej nogi...

Myśli Gordona Wicksa błądziły nie wiadomo gdzie. Przypomniał sobie stary dowcip, który czytał bardzo dawno, o tym co właśnie robił: „Lizanie cipki to coś jak z owcą; wilgotna, mroczna i samotna robota, lecz ktoś to musi zrobić...” Nie miał nic przeciwko dostarczeniu Alison tyle przyjemności, ile chciała, ale naprawdę zbyt dużo czasu zajmowało jej osiągnięcie tego. Jeszcze trochę, a dostanie skurczu szczęki. Język już mu zaczynał drętwieć.

W końcu wyczuł znajomy dreszcz przebiegający jej ciałem. Zaczynała osiągać orgazm, dzięki Bogu. To już prawie kwadrans. Nic dziwnego, że zawsze narzekała na swego męża, Jima, który nie dawał jej dość. Zaczynał czuć współczucie dla biednego Jima...

No, ale teraz nadeszła jego pora - spazmatyczne dreszcze były coraz szybsze i zamierzał mieć z tego jak najwięcej. Wybieprzył ją od stóp do głów!

Alison jęczała głośno, jej ciało drgało spazmatycznie i wydała pierwszy, przeszywający krzyk. Gordonowi to pochlebiało - nigdy dotąd tego nie robiła...

Nagle wrzasnął, gdyż pociągnęła go dziko za włosy.

- Ej! - krzyknął, szarpnął głową i usiłował wyrwać się z jej uścisku. Wtedy dostrzegł, że wskazywała palcem okno z wyrazem przerażenia na twarzy. Odwrócił się i spojrział.

Na zewnątrz stał facet. Gapił się na nich przez okno. Przez chwilę Gordon myślał z przerażeniem, że to mąż Alison, ale uświadomił sobie, że nigdy nie widział tej okrągłej gęby w okularach.

Zeskoczył z sofy i ze wściekłym rykiem runął do drzwi, dopinając spodnie. Jak dorwie tego małego, brudnego podglądacza, złamie mu kark! Ciekawe, ile już razy ten gnojek

wgapiał się w okna Alison... i to właśnie dzisiaj, teraz, gdy już prawie osiągnął szczyt.

Wybiegł przez frontowe drzwi do ogrodu i ze zdziwieniem ujrzał, że facet ciągle tam stoi i ciągle gapi się w okno. Nie zareagował, nawet gdy Gordon krzyknął:

- Ty pierdolony gnoju! Zabiję cię! - i rzucił się na niego z zaciśniętymi pięściami.

Włożył w cios całą swoją siłę i prawa pięść wylądowała na głbie faceta. Rozległ się przyprawiający o mdłości chrzęst i głowa rozpadła się, a struga żółtego, lepkiego płynu ochlapała ręce i koszulę Gordona.

Wstrząśnięty Gordon patrzył, jak bezgłowe ciało upadło na trawnik. W tym samym momencie jego umysł zarejestrował widok długiego, cienkiego, połyskującego kształtu wystrzelającego z najbliższego ścieku, tuż obok domu. Wyglądał jak gigantyczna dżdżownica, lecz Gordon nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Właśnie dostrzegł, że jego prawa dłoń zniknęła.

Pani Edith Moulton otworzyła tylne drzwi i krzyknęła wysokim głosem:

- Mitzzy! Mitzzy! Mitzzy!

Uderzyła kilkakrotnie nożem o miskę. Czekwała niecierpliwie, lecz Mitzzy, jej czarno-biała kotka, nie przybiegała podskakując, jak zazwyczaj. Było to co najmniej dziwne, gdyż poszła dziś na bingo i mogła ją nakarmić dopiero teraz.

„Może dąsała się gdzieś z powodu takiego opóźnienia” - pomyślała pani Moulton. Weszła do ogrodu, usiłując nie zwracać uwagi na rwący artretyczny ból w kolanie. Wtedy, w połowie drogi, zauważyła Mitzzy: kotka siedziała przy płocie.

- Tu jesteś, Mitzy! - krzyknęła pani Moulton. - Chodź, chodź tutaj!

Kot ani drgnął. Przywołała ją jeszcze raz i uderzyła nożem w miskę. Mitzy nie poruszyła się. Pani Moulton zaniepokoiła się. Mitzy zachowywała się tak dziwnie, musiała być chyba chora. Kuśtykając i zginając się od bólu położyła nóż i miskę na trawniku i sięgnęła po Mitzy.

Krzyknęła przeraźliwie. Gdy podniosła kotkę, uświadomiła sobie, że trzyma w ręku jedynie skórę.

Wzdrygnęła się z odrazą, puściła ją i cofnęła się o krok. Łzy napłynęły jej do oczu. „Kto mógł zrobić coś takiego biednej Mitzy? Jacy ludzie mogli zabić moją kotkę, wypatroszyć i podrzucić, żebym ją znalazła...? Jaki potwór...?”

Żołądek podszedł jej do gardła, a w ustach czuła gorzki smak rozpaczy. Drżąc, potykając się, przebrnęła ogród nic nie widząc przez łzy.

Zbierało jej się na wymioty. Weszła do kuchni i oparła się o zlew. Gdy to zrobiła, zobaczyła coś długiego i czarnego. Wyrastało z otworu odpływowego prosto ku jej twarzy. Otworzyła usta ze zdumienia. Nie widziała zbyt dobrze przez łzy, ale chyba przypominało węża...

Nagle, zanim zdążyła zareagować, to coś rzuciło się do przodu. Koniuszek wbił się w jej lewe oko. Nawet nie zabolowało - czuła jedynie swędzenie, a potem odrętwienie. Wrzasnęła i chwyciła to coś, usiłując oswobodzić oko. Mimo wysiłku włożonego w szarpanie nie mogła tego oderwać. Ciągłe krzycząc, cofała się. W miarę jak oddalała się od zlewu, dziwna rzecz wydłużała się coraz bardziej, aż rozciągnęła się przez całą kuchnię.

Odrętwienie ogarniało powoli całe ciało i poczuła, że nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu. Oszołomiona upadła na

kolana, nie czując już żadnych bólów artretycznych. Ostatnim wysiłkiem chciała wyciągnąć to coś z oka, lecz odrętwienie ogarnęło ją i zamarła w bezruchu.

Tony Cook spojrział zirytowany na małą córeczkę, Jenny, która weszła do pokoju, ciągnąc za sobą misia.

- Powinnaś już spać - spojrzął na nią groźnie. - Wracaj do łóżka.

- Słyszałaś, co tatuś powiedział? Wracaj do łóżeczka.

Jane nawet nie oderwała wzroku od ekranu telewizyjnego.

Jenny trzymała jak zwykle kciuk w buzi i patrzyła na nich poważnie. W końcu wyjęła palec z ust i powiedziała:

- W moim pokoju jest duży wąż. Nie chcę go. Każcie mu sobie pójść...

- Wąż? - Tony uniósł brwi.

- Nie bądź niemądra, kochanie. Nie ma żadnego węża w pokoju - powiedziała Jane. Pewnie coś ci się przyśniło.

- Nie przyśniło się - stwierdziła stanowczo dziewczynka.

- Obudziło mnie. Przewróciło Barbarę... (Barbara była lalką Jenny) i podpełzało do mojego łóżka...

Tony westchnął.

- A gdzie jest teraz?

- Poszło z powrotem do dziury. W podłodze. Rzuciłam w to poduszką... i uciekło.

- W Anglii nie ma węży, córeczko - Jane ciągle wpatrywała się w telewizor. - Są tylko całkiem malutkie.

- Ten nie był malutki - Jenny mówiła zupełnie serio. Rozłożyła rączki. - Taki, większy. O wiele większy.

Tony znowu westchnął i wstał.

- Okay, wygrałaś, orzeszku. Pójdę i sprawdzę. Ale jeżeli nie znajdę żadnego węża, będziesz musiała przyrzec, że więcej

już dzisiaj nie będziesz przeszkadzać. Słowo?

- Słowo - zgodziła się Jenny.
- Ogląda za dużo telewizji - oświadczyła Jane, ciągle patrząc w ekran.

Tony wszedł do pokoju Jenny i zapalił światło. Tak jak się spodziewał, nic tam nie było, z wyjątkiem leżącej na podłodze poduszki. Przynajmniej nie kłamała mówiąc, że ją rzuciła. Odwrócił się i spojrzał na córkę.

- No i gdzie ten twój wielki wąż?
- Mówiłam ci. Polazł z powrotem do dziury - wskazywała palcem.

Tony podszedł i zobaczył małą dziurkę w parkiecie tuż obok grzejnika. Miała najwyżej pół cala średnicy.

- Mówiłaś, że to wielki wąż - zwrócił jej uwagę.
- Tak, tatusiu. Długi. Sięgał od dziury aż do miejsca, gdzie leży poduszka.

Stała w drzwiach wahając się i trzymała ciągle misia przed sobą jakby dla ochrony. Mimo irytacji poczuł do córeczki falę czułości. Już z mniejszą złością powiedział:

- Rzeczywiście długi. Przeszło trzy jardy, kochanie. Czy jesteś pewna, że to wąż? Może to tylko cień. Wiesz, kiedy zasypiasz, oczka mogą ci płać różne śmieszne figle...

- Taak - Jenny powiedziała wolno. - To mógł nie być wąż...

Uśmiechnął się.

- Dobrze. Wracaj do łóżeczka, bądź dobrą dziewczynką.
- To mógł być bardzo długi robak.

Uśmiech zniknął mu z twarzy.

- Popatrz, zrobimy coś takiego...

Przysunął komodę o parę stóp, tak, że zasłoniła dziurę.

- No, jak? Teraz już żaden wąż ani robak tu nie wejdzie.
Okay?

Jenny spojrzała z powątpiewaniem na komodę i skinęła głową.

- Chyba tak - powiedziała, ale buzię miała ponurą.
- Do łóżeczka, orzeszku, szybko!

Niechętnie weszła do łóżka. Tony podniósł z podłogi poduszkę; podłożył jej pod głowę i otulił ją kołdrą.

Pocałował ją w czoło i powiedział:

- Dobranoc, orzeszku. Pamiętaj, dałaś słowo, że będziesz spać.

Kiwnęła główką.

Podszedł do drzwi i spojrzał na córkę. Patrzyła na niego szeroko otwartymi, poważnymi oczami. Uśmiechnął się i zgasił światło.

Zszedł z powrotem do pokoju; ale narastało w nim dziwne uczucie niepokoju.

- W porządku? - spytała Jane, gdy usiadł obok niej.
- Tak - odpowiedział i zmarszczył brwi. Po chwili namysłu stwierdził: - To dziwne...
- Co? - spytała, zapatrzona w ekran.
- Wiesz przecież, jak ona wygląda, gdy planuje jakąś pso-
tę. Ma wtedy w oczach takie ogniki - rozumiesz...
- Mmmm...
- Tym razem była absolutnie poważna. Naprawdę była
pewna, że widziała węża... albo robaka.
- Mówiłam ci, że ogląda za dużo telewizji. Chyba powin-
niśmy przestać pozwalać jej oglądać „Doktora Who”, na po-
czątek...

Robak wrócił. Widziała jak wije się po podłodze. Światło ulicznych latarni przenikało przez szybę i widziała całkiem

wyraźnie, jak pełźnie w kierunku jej łóżka i kręci łbem na wszystkie strony.

Tym razem wylał spod szafy. Domyślała się, że musi tam być jeszcze jedna dziura w parkiecie. A może to nie był ten sam? Może jest ich o wiele więcej pod domem...

Wcale jej się to nie podobało. Chciała zejść na dół i pobiec znowu do rodziców, ale pomyślała o słowie danym tatusiowi.

Siedziała więc na łóżku i patrzyła, jak robak podpełza coraz bliżej i bliżej...

- Chyba coś mówili w wiadomościach.

- Hmm?

- W dzienniku - Jane powtórzyła z irytacją widząc, że wcale jej nie słuchał. Patrzył gdzieś przed siebie z wyrazem troski na twarzy.

- Tony, mówię do ciebie.

Odwrócił się.

- Przepraszam. Co mówiłaś?

- Powiedziałam, że chyba wspominali o tym w wiadomościach.

- Wspominali o czym?

Westchnęła ciężko.

- Że coś dziwnego dzieje się w Harpenden. Wszystkie wozy policyjne są na ulicach, a przedtem nigdy nie widziałam choćby jednego policjanta.

Skinął głową. Rozmawiali o tym przy kolacji.

- Chciałam powiedzieć, że powinni nas uprzedzić, że dzieje się coś dziwnego. Może jakaś masowa ucieczka z więzienia czy coś takiego. Nie powinni nas trzymać w nieświadomości.

- Nie - powiedział. - Rzeczywiście.

Nagle wstał.

- Pójdę do Jenny. Zobaczą, czy już śpi...
- Tony, rozpieszczasz ją; będzie teraz co wieczór wymyślała niestworzone historie.
- Nie sądzę, żeby wymyślała - rzucił szorstko Tony i wyszedł.

W parę sekund później jego krzyk przeszył na wskroś serce Jane.

Rozdział 7

Anna otarła łzy i stanowczo nakazała sobie przestać się roztkliwiać choć wiedziała, że jest to całkowicie usprawiedliwione dzisiejszym zachowaniem Clive'a...

Po południu otrząsnęła się z otępienia wywołanego środkiem uspokajającym i poświęciła kilka godzin na przygotowanie jego ulubionej potrawy - wołowiny w sosie własnym z ryżem. Wszystko było przygotowane i czekało na jego powrót; nawet otwarta butelka wina pomiędzy dwoma świecami. Lecz on, zamiast pochwalić jej wysiłek, rzucił tylko na stół gazetę i zimno spytał:

- Co to ma znaczyć?

Przeczytała artykuł dokładnie i spojrzała na niego.

- Może trochę przesadziła, ale mogło być gorzej...

- Czy to wszystko, co masz do powiedzenia? - wycedził.

Uniosła brwi. Dopiero teraz zauważyła, jak bardzo jest wściekły. Dawno nie widziała go tak wściekłego. A tym razem złościł się na nią.

- Chyba powinieneś spodziewać się czegoś takiego, przysyłając ją tutaj.

- O czym ty mówisz, do cholery?

- Powiedziała, że pozwoliłeś jej przyjść i ... - serce Anny zamarło. - Och, Clive, tak mi przykro.

- Trochę za późno na przeprosiny. Renton niemal mnie zawiesił dzięki twojej dzisiejszej głupocie.

- Ale ona była taka przekonująca. I taka miła. Spodobała mi się...

Wskazał telefon, stojący na półeczce.

- Chcesz może zadzwonić do Rentona i powiedzieć mu o tym? Rzeczywiście, jesteś w pełni usprawiedliwiona!

- Clive, co mam ci powiedzieć? Tak mi przykro! Wiem, że powinnam skontaktować się z tobą i sprawdzić, czy mówi prawdę. Ale czułam się tak otumaniona tymi lekami i wszystkim...

- Otumaniona to dobre słowo - warknął -Chryste! Anno, wiesz jaka jest moja sytuacja w pracy, odkąd te trepy z Porton Dawn się tu przeniosły! A ty chlapiesz ozorem na prawo i lewo o wszystkim, co wiesz! I to gazecie! Moja kariera i praca wiszą na włosku!

Rozpląkała się.

- Clive...

- A idź do diabła! - wrzasnął i wybiegł z pokoju. Chwilę później trzasnęły głośno drzwi jego gabinetu.

Przez chwilę stała oszołomiona jego nagłym wybuchem wściekłości. Potem rozzłościła się również - jak śmiał tak do niej mówić? Zrobiła głupstwo; rzeczywiście, powinna sprawdzić reporterkę, ale to wcale nie upoważniało go do traktowania jej w ten sposób. Doskonale wiedział, że jeszcze nie wróciła do normy po poniedziałkowych wypadkach. Powinien być bardziej wyrozumiały.

Łzy spływały jej po twarzy, gdy chowała świece i sprzątała stół w jadalni. Wyłączyła piekarnik w kuchni - wołowina może pójść później do lodówki - a ryż wyrzuciła do śmieci. Potem wzięła wino, jedną szklankę i poszła do pokoju.

Butelka była od dawna pusta, kiedy koło jedenastej zadzwonił telefon. Anna zignorowała go. Niech sobie Clive odbiera w swoim gabinecie. Pewnie to i tak do niego. Telefon przestał dzwonić i usłyszała krótkie „ding”, kiedy odłożono słuchawkę. Drzwi gabinetu się otworzyły i Clive wyszedł z

pokoju. Miał ze sobą czarną torbę.

Spojrzała na niego, nie dbając o to, że zauważy, zaczerwienione jej oczy. Wyglądał ponuro.

- Pilna sprawa - oświadczył szorstko. - Kłopoty w Harpenden - nowe wypadki i ofiary

Zupełnie zapomniała o Harpenden. Może to było przyczyną jego dziwnego zachowania - zapewne mieli poważne problemy.

- Jakie kłopoty? - spytała. - Co się tam dzieje?

Spojrzał na nią zimno i stwierdził:

- Powiedziałbym ci, gdybym nie obawiał się, że natychmiast, przekażesz informacje swoim koleżankom z „Daily News”.

- Ty świnió - powiedziała czując, że łzy napływają jej do oczu.

Wyszedł bez słowa. Usłyszała trzask frontowych drzwi, a potem warkot odjeżdżającego samochodu.

Kiedy łzy obeschły, po raz drugi tego wieczora podjęła decyzję. Podniosła słuchawkę i wykręciła numer.

- Stephen? Tu Anna Thomas. Nie wyciągnęłam cię przypadkiem z łóżka? Świetnie. Czy mógłbyś przyjechać tu i podwieźć mnie gdzieś? To ważne i wyjaśnię ci, jak przyjedziesz. Chciałabym, żebyś mnie zawiózł do Harpenden...

Dojazd z St Albans do Harpenden drogą A1081 zajął Thomasowi tylko kilka minut. Nie zdziwił się, widząc blokadę policyjną na rogatkach miasta. Wylegitymowali go, a potem policyjna panda eskortowała go do kościoła, półtorej mili dalej. Po drodze widział, że policja miała pełne ręce roboty. Oprócz wozów patrolowych zobaczył grupy policjantów w cywilu przeszukujących ogrody.

Nieco dalej helikopter krążył nad jedną z nowych dzielnic miasta, oświetlając potężnym reflektorem cały teren.

Thomas wszedł do kościoła w asyście dwóch konstablów z pandy. Kościół zamieniony został w tymczasową kostnicę. Ponad dziewięćdziesiąt ciał leżało w głównej sali. Z bólem zauważył, że sporą część ofiar stanowiły dzieci.

Tłum ponurych ludzi otaczał ciała. Thomas dojrzał Langforda. Nadinspektor podszedł do niego razem z wysokim mężczyzną po pięćdziesiątce.

Doktorze Thomas, to jest doktor McKenzie z Ministerstwa Ochrony Środowiska. Jest szefem ekipy dochodzeniowej - powiedział ze znużeniem.

Thomas uściskał dłoń McKenzie. Znał go ze słyszenia, ale nigdy dotąd się nie spotkali.

- Witam, doktorze. Czy ma pan już jakąś teorię?

- Obawiam się, że nie - powiedział McKenzie. - Miałem nadzieję, że będzie mógł pan rzucić trochę światła na sprawę. Zaczął pan wcześniej, niż my - mówił z wyraźnym szkockim akcentem.

- Czytał pan mój raport? - spytał Thomas.

- Tak. Chwilę przedtem. Niewiele tego.

Thomas wzruszył ramionami.

- Przykro mi, ale nie miałem skąd wziąć więcej danych. Tylko ślady protein, których do tej pory nie zidentyfikowałem.

Spojrzał na rząd ciał. - Kiedy to się stało?

- Sądzę, że zaczęło się między 9.00 a 9.30 wieczorem - powiedział nadinspektor. - Pierwsze telefony dostaliśmy o 9.45, więc musiało się zacząć wcześniej i do tej pory trwa...

- Co? - spytał Thomas ze zdziwieniem. - Czy to ciągle trwa...

- Tak. Ciągle dostajemy zawiadomienia o nowych wypadkach, ale dzięki Bogu, coraz mniej. Sądzymy, że obecność tylu jednostek policji jest przyczyną...

Thomas miał wrażenie, że to jakiś zły sen.

- Ale do tej pory ktoś chyba coś spostrzegł - wskazał dłonią rząd ciał. - Co u licha stało się tym ludziom?

Obaj mężczyźni wymienili niespokojne spojrzenia, końcu McKenzie powiedział niechętnie

- Kilkanaście osób widziało...? ee...robaki. Było tyle zgodnych ze sobą zeznań, że musieliśmy w nie uwierzyć...

Thomas wpatrywał się w McKenzie z niedowierzeniem.

- Dobry Boże! Nie mówcie mi, że Lisa miała rację.

- Lisa?

- Moja asystentka. Wymyśliła teorię o zmutowanych robakach. Tęgoryjce i tym podobne. Ale odrzuciłem ją jako zbyt nieprawdopodobną - przejechał ręką po włosach. - Ciągłe nie mogę uwierzyć, że robak, nawet mutant, może spowodować takie uszkodzenie ludzkiego ciała

- Zgadzam się z panem - powiedział McKenzie - To wszystko jest zupełnie nieprawdopodobne, ale biorąc pod uwagę liczbę ludzi, którzy widzieli te tak zwane robaki, musimy potraktować całą sprawę serio.

- Nikt nie złapał chociaż jednego?

- Nie - odpowiedział nadinspektor. - Kilku odważniejszych próbowało, ale bez skutku. Są bardzo szybkie. Błyskawicznie wychodzą i chowają się z powrotem. Sądzimy, że wyroiły się w rurach kanalizacyjnych, chociaż niektóre widziano znikające w rozmaitych dziurach w ziemi.

Uczucie sennego koszmaru wzrosło. Thomas nie był w stanie uwierzyć w istnienie tych drapieżnych robaków. Fakt, że tyle osób je widziało, sugerował zbiorową histerię.

- Czy system kanalizacyjny został sprawdzony? - zapytał. McKenzie potwierdził.

- Ekipa inżynierów w specjalnych kombinezonach ochronnych, eskortowana przez kilkunastu uzbrojonych policjantów, weszła do głównego kanału pod zainfekowaną okolicą prawie godzinę temu.

- Co znaleźli? - spytał Thomas.

Nadinspektor skrzywił się.

- Nie wiemy. Jeszcze nie wrócili.

Anna wsiadła do niebieskiego fiata uno i zamknęła drzwi.

- Dzięki, Stephen, że tak szybko się zjawileś.

- Nie ma sprawy, pani Thomas - powiedział bez specjalnego entuzjazmu. Był wysokim, chudym chłopakiem, który zawsze przypominał Annie chorego owada.

Miał dopiero dwadzieścia jeden lat, był studentem Akademii Plastycznej i pracował niestrudzenie dla ich grupy obrońców środowiska. Jedynie z powodu wizyty u dentysty szczęśliwie nie uczestniczył w tragicznym wypadku w poniedziałek.

- Wszystko w porządku, pani Thomas? - spytał poważnie.

Zawsze ją bawiło, że tak upierał się przy tytułowaniu jej panią Thomas, nie zwracając uwagi na prośby, aby mówił jej po imieniu, zwłaszcza od momentu, gdy okazało się, że się w niej podkochuje. Często widziała, jak wpatruje się w nią oczami pełnymi piasego oddania.

Typowy przypadek zadurzenia. Czasami bawiło ją wyobrażanie sobie, jakie ma marzenia erotyczne z nią w roli głównej. Gdyby dowiedział się kiedykolwiek, że myśl o pójściu z nim do łóżka była dla niej niewiarygodnie śmieszna, pewnie by się załamał.

- Tak, tak, Stephen. Dzięki za troskę.

- To musiało być straszne. To w poniedziałek... Patrzenie na Poppy i Gavina i ...

- To było straszne, Stephenie, i wolałabym o tym nie rozmawiać.

- Przepraszam, pani Thomas - powiedział szybko. - Nie chciałem pani zranić. Chciałem tylko powiedzieć, jaką uczułem ulgę, że nic się pani nie stało. Gdyby coś się pani przytrafiło, ja...

- Doceniam twoje zaangażowanie, Stephen - starała się, aby zabrzmiało to poważnie. Jedźmy już, dobrze? Jest bardzo późno, a mamy przed sobą długą drogę.

- Tak, oczywiście... - zgodził się ochoczo.

Zaczął uruchamiać samochód, wykonując przy tym taką masę niepotrzebnych i nieskoordynowanych ruchów, jakby miał co najmniej sześć dodatkowych rąk.

Kiedy jechali przez miasto, zapytał:

- O co tu chodzi, pani Thomas? Co się dzieje w Harpenden?

- Dokładnie nie wiem, mają tam jakieś niecodzienne, nagłe kłopoty, a władze ciągle milczą na ten temat.

- Nie widziałem nawet wzmianki o czymś takim w wieczornych wiadomościach.

- Nie, i radio też nic nie podało. Ale Clive został wezwany do Harpenden już drugi raz dzisiaj - jest tam teraz - co oznacza, że dzieje się tam coś poważnie zagrażającego życiu ludzi.

- Pani.. eee.. .mąż... - Anna zauważyła, że zawsze miał kłopoty z odnoszeniem się do Clive'a - eee...czy nie powiedział pani, co tam się dzieje?

- Nie. Akurat ze sobą nie rozmawiamy - odrzekła sucho.

- Tak mi przykro, pani Thomas - powiedział, lecz jego głos sugerował wszystko z wyjątkiem żalu. - Ale bardzo rzadko się zdarza, aby współczesne małżeństwa...

Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Dziękuję za troskę, Stephen, ale nie myślę o wszczęciu kroków rozwodowych, przynajmniej na razie.

Usiłovali trzykrotnie wjechać do Harpenden, ale za każdym razem zatrzymywała ich blokada policyjna. Prośby o wyjaśnienie powodowały jedynie uprzejme i protekcyjne odpowiedzi, tak typowe dla policji. Nie było w nich żadnych konkretnych informacji.

- Co teraz? - spytał Stephen po kolejnej nieudanej próbie ominięcia blokady. - Próbujemy innej drogi?

- Nie. Całe miasto jest odcięte - to znaczy wszystkie drogi. Spróbuję dostać się tam na piechotę.

- Co? - krzyknął.

- Uspokój się. Nie zamierzam się narażać. Chcę tylko wejść do miasta i zrobić kilka zdjęć...

Otworzyła torbę i wyjęła małego nikon z fleszem.

- Zdjęcia, ale czego?

- Czegokolwiek, co się tam dzieje. Potrzebuję dowodów. Jeżeli władze nie wyjaśnią, o co chodzi, przekażę je takiej małej kurewce, dziennikarce, którą przypadkiem znam. Przynajmniej sprawię, że będzie się czuła trochę winna...

- Nie rozumiem... - powiedział Stephen.

- Nie musisz. Skręć w prawo i jedź, aż każę ci się zatrzymać.

Posłuszny rozkazom Stephen zjechał w boczną wiejską dróżkę. Przejechał prawie ćwierć mili, gdy Anna powiedziała:

- Dobra, zatrzymaj się tu. Przejdę przez pola. Te drzewa przy drodze chyba ukryją mnie przed policją.

Poderwał się.

- Proszę dać mi aparat. Ja pójdę.

- Jeszcze czego - powiedziała, stanowczo potrząsając głową. - To moja sprawa. Poza tym widziałam, jakie robisz

fotografie. Potrzebne mi coś innego, niż zbliżenie twojego kciuka.

Otworzyła drzwi.

- Nie martw się - powiedziała wysiadając. Nic mi się nie stanie.

Rozdział 8

Konstabl Roy Asher zaklął, wdepnąwszy w wyjątkowo wielkie psie gówno. Wylał podeszwę buta o trawnik i znowu zaklął:

- Do ciężkiej cholery, po co się tu pieprzymy po ciemku jak jakieś dwie dupy?

- Przestań zrzędzić - odpowiedział jego towarzysz, Dave Crompton. - To nadgodziny, nie?

- Chyba stracone godziny, jeżeli o mnie chodzi - stwierdził Asher, przesuwając snopem światła po ogródkach. - Nie zauważyłem do tej pory kompletnie nic. Ty też nie. Sądzę, że to wiele hałasu o nic.

- Hm, jednak coś dziwnego się tu dzieje. Słyszałem, że Phil i Ken znaleźli parę przecznic dalej zdechłego wilczura. Ważył zaledwie kilka funtów.

- Mam nadzieję, że to ten sam pies, co tam nasrał - burknął Asher. - No, teraz twoja kolej na głoszenie radosnej nowiny.

Crompton podszedł do drzwi i zadzwonił. Chwilę później na progu pojawił się mężczyzna około pięćdziesiątki, w szlafroku.

- O co chodzi? - spytał zdziwiony.

„Musi mieć coś na sumieniu” - pomyślał Asher.

- Dobry wieczór panu - grzecznie odpowiedział Crompton. - Proszę nam wybaczyć to najście, ale mamy tu w okolicy poważne problemy i musimy prosić pana o zastosowanie pewnych środków ostrożności.

- Problemy? Jakie problemy?
- Co się dzieje, kochanie? - drobna kobieta, także w szlafroku pojawiła się w przedpokoju.
- Nie wiem, Mags. Jakies kłopoty - rzucił przez ramię. Nic poważnego. Wracaj do łóżka.

- W zasadzie - powiedział Crompton - to jest coś poważnego. Muszę prosić państwa o zatkanie na jakiś czas wszystkich odpływów i kratek ściekowych w domu...

- Co on mówi? - krzyknęła kobieta.

- Mówi... mówi, że musimy zatkać wszystkie odpływy i kratki ściekowe - powiedział mężczyzna, wpatrując się w nich, jakby byli nienormalni.

„Jezu”- pomyślał Asher ze zmęczeniem - „znowu to samo”.

- Co mówi? - krzyknęła kobieta.

- Również - ciągnął Crompton z determinacją - jeżeli zobaczy pan coś dziwnego w okolicy, prosimy, aby się pan do tego nie zbliżał i natychmiast zadzwonił pod 999. Proszę powiedzieć telefonistce, że chodzi o Harpenden, wtedy połączą pana z naszym tymczasowym centrum dowodzenia. Policja przybędzie natychmiast.

Mężczyzna skinął głową, ale widać było, że nic z tego nie rozumie.

- A... - powiedział z wahaniem - a... co należy rozumieć przez „coś dziwnego”?

Crompton westchnął.

- Dokładnie to, co powiedziałem, proszę pana. Jeżeli pan, lub ktokolwiek z pana rodziny zobaczy w domu coś, co odbiega od normalności, musicie natychmiast zawiadomić policję.

- Na przykład, co? - nalegał mężczyzna.

- Na przykład robaki - powiedział Crompton zniżając głos.

- Co pan mówi? Powiedział pan „robaki”?

Włączył się Asher.

- Wiemy, że brzmi to trochę dziwnie, ale mamy instrukcję, aby ostrzec wszystkich mieszkańców, żeby unikali zbliżenia się do czegokolwiek, co przypomina wielkiego robaka, węża. Wiele osób zostało dziś przez nie poważnie zranionych.

- W tym domu nie ma robactwa sprzętami bardzo dokładnie, prawda Frank?

- Boże, dopomóż! - mruknął Asher.

Po kilku minutach policjanci poczuli, że Frank i Mags przynajmniej zaczęli traktować ich poważnie. Nie mogli liczyć na nic więcej, więc pożegnali się i poszli z powrotem przez ogród, oświetlając drogę latarkami.

Dochodzili już prawie do ścieżki, gdy nagle ziemia obsunęła się pod stopami Ashera. Wpadł aż po pas w dziurę w trawniku.

- Cholera jasna! - wrzasnął.

Po chwilowym szoku Crompton wybuchnął śmiechem. Asher wyglądał w tej dziurze, z oglupiałym wyrazem twarzy głupio i śmiesznie.

- Zdaje się stary, że trafiłeś w jakieś zapadlisko? - śmiał się Crompton.

- Jezu, pomóż mi lepiej stąd wyleźć, dobra -krzyknął Asher, usiłując wygrzebać się samodzielnie.

Ciągle się śmiejąc, Crompton wyciągnął do niego rękę, gdy nagle Asher zeszywniał i wydał przeciągły okrzyk bólu.

- Cholera, coś mnie gryzie! Wyciągaj mnie z tej pieprzonej dziury, szybko!

Przestraszony Crompton złapał go za ramiona i ciągnął z całej siły. Przez chwilę Asher siedział jeszcze w dziurze jak zaklinowany, potem wolno zaczął wychodzić, wrzeszcząc przeraźliwie.

- Zabierz je! Zdejmij je ze mnie, na miłość Boską!

Crompton spojrział w dół i zobaczył trzy długie, połyskujące, czarne macki grubości palca, przyłączone do nóg Ashera. Jedna z nich wydawała się wyrastać z jego krocza. Gdy wyciągał Ashera z dziury, macki rozciągały się niczym gumowe rurki.

Asher leżał koło dziury wijąc się i wierzgając konwulsyjnie, bezskutecznie usiłując strząsnąć z siebie macki.

Crompton, przepelniony uczuciem silnej, atawistycznej odrazy, zmusił się do złapania jednej z nich. Nawet przez rękawice poczuł, że jest zimna, śliska i dziwnie niematerialna. Wzdrygnął się. Ciągnął mackę z całej siły, ale cały czas była przyłączona do bioder Ashera.

Nagle Asher zamarł. Przestał wrzeszczeć. Spojrzął na Cromptona z rozpaczą w oczach.

- Są wewnątrz mnie - ciężko chwytął oddech. - Czuję je.. w środku... O Boże! Dave, pomóż mi...

Były to jego ostatnie słowa.

Crompton podskoczył i zaczął miażdżyć mackowate stworzy swymi ciężkimi butami...

Ciągle to jeszcze robił, gdy przyjechał drugi wóz patrolowy. Policjanci obejrzeni teren dokładnie w świetle latarek - niczego tam nie było.

Anna Thomas podeszła do czegoś, co wyglądało jak tyły jakiejś fabryki. Obok, z jednej strony, było boisko, a z drugiej osiedle nowo wybudowanych domków. Mimo późnej pory światła paliły się prawie w każdym domu. Widziała grupę mężczyzn z latarkami, patrolującą ulice.

Z ruchu światła latarek wywnioskowała, że muszą czegoś szukać. Ale czego?

Przewidując konieczność przemykania się niepostrzeżenie, Anna przezornie ubrała się w czarne dżinsy i ciemnogrnatową kurtkę. Była pewna że nikt jej nie dostrzeże, gdy skradała się wzdłuż fabrycznego muru.

Kiedy dotarła do drogi, ze zdziwieniem usłyszała warkot helikoptera. Gdy helikopter przelatywał bardzo nisko nad boiskiem, ukryła się za drzewem. Jego potężne reflektory oświetlały cały teren.

Wyjęła aparat, zastanawiając się, co sfotografować.

W tym momencie poczuła, że coś mokrego i zimnego dotyka jej prawej łydki. Uczuła lekkie ukłucie, zaskoczona potrząsnęła nogą, spojrzała w dół... i doznała szoku widząc długi, węzopodobny kształt, wystający z nogawki jej dżinsów.

Krzyknęła głośno i odruchowo przycisnęła guzik migawki. W świetle flesza ujrzała coś, co sprawiało wrażenie czegoś długiego i czarnego. Poruszało się szybko. Przemknęło błyskawicznie po trawie i zniknęło w rynsztoku koło krawężnika.

Ogarnięta paniką, nie zwracając uwagi na krążący helikopter, podbiegła do najbliższej latarni, pochyliła się i podwinęła nogawkę. Na łydce widniał czerwony ślad po ukłuciu.

„Cholera, to prawda!” - pomyślała. - „Ukąsił mnie jakiś wąż!”

Jak to możliwe? Jedyne jadowite węże w Anglii to żmije, ale malutkie. O wiele mniejsze niż ten kształt, który dostrzegła, gdy zniknął w kanale.

Zmusiła się do zachowania spokoju. Zdjęła pasek i założyła go na prawe udo w charakterze opaski uciskowej. Zastanawiała się, co robić dalej. Helikopter skierował się już ku osiedlu. Jasne, że nie dostrzegli ani jej, ani błysku flesza.

Rozważała podejście do grupy policjantów, których widziała w oddali, aby poprosić o pomoc. Odrzuciła ten pomysł.

Zadawaliiby za dużo kłopotliwych pytań. Nie, wróci do wozu, a Stephen zawiezie ją do najbliższego szpitala. Na pewno mu się spodoba zabawa w rycerza, ratującego z opresji piękną damę.

Szła przez pole i wmawiała sobie, że nie ma się czym przejmować. To nie mógł być wąż. A nawet gdyby to była wielka żmija, też nie ma powodów do paniki. Prawie nikt już nie umiera od ukąszenia żmiji.

Wmawiała sobie, że postępujące odrętwienie w prawej nodze było tylko wytworem jej wyobraźni.

- Dlaczego nie ewakuowaliście miasta? - spytał Thomas.

- Planowaliśmy, ale... ataki już się skończyły - odparł nadinspektor. - Nie mogę powiedzieć, żeby plan mi się podobał. Nie podoba mi się pomysł wyciągania ludzi w środku nocy, gdy tyle tych stworów czai się dookoła. Są bezpieczniejsi we własnych domach, przynajmniej do czasu, aż ustalimy, z czym dokładnie mamy do czynienia...

Thomas skinął głową. Jechali główną ulicą Harpenden szeroką, ładną drogą szybkiego ruchu. Pośrodku miasta znajdował się park. Migotał od świateł, a dookoła pełno było wozów policyjnych. Obaj z nadinspektorem kierowali się do pobliskiej szkoły - tymczasowego centrum dowodzenia.

Uśmiechnął się, widząc nazwę pubu: „Stary Kogut”. Będzie musiał opowiedzieć o tym Annie. Poczul wyrzuty sumienia, gdy przypomniał sobie, jak ją dzisiaj potraktował. Zachował się jak ostatnia świnia, ale nie mógł się wtedy opanować. Po ciężkim dniu i utarczce z Rentonem musiał się na kimś wyładować. Wiedział, że nie powinien obwiniać żony za połączenie przynęty tej cholernej reporterki. Wynagrodzi jej to jutro...

Chwilę później wchodził już z nadinspektorem do szkoły. Zdziwiony usłyszał, że ktoś go woła, odwrócił się i zobaczył młodego konstabla o rumianej twarzy.

- Czy pan doktor Thomas? - spytał.

Thomas skinął głową. „Co znowu?” - pomyślał.

- Mam dla pana pilną wiadomość. Pańską żonę zabrano do szpitala w St. Albans. Miała jakiś wypadek...

Thomas zdziwił się, widząc Stephena Legga w szpitalnej przychodni. Na jego widok chłopak zerwał się z krzesła. Był blady i dygotał.

- Panie doktorze, tak mi przykro. Nie powinienem pozwolić jej iść samej...

Thomas patrzył na niego nic nie rozumiejąc.

- Stephen, a co ty tu robisz?

- Przywiozłem Annę, to znaczy panią Thomas, do szpitala... Byłam z nią, kiedy to się stało... jego wydatne jabłko Adama podskakiwało nerwowo.

- Co się stało? - Thomas domagał się odpowiedzi.

- Pan nie wie?

- Nic nie wiem! Powiedziano mi, że Anna zachorowała. Sądziłem, że to opóźniona reakcja na poniedziałkowe wypadki...

Stephen nie zdążył odpowiedzieć, bo podszedł do nich młody mężczyzna w białym fartuchu.

- Pan jest mężem? - zwrócił się do Stephena.

- Tak, ja jestem mężem - odparł sarkastycznie Thomas. - Chcę zobaczyć żonę. Jak się czuje?

- Tak dobrze, jak to tylko możliwe - odpowiedział młody człowiek z irytującą pewnością siebie. - Jestem doktor Spurling. Zajmuję się pańską żoną.

Thomas spojrział na niego twardo. Nie spodobał mu się od

pierwszego wejrzenia. Spurling był młody, przystojny i mówił z wyraźnym arystokratycznym akcentem. W Thomasie rosło pragnienie rozbicia mu nosa.

- Proszę nie patrzeć na mnie tak z góry, młody człowieku
- odpowiedział zimno Thomas. - Sam jestem lekarzem. Proszę zachować ten ton dla innych. Może oni go przełkną. Gdzie moja żona?

W oczach Spurlinga błysnęła złość.

- Wiem, że jest pan lekarzem, doktorze Thomas - powiedział. - Ale uważam, że na razie ja mam lepsze kwalifikacje do leczenia pańskiej żony. Sądzę też, że trochę zawodowej uprzejmości z pańskiej strony nikomu by nie zaszkodziło.

Thomas wziął głęboki wdech i oznajmił

- Wypchaj się pan tą zawodową uprzejmością. Jeszcze raz pytam: gdzie moja żona?

- Na oddziale intensywnej terapii.

- Co? - Thomasa aż odrzuciło. Coś uderzyło go mocno w serce. - Na Boga, co się z nią dzieje?

- Proszę się uspokoić - powiedział Spurling. - Jestem pewny, że to tylko środek zapobiegawczy; musimy pomóc jej pokonać pierwsze efekty ukąszenia węża...

- Ukąszenia węża? - powtórzył Thomas. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

- Tak. Pańską żonę ukąsiła żmija. Wielka, jak słyszałem. Cierpi na okresową niewydolność nerek i jest dializowana, ale daliśmy jej serum i sporą dawkę oxymetholonu, więc sądzą, że nie ma zagrożenia życia.

Thomas spytał ze znużeniem:

- Czy twierdzi pan, że Annę ukąsił wąż? - to brzmiało zbyt niewiarygodnie.

Spurling skinął głową.

- Tak, żmija...

Thomas zwrócił się do Stephena, który był coraz bardziej ponury.

- To prawda? Mówiłeś, że z nią byłeś. Gdzie u licha mogliście być tak późno w nocy, żeby mogła ukąsić ją żmija? Nie mów tylko, że lataliście gdzieś nago po lasach, bo pękłbym ze śmiechu.

Stephen zaczerwienił się.

- Nie, nic takiego, doktorze - odpowiedział zaskoczony. - To był jej pomysł, żeby jechać do Harpenden..

- Co! Harpenden?! - Thomas złapał Stephena za kołnierz

- Tam ją właśnie ukąsił ten wąż... W Harpenden.

- Boże! - wyszeptał Thomas i nagle poczuł, jak cały jego świat legł w gruzach.

Rozdział 9

Spojrzał na Annę tylko raz i to wystarczyło, aby stracić resztkę nadziei. Leżała nieruchomo na łóżku, niczym woskowa figurka. Jedyne oznaki życia pochodziły z aparatury otaczającej łóżko.

Pielęgniarka stojąca przy niej odezwała się do Spurlinga bardzo zmartwiona:

- Panie doktorze, spada ciśnienie krwi.
- Tak? - powiedział obojętnie, podchodząc do ekranu monitora.

Thomas tymczasem wpatrywał się w żonę. Czuł nieopisaną rozpacz. Przypomniwał sobie ich ostatnie spotkanie parę godzin temu. Przypomniwał sobie łzy w jej oczach, łzy, które spowodował ostatnią, okrutną drwiną.

- Przepraszam, ukochana - powiedział miękko. Wiedział, że jest już za późno. O wiele za późno.

Podszedł bliżej i uniósł kóldrę, odsłaniając jej nogi. Szybko znalazł ślad po ukąszeniu na prawej łydce. Wyglądał dziwnie znajomo.

Spurling dołączył do niego.

- Tak - powiedział. - To ślad po ukąszeniu żmiji,
- Gdyby to był wąż, byłyby dwa ślady - powiedział Thomas apatycznie. - Nie tylko jeden duży.

- O, zawsze w okolicy ukąszenia występuje miejscowe zniszczenie tkanki skórnej - oznajmił Spurling. - Jad zawiera nie tylko toksyny, ale także bardzo silnie działający enzym trawienny.

- To prawda - zgodził się Thomas. - Lecz zmija nie jest aż tak jadowitym wężem, jak kobra, czy grzechotnik. Ukąszenie zmii nie mogło wywołać takiego znaku...

- Jak więc wyjaśnić pochodzenie tego znaku? - dopytywał się Spurling.

- Została porażona przez nie znaną nam toksynę wstrzykniętą przez nie znany jak dotąd organizm. Już nic nie można dla niej zrobić. - odrzekł Thomas ze znużeniem.

Spurling rzucił mu zdziwione spojrzenie.

- Co pan opowiada?

Zanim odpowiedział, pielęgniarka zawołała ponagląjąco:

- Doktorze, ciśnienie spada coraz szybciej!

Spurling spojrział na monitor ze zmarszczonymi brwiami.

- Nie rozumiem... - mruknął.

- Jak długo brzuch był wydęty w ten sposób? - w głosie Thomasa brzmiało zrezygnowanie.

- Co? - spytał Spurling z roztargnieniem.

Thomas wskazał dłonią Annę.

- Ma masywny krwotok wewnętrzny, a krew zbiera się w jamie brzusznej, co jest przyczyną tak nagłego spadku ciśnienia. Nic pan nie może zrobić.

Spurling wpatrywał się w Thomasa z otwartymi ustami.

- Mogę operować... - zaczął niepewnie.

Jeden z aparatów zaczął wydawać uporczywy, piszczący dźwięk.

- Zatrzymanie akcji serca! - krzyknęła pielęgniarka.

Thomas czekał bez ruchu w kącie pokoju, gdy bezskutecznie usiłowali ją reanimować. Kiedy poddali się, podszedł do Spurlinga.

- Chcę zabrać ciało.

Spurling wyglądał, jakby śmierć Anny była dla niego osobistą znie wagą.

- Tak, oczywiście, ale najpierw należy przeprowadzić sekcję...

- Pan nie rozumie. Chcę zabrać ciało teraz. Zorganizuję natychmiastowe przewiezienie jej do mojego laboratorium w Colindale. Im szybciej zacznę sekcję, tym lepiej.

- Pan zamierza przeprowadzić sekcję? - Spurling wyglądał na przestraszonego. - Ależ to pańska żona! Nie mogę na to pozwolić!

Thomas westchnął i rzekł:

- Nie mam czasu na wyjaśnienia, ale powiem panu, że nie może mi pan zabronić niczego. Powołuję się na przysługujące mi prawa na podstawie Ustawy o Ochronie Zdrowia Publicznego z 1948 roku, podrozdział 4, paragraf 3A... - Thomas wyjął z portfela legitymację służbową. - Jeżeli będzie pan stawiał jakiegokolwiek przeszkody, pańskim kolejnym kontaktem z medycyną będzie sprzedawanie aspiryny w prowincjonalnym sklepiku. Przepraszam na chwilę, ale muszę zatelefonować...

Nie patrząc na Annę odwrócił się i wyszedł z sali.

Zadzwoił do laboratorium i wrócił do poczekalni.

- Stephen, chciałbym z tobą porozmawiać - powiedział.

Stephen zerwał się z krzesła i spytał nerwowo

- Jak ona się czuje?

- Anna nie żyje - oznajmił krótko Thomas. - Posłuchaj mnie. To ważna sprawa...

- Nie żyje? - Stephen zbladł jak ściana. - Nie!

Thomas chwycił go za ramię i mocno potrząsnął.

- Powiedziałem: słuchaj! Muszę wiedzieć dokładnie, co się stało! To bardzo ważne! Każdy szczegół!

Urywany głosem, niemal płacząc, Stephen opisał, jak Anna wróciła do samochodu i powiedziała, że ukąsił ją jakiś wąż.

- Czy powiedziała, jak się od niego uwolniła? - spytał Thomas. Zgodnie z zeznaniami świadków z Herpenden, kiedy te macki przywarły do ciała, nie można ich było oderwać.

Stephen odwrócił się i wskazał palcem aparat, który został włożony na krzesło. Thomas rozpoznał nikonę Anny.

- Powiedziała, że błysk flesza odstraszył to. Zniknęło w rynsztoku. Czy ona naprawdę nie żyje, panie doktorze?

Ignorując pytanie Thomas wziął aparat. Zamyślił się. Istniała szansa, że Anna zrobiła zdjęcie temu stworowi. To mogłoby się przydać...

Po raz wtóry jego opanowanie zniknęło. Z wysiłkiem zamknął ból gdzieś w zakamarkach mózgu. Nie mógł pozwolić sobie na rozpacz. Nie teraz, nie przed ukończeniem pracy.

Anna leżała naga na twardym stole sekcyjnym z nierdzewnej stali. Thomas ujął skalpel i bez chwili wahania rozciął skórę od gardła aż do krocza. Postanowił zbadać w pierwszej kolejności jamę brzuszną, więc przeciął otrzewną, odsłaniając wnętrzności.

Tak jak się spodziewał, jama brzuszna zalana była krwią. Użył ssawki, aby ją usunąć i zbadał dokładnie jelita. Były w stanie zapalnym, opuchnięte i poszarpane, jakby je zanurzono w silnie żrącym płynie.

Żołądek i śledziona wyglądały podobnie. Wsunął dłoń w głąb brzucha, pod prawe żebra, i dotknął wątroby. Oba płaty były wręcz pokruszone.

W tym momencie coś go tknęło i spojrzał na rękawiczki. Guma była już upstrzona cętkami.

Szybko, lecz ostrożnie zdjął rękawiczki, umył ręce i założył nową parę. Po chwili dla pewności założył drugą.

Wrócił do pracy. Kiedy wyciął kawałki jelit, żołądka, śledziony i wątroby do analizy, otworzył klatkę piersiową. Najpierw rozciął skórę na mostku, po czym użył małej, zaokrąglonej piły, aby rozciąć kość. Włożył w nacięcie rozwieracz i pokręcił korbą. Kość szybko rozpadła się na dwie części. Klatka piersiowa Anny rozpadła się niczym potworny kwiat.

Pot wystąpił Thomasowi na czoło, lecz nie odważył się zerwać go ręką. Zajrzał w głąb klatki piersiowej i dostrzegł te same znaki straszliwego spustoszenia wśród tkanek, które obserwował w jamie brzusznej. Westchnął i zaczął wycinać kawałek zniszczonego płuca...

- Clive, nic ci nie jest?

Podniósł wzrok znak mikroskopu z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Nad nim stała Lisa i wpatrywała się w niego zatroskana. Nie usłyszał, jak wchodziła do laboratorium. Zmarszczył brwi.

- A co ty tu robisz o tej porze, w nocy?

- Nocy? Clive, jest prawie dziewiąta rano! Jak długo tu siedzisz? Wyglądasz potwornie!

- Rano...? - Spojrzał na zegarek, miała rację. W tym momencie poczuł skurcz w karku. Wyprostował się i zaczął rozmasowywać szyję.

- Clive, słyszałam o Annie - Nie wiem, co powiedzieć... - zaczęła niezdarne Lisa.

Uniósł rękę.

- Proszę, wolałbym nie mówić o tym teraz. Okay?

Z ulgą skinęła głową.

- Rozumiem.

Po chwili dodała:

- Przyniosę ci kawy. Wyglądasz, jakbyś jej potrzebował.

Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo jest spragniony i zmęczony, Lisa wybiegła szybko, jakby była zadowolona z wymówki, że może go zostawić samego. „Pewnie tak właśnie jest” - pomyślał.

Zaczął ponownie przeglądać notatki. Analiza była prawie ukończona...

Podniósł wzrok, słysząc trzask otwieranych drzwi.

Henry Mitchell stał w progu; jego oczy na moment zetknęły się z oczami Thomasa.

- Ach, Clive... - zaczął i urwał. Jego ociężałe ciało drżało ze zdenerwowania.

Thomas westchnął i powiedział:

- To samo było z Lisą. Nie chcę mówić o Annie. Proszę.

Mitchell kiwnął głową na znak zgody i przyczłapał bliżej, wciąż unikając jego wzroku. Ciężko usadowił się na ławce i ociągając się wykrztusił z wyraźną dezaprobatą:

- Powiedziano mi, że... hm... przeprowadziłeś sekcję osóbście, Clive.

- Tak - odrzekł spokojnie Thomas. - Ważna była szybkość. Proces rozkładu już trwał. W zasadzie ciągle jeszcze trwa.

- I... mm... co znalazłeś? - Mitchell mówił tak, jakby każde słowo było wrywanym zębem.

Thomas wziął notatnik.

- Znalazłem tę samą proteinę co u wszystkich poprzednich ofiar. Tylko, że w tym wypadku była ciągle aktywna. Jak przypuszczałem - to pewien rodzaj enzymu, lecz nie przypomina żadnego z jakimi się dotychczas spotkałem. Uśmiechnął

się blade. - W pewnym sensie ten głupek, doktor z St. Albans, miał rację. Rzeczywiście wstrzyknięto jej toksynę, ale nie był to jad węża...

- Nie rozumiem.

- Ten enzym jest potwornie silnym czynnikiem trawieniowym. Trawi wszystko: węglowodany, tłuszcze, białka...

- Enzym uniwersalny? - wykrzyknął Mitchell. - To niemożliwe!

Thomas wzruszył ramionami.

- Wybacz, lecz to właśnie tak wygląda. Tylko nie pytaj mnie, jak to działa. Te robale jakoś produkują enzym, który zamienia całe ciało człowieka w mieszaninę aminokwasów, które są następnie wchłaniane przez robaka w niewiadomy sposób. Znalazłem też ślady innych, trudnych do zidentyfikowania składników. Oczywiście, któryś z nich jest odpowiedzialny za mineralizację skóry ofiar, ale znowu nie umiem powiedzieć w jaki sposób, ani dlaczego.

Mitchell z rozpaczą powiedział:

- Jeszcze nie wiesz co to za robak?

- Przykro mi, Henry. Nie mogę ich połączyć z żadnym znanym mi procesem metabolizmu.

- Więc nie posunęliśmy się ani o krok w sprawie identyfikacji tych organizmów?

- Nie. Obawiam się, że nie. Zaczynam skłaniać się ku teorii Lisy. Są mutantami, całkiem prawdopodobne, że zwykłych ogrodowych dżdżownic. Ale czymkolwiek są - są bardzo niebezpieczne. Anna otrzymała mikroskopijną dawkę tego enzymu, ale i to wystarczyło, aby spowodować rozpad tkanek w całym organizmie. Kiedy te stworzy są w stanie wstrzyknąć normalną dawkę - tak jak w przypadku innych ofiar z

Harpenden - proces rozpadu i absorpcji jest przerażająco szybki...

Właśnie wróciła Lisa z kawą. Za nią szedł strażnik.

Przyniósł brązową kopertę.

- Doktorze Thomas, pana fotografie - powiedział wręczając mu kopertę. - Wykorzystałem kumpla ze szkoły policyjnej zaraz za rogiem. Powiedziałem, że pan twierdził, że to bardzo ważne, ale on się dopytuje, co jest tak ważne w tej rolce wakacyjnych fotek...

Thomas rozdarł kopertę i zadrzał z bólu. Pierwszo zdjęcie ukazywało Annę w letniej, niebieskiej sukience, uśmiechającą się do obiektywu. Stała na tle rzymskich ruin w Bath. Przypomniał sobie, jak robił te zdjęcia trzy tygodnie temu. Zawsze interesowała się historią Anglii pod panowaniem rzymskim i zwiedzanie antycznych ruin było jedną z jej największych przyjemności... Było.

Opanował się. Szybko przejrzał resztę zdjęć, aż znalazł to, którego szukał.

Nie było to dobre zdjęcie. Pokazywało kawałek pola oświetlony błyskiem flesza. W prawym dolnym rogu widać było czubek damskiego buta. Lecz uwagę Thomasa przykuł długi, czarny kształt na samej górze fotografii.

Obrzydliwie połyskiwał...

Thomas wbił w to wzrok. Wyglądało niczym gruba macka z ciemnej galarety, luźno owinięta przezroczystą błoną. Nie przypominało żadnego znanego mu węża ani robaka.

Pokazał Mitchellowi i Lisie zdjęcie.

- Jest tu - powiedział bezdźwięcznym głosem. - Ten stwór zabił Annę. I prawdopodobnie zabije jeszcze wiele innych osób, jeżeli mu w tym nie przeszkodzimy.

Rozdział 10

Tej nocy Robin Carey wróciła do swego mieszkania w St. Albans tuż po jedenastej. Chciała zostać nieco dłużej w Harpenden, ale była zbyt wyczerpana. Nie spała przez całą poprzednią noc bezskutecznie usiłując odkryć, co się tam działo.

Po otrzymaniu wiadomości od Anny Thomas i opracowaniu wywiadu, przeprowadziła krótkie dochodzenie.

Szybko zorientowała się, że coś dziwnego działo się w mieście. Już wcześniej policja zablokowała drogi i nałożyła embargo informacyjne, więc ani ona, ani nikt z jej kolegów, nie zdobył, pomimo całonocnego czuwania, żadnych konkretnych wiadomości.

Afera nie ucichła z nastaniem dnia. Zbyt wiele osób ucierpiało tej nocy. Władze nie mogły dłużej trzymać całej sprawy pod kluczem - nie mieli wyboru, trzeba było rzucić prasie parę szczegółów. Po kolei, większość zaskakujących faktów została ujawniona - miasto padło ofiarą inwazji zmutowanych, straszliwie jadowitych robaków. Dziewięćdziesiąt trzy osoby zginęły w nocy. Wiele psów i kotów, bydło i owce na terenach przyległych do Harpenden również zostały zabite... Nie podano żadnego wyjaśnienia lub teorii o pochodzeniu tych robaków, z wyjątkiem informacji, że są mutantami.

Robin była świadkiem ewakuacji miasta i przybycia specjalnych, przeszkolonych na wypadek wojny chemicznej jednostek wojskowych. Ubrani w grube kombinezony ochronne zeszli do kanałów z miotaczami ognia i innymi rodzajami broni, aby wysłedzić i unicestwić robaki. W innych, zainfekowanych

częściach miasta wykopano głębokie doły i wpompowano w głąb ziemi chlor.

Wszystko było nader ekscytujące. Nie mogła jednak stłumić w sobie żalu, że wypadki usunęły całkowicie w cień jej wywiad z Anną Thomas z poprzedniego wieczora. Kto się teraz interesował rewelacjami pani Thomas? Tragedia na terenach wierceń NIREX-u nagle stała się przebrzmiałą już sprawą.

Dzień chylił się ku końcowi. Nie znaleziono dotąd ani śladu robaków. Oddziały przeszukujące kanary, natknęły się jedynie na zwłoki członków ekipy, wysłanej na dół poprzedniej nocy.

Wszyscy reporterzy zostali wyproszeni z Harpenden. O szóstej władze postanowiły ponownie zamknąć miasto. Powszechna opinia głosiła, że stwory są aktywne jedynie nocą.

Dwa tysiące żołnierzy, czterystu ochotników z policji i naukowcy pozostali na miejscu. Wszyscy mieli do dyspozycji kombinezony ochronne oraz rozmaite rodzaje broni. Gdyby robaki się pojawiły, zostałyby spalone, zagazowane lub zatrute. Miała to być największa operacja fumigacyjna w historii Anglii.

Robin czekała kilka godzin pod szlabanem. Gdy zapadła noc, zmęczenie wzięło górę nad ciekawością, postanowiła więc wracać do domu. Było zresztą absolutnie nieprawdopodobne, aby władze udzieliły jakichkolwiek informacji przed jutrzejszym rankiem...

W mieszkaniu panowała nieznośna duchota. Noc była parna i dziewczyna wiedziała, że mimo potwornego zmęczenia będzie miała wielkie kłopoty z zaśnięciem.

Otworzyła wszystkie okna. Weszła do malutkiej kuchni i wyjęła butelkę wody mineralnej z lodówki. Wypiła pół, potem naląła sobie dużą szkocką, dołąła wody i wróciła do pokoju.

Pociągnęła głęboki łyk szkockiej, rozebrała się, podniosła słuchawkę i wykręciła numer biura, w sekcji wiadomości siedział Larry McCullough.

- Tu Robin. Jakie są ostatnie wieści z Harpenden?

- Bez zmian. Odkąd odjechałaś, nie ogłoszono żadnego oficjalnego komunikatu. Fama niesie, że robaki zachowują się dziś w nocy spokojnie. Nie dostrzeżono ani jednego.

- Może te świństwa, które wpompowali w ziemię i do kanałów wytruły je wszystkie - powiedziała.

- Może - zgodził się. W jego głosie słyhać było rozczarowanie.

- Cóż, zawiadom mnie, jak tylko coś wypłynie. Jeśli nie, zobaczymy się jutro. Dobranoc, Larry...

- Czekaj. Słyszałaś o Annie Thomas?

Robin zmarszczyła brwi.

- Co z nią?

- Nie żyje.

- Co?!

- Była jedną z ofiar w Harpenden - powiedział Larry.

- To niemożliwe! - krzyknęła Robin. - Sprawdziłam listę nazwisk wszystkich ofiar. Przecież zauważyłabym, gdyby była na liście.

- Nie zmarła w Harpenden. Zabrano ją do szpitala w twoim ogródku - St. Albans. Dlatego nie było jej na liście.

- O cholera - jęknęła cicho Robin i rozłączyła się.

Zrobiło się jej niedobrze.

Dopiła szkocką i poszła do łazienki. Przez ostatnie godziny marzyła o prysznicu, ale teraz, stojąc pod zimnym tuszem, nawet nie czuła wody padającej na skórę.

Jej myśli koncentrowały się na kobiecie, z którą przeprowadziła wczoraj wywiad - kobiecie, którą zdradziła.

Wróciła do sypialni, wycierając się z roztargnieniem. Gorąco wydawało się jeszcze bardziej męczące. Otworzyła szafę i wyjęła stary wentylator elektryczny. Postawiła go na nocnym stoliku i włączyła. Strasznie hałasował, ale był jednak potężną, staromodną, dobrą maszyną i szybko ochłodził gorące, wilgotne powietrze.

Nalała sobie drugą szkoocką, tym razem bez wody.

Chciała się zalać. Pragnęła uciec nie tylko przed gorącem, ale przede wszystkim przed wyrzutami sumienia związanymi z Anną Thomas.

Dwie przecznice dalej, w mieszkaniu na parterze, Sebastian Morgan uwikłany w kolejną bitwę swej nie kończącej się wojny z zatwardzeniem usiadł na klozecie. Był emerytowanym reżyserem filmowym. Za zszarpanie żołądka i kiszek winił zdjęcia plenerowe w Indiach pod koniec lat sześćdziesiątych, podczas kręcenia „Buntu w Pandzabie”. Spędził tam całe siedem miesięcy, torturowany przez rozstrój żołądka, mimo picia jedynie wody mineralnej i jedzenia żywności przysyłanej z Anglii. Od tamtej pory miał ciągle kłopoty. A na dodatek film zrobił klapę...

Zatwardzenie było najmniej istotną oznaką choroby, ale za to najbardziej czasochłonną. Godzinami przesiadywał w toalecie, usiłując osiągnąć właściwe ruchy jelit, zazwyczaj bez sukcesu. Wypróbował już wszystkie renomowane specyfiki - od chocolaxu do olbrzymich dawek allbranu. Nic mu nie pomagało.

Dzisiejszy wieczór był typowy. Siedział już w toalecie przeszło godzinę i nic. Zdecydował się próbować jeszcze kilka minut, a potem poddać się i pójść spać.

Napiął się najmocniej jak mógł, czując, jak cała krew nabięła mu do twarzy z wysiłku. Obawiał się, że któregoś dnia naczynia krwionośne w mózgu nie wytrzymają takiego wysiłku i pękną.

Coś zimnego dotknęło go między pośladkami. Z początku myślał, że to bryzg wody, ale dobrze wiedział, że nic do muszli nie spadło, więc co mogło spowodować to pryśnięcie?

Uczucie zimna trwało nadal. Nagle aż jęknął z bólu, gdy ukłucie przeszło mu odbytnicę.

Poderwał się: jego pośladki niechętnie odkleiły się od plastiku, do którego prawie przyrosły przez ostatnią godzinę. Spojrzał i osłupiał, gdy zobaczył długą, cienką mackę tuż za sobą. To coś wyrastało z muszli...

Ogarnęła go panika. Co to było? Czy to część jego kiszki?

Usiłował się wyprostować, ale poczuł, że to coś ściąga go z powrotem, niczym guma.

Wtem ku swemu przerażeniu poczuł, że to coś porusza się wewnątrz jego ciała.

Słabym głosem zaczął wzywać pomocy, chociaż nikogo nie było w domu. Usiłował znowu wstać, ale nogi miał zupełnie bezwładne.

Teraz już wiedział, że to coś nie było jego częścią jak się z początku obawiał, lecz wypełzło z muszli. Coś żywego...

Histerycznie złapał za spłuczkę i pociągnął ją w nadziei, że może uda się spłukać to coś wodą. Lecz stwór pozostał wrośnięty w jego ciało. Czuł, jak przekopuje się w górę.

Nagle atak paraliżu przeszył go od stóp do głów. Mógł jedynie bezradnie siedzieć na toalecie, a krzyk przerażenia zamarł mu gdzieś pod czaszką.

Jill Donaldson poruszyła się przez sen. Colin ją łaskotał. Czuła, jak jego palec przesuwa się po wnętrzu jej dłoni...

Rozbudziła się zupełnie, gdy zdała sobie sprawę, że czuje łaskotanie w lewej dłoni, zaś Colin, jak zwykle leżał z prawej.

Leżała w ciemności zastanawiając się, czy to łaskotanie w dłoń opadającą z łóżka było jedynie snem.

Ale wtedy poczuła je znowu - coś jakby dotknięcie wilgotnego nosa psa - wiedziała już, że to nie był sen. Cofnęła dłoń, usiadła i wyciągnęła rękę w kierunku lampki.

Światło zapaliło się. Zaczęła wrzeszczeć. Koło łóżka kołysało się coś, co przypominało cienkiego, bezgłowego węża...

- Colin! - krzyknęła. Odwróciła się, wbijając mu palce w ramię, aby go obudzić.

Jej drugi krzyk był jeszcze bardziej przeraźliwy.

Zobaczyła, że palce przebijają skórę Colina, a jego ramię rozpada się ze spróchniałym trzaskiem.

Robin, naga, leżała na plecach, z rozrzuconymi ramionami i nogami, aby chłodny powiew wentylatora owiewał jak największą powierzchnię ciała.

Mniej niż jard od jej łóżka wężący czubek czarnej macki pojawił się na parapecie okna. Przez chwilę chwiał się na boki, po czym skierował się w stronę Robin. Wolno macka przesuwała się przez parapet w dół, na podłogę i wiała się w kierunku łóżka.

Rozdział 11

Clive Thomas ocknął się przerażony. Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że we własnym łóżku. Odwrócił się i spojrział na nagie plecy Anny leżącej tuż obok. Westchnął, wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia.

- Boże... - mruknął.

Poruszyła się i spytała:

- Co się stało?

- Miałem koszmar. Okropny koszmar.

- O czym?

Zawahał się. Jak mógł się przyznać, że śnił o jej śmierci? I że przeprowadził sekcję jej zwłok?

- Śniło mi się... śniło mi się, że mnie porzuciłaś.

Odwróciła się i popatrzyła mu prosto w twarz. Pocałowała go w nos, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Wiesz, że nigdy bym tego nie zrobiła...

- Wiem.

Objął ją i przytulił tak mocno, jak tylko mógł.

Łomot do drzwi. Miał wrażenie, że ktoś dobija się od dłuższego czasu, ale dopiero teraz go usłyszał.

- Ktoś jest przy drzwiach - zwrócił się do Anny.

- Nie zwracaj uwagi - szepnęła mu do ucha. - Obejmij mnie, nie pozwól mi odejść...

Łomot ciągle trwał.

Nagle oprzytomniał. Usiadł. Znajdował się na kanapie w swoim biurze. Rozejrzał się szukając Anny, ale nigdzie jej nie

było, choć ciągle czuł ciepło jej ciała.

Anna. Było coś związanego z Anną, coś, czego nie powinien pamiętać...

Za późno. Fala pamięci powróciła razem z poczuciem do tkliwej straty, raniącej zupełnie jak fizyczny ból, zapierającej oddech w piersiach.

- Anno... - jęknął.

Anna nie żyła. Nie żyła.

Lomot do drzwi ciągle trwał. Tylko on był prawdziwy.

Wstał i chwiejnie, jakby pokój dokoła niego się kołysał, podszedł do drzwi i otworzył.

W drzwiach stała dziewczyna. Bardzo ładna dziewczyna, z niebieskimi oczami tak jasnymi, jakby były podświetlone.

- Doktor Thomas? - spytała z wyrazem przestachu na twarzy, co sprawiło, że zaczął się zastanawiać, jak wygląda. Domyślał się, że diabelnie źle. Od paru dni się nie golił.

- Tak - odparł znużonym tonem. - Czego pani chce?

- Muszę z panem porozmawiać. To bardzo ważne. Ale najpierw musi pan obiecać, że mnie pan wysłucha. Wściekanie się czy denerwowanie nie pomoże żadnemu z nas.

Spojrzał na nią z ukosa.

- Dlaczego miałbym się denerwować? Kim pani jest? A w ogóle, jak się Pani tu dostała?

- Powiedziałam przy bramie, że jestem pańską siostrą, spieszyłam się.

- Co pani powiedziała?

- Doktorze, jestem Robin Carey.

Zapanował długa cisza. Thomas zdał sobie sprawę, że stoi twarzą w twarz z dziewczyną, która pośrednio była odpowiedzialna za śmierć Anny. Gdyby nie ten wywiad, który doprowadził do awantury, Anna nigdy nie pojechałaby do Harpenden tamtej nocy...

- Zamordowałaś moją żonę - warknął zimno. - Wynoś się stąd w cholerę, zanim zrobię z tobą to samo.

Cofnęła się o krok, ale nie wyszła.

- Bardzo mi przykro z powodu pańskiej żony, doktorze, proszę mi wierzyć. Bardzo żałuję, że jej nakłamałam...

- Twoje kłamstwa zabiły ją równie skutecznie, jakbyś pchnęła ją nożem. Lecz to byłaby chociaż czysta śmierć, do cholery, a ona miała bardzo ciężką. Chcesz spojrzeć na jej ciało? To, co z niego zostało, jest niedaleko stąd. Dlaczego nie podejdziesz i nie popatrzysz na swoje własne dzieło?

Podniósł głos do krzyku. Znowu cofnęła się o krok.

- Nie musisz mi mówić, jak umarła! - krzyknęła.

- Prawie zginęłam w ten sam sposób zeszłej nocy!

Zaśmiał się szyderczo.

- Kolejne z twoich reporterskich kłamstewek.

- Nie, to prawda. Nie miałeś żadnych informacji o ostatnim ataku?

- Znowu w Harpenden?

- Nie. Wszyscy zwracali uwagę na Harpenden, a one tymczasem podeszły pod St. Albans, pięć mil na południe od miejsca poprzedniego ataku. Ale ten był o wiele gorszy. Ocenia się, że przeszło pięć tysięcy ludzi zmarło wczoraj w nocy.

- Pięć tysięcy?

Skinęła głową.

- To było straszne. Tych stworów było pełno, wszędzie. Miało się szczęście, jeżeli się nie nocowało w domu. Przyjechałam do ciebie, jak tylko zrobiło się jasno - stwory wydają się znikać o świcie. Nie było cię w domu, więc przyjechałam tutaj i widzę, że spędziłeś noc tu... - wskazała na kanapę.

- Nie rozumiem - powiedział podejrzliwie. - Dlaczego tak koniecznie chciałaś się ze mną zobaczyć?

- Chciałam ci dać to - zsunęła torbę z ramienia, otworzyła ją, ostrożnie wyjęła czarny plastikowy worek i podała mu go. - Sądzę, że jesteś najwłaściwszą osobą do zajęcia się tym.

- Co to?

- Popatrz sam.

Wziął worek. Cokolwiek to było, nie ważyło prawie nic. Podszedł do biurka, odsunął papiery i wyrzucił zawartość z torby. Na blat wypadł mniejszy przezroczysty worek. Zawierał dwa dwunastocalowe kawałki czegoś, co wyglądało jak czarna galaretka owinięta przezroczystą błoną.

Odwrócił się i spojrzał na nią z podziwem.

- Skąd to zdobyłaś? Jak?

Wzruszyła ramionami, ale w jej błękitnych oczach pojawił się błysk tryumfu.

- Mówiłam ci. Prawie mnie zabiły wczoraj w nocy. Byłam śpiąca, ale nie mogłam usnąć z powodu gorąca i... Jeszcze nie spałam, kiedy to wlało przez okno. Usłyszałam, jak sunie po podłodze. Obok łóżka stał wentylator. Stary, należał jeszcze do mojego ojca. Gdy to coś rzuciło się na mnie, złapałam bez namysłu wentylator i użyłam go jako tarczy. Ostrza przecięły tego stwora na pół. Te dwa kawałki upadły na podłogę, a reszta uciekła przez okno...

Thomas ze wstrętem wpatrywał się w połyskujące kawałki „robaka”.

- Czy komuś udało się zdobyć jakieś próbki? - spytał.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. Dlatego uważałam za bardzo ważne dostarczenie ich tutaj tak szybko, jak to możliwe.

Skinął głową, złapał worek i wybiegł na korytarz.

Po chwili wahania Robin poszła za nim. Ostatecznie, skoro weszła do jaskini lwa, to może wejść i dalej.

Musiała przyznać, że doktor Clive Thomas nie wyglądał tak, jak sobie wyobrażała. Z jakiegoś powodu spodziewała się, że będzie o wiele starszy od żony. Stworzyła sobie obraz siwego, lekko kopniętego naukowca i замуrowało ją na widok stojącego w drzwiach młodego mężczyzny, bardzo podobnego do Roberta Powella, jej ulubionego aktora. Owszem, był w wyjątkowo nędznym stanie. Ubranie wyglądało, jakby całą noc leżało w wyżymacze, ale nie ujmowało mu to uroku.

Od razu pożałowała, że nie spotkali się w innych okolicznościach.

Poszła za doktorem do laboratorium i patrzyła, jak zakłada gumowe rękawiczki, a potem za pomocą szczypców wyciąga oba kawałki z torby. Położył je na dwóch metalowych płytach. Wydawał się nie dostrzegać jej obecności, więc zachowywała się cichutko, mając nadzieję, że jej nie wyrzuci.

Przez prawie pół godziny przyglądała się jego pracy, aż spojrzała na zegarek. Ósma trzydzieści. Bezszelestnie wyszła z laboratorium i wróciła do gabinetu. Podniosła słuchawkę. Połączyła się z miastem i zadzwoniła do gazety.

Reakcja Lary'ego zaskoczyła ją.

- Chryste! - wrzasnął. - Żyjesz! Myśleliśmy, że zginęłaś. Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale nikt nie odbierał... Czy wszystko w porządku, skarbie?

- Tak, czuję się świetnie. Miałam w nocy wizytę, ale przeżyłam.

- Chcesz powiedzieć, że to coś dostało się do twojego mieszkania? Jezus, jak uciekłaś? I, do cholery, dlaczego nie dzwoniłaś? Żadna z gazet nie ma opisu ataku tych robali z pierwszej ręki.

Nie mogła opanować uśmiechu. W jednej chwili Larry był

pełen troski i nią, moment później instynkt reportera brał górę nad uczuciami.

- Przepraszam, Larry. Miałam inne sprawy na głowie. Na przykład, jak przeżyć. Spędziłam resztę nocy na czuwaniu, czy nie pojawią się inne.

- Dobra, okay, teraz dyktuj. Jestem gotowy.

- Eee... Larry... - Gdyby opisała, co się stało, musiałaby przyznać, że miała te dwa kawałki robaka, a to chciała ukryć, przynajmniej na jakiś czas. - Teraz nie mogę. Później wszystko wyjaśnię.

- Co to znaczy „wyjaśnię później”? Stary chyba pęknie, jak usłyszysz, że siedzisz na takiej rewelacji.

- Więc mu nic nie mów. Słuchaj Larry, jestem na tropie sprawy, która powinna być jeszcze większą rewelacją. Daj mi trochę więcej czasu, dobra?

Po drugiej stronie zapadła cisza, wreszcie Larry stwierdził:

- Zdaje się, że nie mam wyboru. Skąd dzwonicz?

- Przykro mi, ale tego też nie mogę powiedzieć.

- Do diabła, Robin, a co możesz mi powiedzieć?

- Tylko tyle, że jest coraz gorzej. Szosy są zapchane samochodami. Wygląda na to, że wybuchła panika...

- O tym już wiemy. Histeryczny strach przed robakami ogarnia prawie cały kraj. Wszędzie zgłaszano ich pojawienie się od Brighton do Edynburga.

- Boże! - nagle poczuła mdłości. - Czy chcesz przez to powiedzieć, że one są wszędzie?

- Nie - zapewnił. - Żadne ich pojawienie się poza St. Albans nie zostało potwierdzone. Jak dotąd, pojawiły się tylko w tej okolicy.

- Taak. Uderzyły na całe St. Albans. Było ich zdecydowanie więcej niż w Harpenden. Jeżeli dalej będą się rozmnażać w takim tempie, zaleją cały kraj. Co na to rząd?

- Zwołano nadzwyczajne posiedzenie, które właśnie trwa. Mówi się, że dziś rano ogłoszą stan wyjątkowy.

- Wspaniale! To na pewno wystraszy te robale - stwierdziła sarkastycznie. - Czy ktoś już wie, czym one są i skąd pochodzą?

- Nie. Jest wiele teorii, ale nikt nie wie nic konkretnego.

Uśmiechnęła się.

- Cóż, może niedługo sytuacja się zmieni. Będę w kontakcie. Muszę kończyć. Cześć Larry.

- Czekaj! O co ci chodzi?

Przykro mi, ale pogadamy później - powiedziała i rozłączyła się.

Wróciła do laboratorium. Pochylony nad mikroskopem Thomas nawet nie drgnął, gdy weszła. Zdecydowała się nic nie mówić.

Tuż przed dziewięcią drobna kobieta koło trzydziestki weszła do laboratorium. Miała jasnobrązowe włosy i nosiła grube okulary. Spojrzała na Robin ze zdumieniem.

Powiesiła płaszcz, założyła białe fartuch i podeszła do Thomasa.

- Cześć Clive - powiedziała z amerykańskim akcentem. - Co się tu dzieje?

Thomas coś zamruczał, nie podnosząc nawet wzroku. Trzymał w ręku duży, cylindryczny aparat z wmontowanym monitorkiem. Robin nie miała pojęcia, co to było.

- Nie przedstawiś mnie koleżance? - spytała kobieta, wskazując na Robin.

Jedyną odpowiedzią było znowu mruknięcie. Wtedy kobieta zauważyła tackę z kawałkiem robaka. Utkwiła w tym wzrok i spytała:

- Clive, czy to naprawdę to, o czym myślę? Wygląda dokładnie jak stwór ze zdjęcia Anny.

I tym razem żadnej odpowiedzi. Spojrzawszy jeszcze raz na tacę, kobieta wybiegła z pokoju. W parę chwil później wróciła w towarzystwie trzech mężczyzn. Jednego z nich, tego grubasa, Robin widziała już wcześniej.

Wszyscy zerknęli na nią wchodząc, ale ich uwagę przyciągało coś innego. Stali nad segmentem robaka niczym krewni nad noworodkiem.

- Boże święty, Lisa! - wykrzyknął grubas. - Miałaś rację! To rzeczywiście to!

Zwrócił się do Thomasa:

- Clive, skąd u licha to wytrzasnąłeś?

Ciągle zaprzętnięty monitorkiem Thomas wskazał kciukiem Robin. Wszyscy spojrzeli na nią.

Nerwowo powiedziała:

- Mieszkam w St. Albans. Zaatakowały mnie wczorajszej nocy, ale miałam szczęście... - opowiedziała o wentylatorze.

Gdy skończyła, grubas stwierdził:

- Rzeczywiście miała pani szczęście, młoda damo. Nikt na razie nie ocalał po bezpośrednim ataku.

- Wiem - odpowiedziała, mając nadzieję, że Thomas nie wspomni, iż jest reporterką. Nie chciała zostać stąd wyrzucona, zanim dowie się, co Thomas ustalił.

- No, Clive, co to jest?

Thomas westchnął i wyłączył aparat. Kiedy się odwrócił, jego twarz była jeszcze mizerniejsza, ale oczy błyszczały. Westchnął głęboko i oznajmił:

- Nie mogę stwierdzić, co to jest, ale wiem jedno - to coś jest pochodzenia pozaziemskiego.

Zapadła długa cisza. W końcu grubas zapytał:

- Nie rozumiem o czym mówisz, Clive. Pozaziemskiego...

- Pozaziemskiego - powtórzył Thomas. - Nie z tej ziemi. Obcy. Z przestrzeni kosmicznej. Coś z innej planety. Nie przychodzi mi do głowy żadne inne kosmiczne synonimy.

Grubas wyglądał jak ogłuszony.

- Nie mówisz chyba poważnie.

- Obawiam się, że tak. - Thomas wskazał ruchem głowy tackę. - To, co tam leży, jest częścią autentycznego stworzenia z kosmosu.

Grubas głośno jęknął.

Rozdział 12

- Doktorze Thomas, czy pan zupełnie postradał zmysły? - zimno spytał Renton.

Thomas patrzył z obojętnością na wściekłą minę Rentona i jego zaciśnięte usta. Nagle poczuł się znużony, potwornie znużony. Chciał się tylko położyć i zasnąć na długo. Najlepiej na całą wieczność.

Przesunął wzrokiem po otaczających go twarzach - laboratorium było pełne ludzi. Wyczytał w ich oczach różne rzeczy: ciekawość, rozbawienie, współczucie, litość, ale ani śladu poparcia. Nawet Lisa patrzyła na niego tak, jakby oznajmił, że znalazł krasnoludka w męskiej toalecie.

- Nie podoba mi się to tak samo jak wam, ale to jedyne wyjaśnienie. Ten organizm... - wskazał na tacę - nie rozwinął się na Ziemi. Ma strukturę komórkową różniącą się znacznie od struktur istot ziemskich. Jedynym podobieństwem jest istnienie w komórkach łańcuchów węglowych.

- Mówiłeś, że znalazłeś struktury krzemowe - przypomniał Mitchell.

Thomas skinął głową.

- Znalazłem. W błonie komórkowej. Ale zawartość komórek jest organiczna. Nie jest to organizm krzemowy i nie potrafię stwierdzić, jaka jest funkcja struktur krzemowych.

Renton parsknął szyderczo.

- Mutacja, to wszystko. Nie ma pan dowodu, że to jest pochodzenia pozaziemskiego.

- Mówiłem panu, profesorze, już wcześniej - westchnął Thomas. - Komórki nie mają jąder, ani chromosomów, ani genów.

- Niemożliwe. - Renton uśmiechnął się szyderczo. - Po prostu pan ich jeszcze nie wykrył.

- Przebadałem pod mikroskopem elektronicznym wiele różnych komórek. Zawsze ten sam efekt - nie ma jądra w żadnej z nich, kropka.

- Ale nie jest możliwa reprodukcja komórek bez materiału genetycznego - powiedział Mitchell.

- Zgoda, ale metodami nam znanymi - stwierdził Thomas. - Możliwe, że ta forma życia posługuje się innym systemem. Wykryłem wiele struktur, które, jak sądzę, pełnią funkcję mitochondriów w cytoplazmie. Różne kształty i rozmiary, ale niczego nie udało się zidentyfikować. Możliwe, że poza przetwarzaniem pożywienia w energię i syntezę materiałów strukturalnych w komórce, co jest główną funkcją mitochondriów w komórkach organizmów ziemskich, te obce kontrolują także rozmnażanie. Ale nie używają ani RNA, ani DNA.

Niemal morderczy wzrok Rentona nagle złagodniał, a w jego głosie zadźwięczała fałszywa troska:

- Doktorze Thomas... Clive, żył pan ostatnio w wielkim napięciu. Jest to zrozumiałe, po szoku, jakim była śmierć pańskiej żony przedwczorajszej nocy. Nie powinien pan pracować, powinien pan wyjechać na urlop i odpocząć. Nic dziwnego, że zachowuje się pan tak nieobliczalnie i wyciąga nieco... zbyt daleko posunięte wnioski. Może weźmie pan urlop, powiedzmy - miesiąc i wróci do nas kiedy się pan lepiej poczuje.

- Moje pójście na urlop nie zmieni wyników analizy, profesorze - odparł Thomas. - Nie może pan zignorować moich odkryć.

Maska współczucia opadła z twarzy Rentona.

- Zapewniam pana, że wykonamy wiele serii testów, aby wykryć całą prawdę. Ale nie zawiadomię ministra, że jeden z moich pracowników uważa, że mamy do czynienia z inwazją potworów z kosmosu.

Odwrócił się i spojrzął na wszystkich.

- I życzę sobie zachowania ścisłej tajemnicy, zrozumiano? Ani słowa komukolwiek.

Odwrócił się znowu do Thomasa.

- Dotyczy to zwłaszcza pana. Proszę zachować swoje zwariowane teorie dla siebie. Jeżeli przeczytam o tym w jakiegokolwiek gazecie, będzie pan skończony.

Dopiero wtedy Thomas przypomniał sobie o reporterce. Rozejrzał się po laboratorium, ale już jej nie było. Wyszła. Bez wątpienia pojechała do swojej gazety:

Absolutnie nic go to nie obchodziło.

Thomas miał poważne kłopoty z dojechaniem do domu. Całe St. Albans zostało ewakuowane. Po drodze zatrzymywali go policjanci i patrole wojskowe. Na szczęście był w stanie wmówić im, posługując się legitymacją służbową, że jedzie w ważnej misji, więc go przepuszczano.

Około południa dotarł wreszcie do domu. Dzień był piękny, słoneczny, niebo bezchmurne. Żadnych bawiących się dzieci, gospodyń domowych w ogródkach, żadnych samochodów. Ulica była martwa i pusta. Jak jego dom. Jak jego życie.

Zatrzymał się pod drzewami, jakby chciał się psychicznie przygotować. Przekręcił klucz w zamku, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Wszędzie, tak jak się obawiał, czuł obecność Anny. Zupełnie tak, jakby przed chwilą wyszła i miała zaraz wrócić.

Wszedł do jej malutkiego gabinetu. Nie dokończona strona tkwiła jeszcze w maszynie do pisania. Część nowej książki dla

dzieci, która już nigdy nie zostanie wydana.

Piekącymi z bólu oczami przeczytał stronę. Wrócił do saloniku, otworzył barek, nalał sobie pół szklanki whisky i zabrał ze sobą do sypialni.

Tutaj czuł jej obecność wręcz namacalnie. Otworzył szafę i wpatrywał się w ubrania. Wyciągnął rękę i dotknął materiału którejs bluzki. Nie mógł uwierzyć, że Anna nigdy jej już nie założy.

Podszedł do łóżka i usiadł ciężko na brzegu. Całe ciało bolało go z powodu zmęczenia i rozpaczy. Wypił trochę whisky i dostrzegł butelkę środków uspokajających na stoliku. Przeczytał nalepkę. Valium.

Wziął dwie tabletki, połknął, popijając whisky. Beznamiętnie rozważał możliwość połknięcia całej reszty, lecz w końcu zrezygnował. Na razie. Chciał zasnąć i marzyć. Miał nadzieję, że Anna odwiedzi go we śnie, tak jak dziś rano. Zdjął słuchawkę telefonu z widełek i położył się.

Nie śnił o niej. Nie śnił o niczym, ale w pewnym momencie usłyszał, jak ktoś wyszeptał jego imię. Brzmiało jak głos Anny, ale nie był tego pewny. Otworzył oczy.

- Anno? - krzyknął.

Odpowiedziała mu cisza. Spojrzał półprzytomnie na zegarek. Dziesiąta wieczór. Było ciemno. Wtedy przypomniał sobie robaki.

Nie czuł żadnego niepokoju. Wstał, włączył światło i zszedł na dół. Przestał się przejmować swoim życiem, ale zagadka robaków nie dawała mu spokoju. Chciał się dowiedzieć jak najwięcej, zanim umrze. Nie mógł umrzeć, nie dowiedziawszy się, co zabiło Annę.

Wyszedł do ogrodu i wziął siekierę z szopy. Wrócił do salonu. Włączył radio, aby posłuchać wiadomości. Usiadł w ciemnościach z siekierą na kolanach i butelką szkockiej na stole.

Noc mijała wolno. Parokrotnie wydawało mu się, że dostrzega jakiś ruch, ale okazało się, że nic tam nie było.

Gdy zaczęło świtać, poczuł się nieco rozczarowany. Robaki nie przyszły. Zgodnie z wiadomościami nie pojawiły się nigdzie, ani w St. Albans, ani nigdzie.

Kiedy wzeszło słońce, wrócił na górę, wziął dwie tabletki valium i położył się do łóżka.

Kolejną noc również spędził czuwając, ale robaki nie pojawiły się. Tak samo następnej nocy. Czwartego dnia rzecznik rządu oznajmił, że prawdopodobnie niebezpieczeństwo minęło - robaki były jedynie chwilowym zagrożeniem. Dodał jednak, że należy mieć się na baczności jeszcze przez jakiś czas. Zdementował wiadomość podaną przez jedną z poczytniejszych gazet, jakoby któryś z naukowców rządowych twierdził, że robaki przybyły z kosmosu.

Thomas uśmiechnął się, słysząc to dementi. A więc reporterka zrobiła swoje. W dalszym ciągu go to nie obchodziło. Wręcz przeciwnie: rozbawiony wyobrażał sobie reakcję Rentona na artykuł. Bez wątpienia Renton usiłował się do niego dodzwonić, ale nie mógł.

Piątego dnia Thomas popadł w stan kompletnej apatii. Za przestał czuwania nocą i przestał słuchać radia. Większość czasu spędzał w łóżku i wychodził tylko, aby otworzyć kolejną butelkę. Zużył całe valium Anny i brał teraz tabletki z własnych zasobów. Zmuszał się do zjedzenia czegoś od czasu do czasu.

Pod koniec drugiego tygodnia już nie odróżniał snu od jawy. W trakcie jednego z rzadkich przeblysków świadomości usłyszał dzwonek do drzwi. Zignorował go. Innym razem usłyszał krzyki dzieci sąsiadów na podwórku. Zrozumiał, że ludzie powrócili do domów. Nie obchodziło go to.

Byłby całkiem zadowolony, gdyby Anna odwiedziła go w snach tak jak pierwszego dnia, ale nie chciała przyjść...

Obudził się. Był jasny poranek, słońce świeciło oślepiającym blaskiem. W sypialni było duszno. Clive był mokry od potu. Poczul pragnienie, więc chwiejnie wstał i zszedł na dół. Usłyszał, jak ktoś dzwoni i dobija się do drzwi. Słyszał te dźwięki, gdzieś w tle, przez cały czas, kiedy się obudził, ale dopiero teraz dotarły do jego świadomości. Początkowo nie chciał otwierać. Dzwonienie i łomotanie było tak natarczywe, że niechętnie otworzył.

Blask słońca oślepił go. Aż westchnął. W progu stała Anna.

Usiłował coś powiedzieć, lecz nagle podłoga osunęła mu się spod nóg. Poczul przeszywający ból głowy i ogarnęła go ciemność, a potem pustka...

Otworzył oczy. Spojrzał na pochylającą się nad nim twarz. Jęknął. Nie była to Anna, lecz Robin Carey.

- Dzięki Bogu - odetchnęła. - Już zaczynałam poważnie się martwić. Gdybyś nie doszedł do siebie, za parę chwil dzwoniłabym pod 999.

- Wynoś się... - wychrypiał. - Wynocha z mojego domu.

- Coś ty ze sobą zrobił, doktorze? Albo raczej czegoś sobie nie zrobił? - spytała. - Sama skóra i kości. Doniosłam cię na tapczan bez wysiłku. Kiedy ostatni raz coś jadłeś?

- Mówiłem... wynocha... - wyszeptał, próbując usiąść.

Położyła mu ręce na ramionach i popchnęła z powrotem na poduszkę. Nie miał siły, aby się jej sprzeciwić.

- Pytałam, kiedy ostatni raz jadłeś? - powtórzyła stanowczo.

- Nie wiem... wczoraj... dwa dni temu...

- Albo tydzień temu. Nie zmieniałeś ciuchów, nie myłeś się co najmniej od trzech dni. Nie obraż się, doktorze, ale śmierdzisz. Właśnie: cały dom śmierdzi. Czym oddychałeś, bo od dawna nie ma tu powietrza?

Wstała i pootwieriała wszystkie okna w pokoju. Przyglądał się temu bezsilnie. Chciał ją wyrzucić, ale nie mógł odnaleźć w sobie choćby tyle energii, aby zwlec się z tapczanu.

Wróciła i stanęła nad nim.

- Zaczniemy od wrzucenia w ciebie jakiegoś jedzenia. Gdzie kuchnia?

Nie odpowiedział. Pomyślała trochę i stwierdziła:

- Okey, pamiętam.

Gdy wyszła z pokoju, pomyślał gorzko: „Tak, pamiętasz... przecież tu już kiedyś byłaś”...

Wróciła po pięciu minutach, trzymając wielki kubek. Pomogła mu usiąść i przytrzymała kubek.

- To zupa jarzynowa na wołowinie. Pij! - rozkazała.

Zrobił jak kazała. Nie miał tyle siły woli, aby się jej przeciwstawić. Ta słabość zaczęła go drażnić.

Kiedy skończył zupę, pozwoliła mu się położyć. Wyszła. Wróciła po chwili z dwiema filiżankami kawy. Podawała mu jedną, a sama usiadła w fotelu i obserwowała go uważnie. Spróbował kawy. Obrzydliwie słodka. Nie znosił kawy z cukrem, ale wiedział, że miała rację. Duża ilość cukru szybko przywróci mu siły.

- Musiałeś bardzo ją kochać - stwierdziła cicho. - Skoro aż tak bardzo chciałeś się zabić.

Zerknął na nią.

- Okey, panienko. Spełniłaś swój dobry uczynek na dziś, a teraz się odpiardol. Nie potrzebuję ani twojej pomocy, ani litości.

- Owszem, potrzebujesz pomocy. Ktoś musi się tobą zao-
piekować. Ale obawiam się, że motyw myjego przyjsia nie
są zupełnie bezinteresowne. Muszę z tobą porozmawiać...

- Nie lubię reporterów. A zwłaszcza ciebie...

Uśmiechnęła się blade.

- To jasne. Ale sądzę, że zainteresuje cię, co mam do po-
wiedzenia.

- Szczerze wątpię - odparł cierpko.

- Jesteś na bieżąco w sprawie robaków?

- Nie - przyznał. - Czy były ostatnio jakieś ataki na St.
Albans?

- Nie. Ani jednego. Od prawie miesiąca nikt ich nie wi-
dział. Zniknęły. Pomimo wykopów i przeszukania wszystkich
kanałów nie znaleziono ani jednego. Nawet zdechłego.

- Jakie jest oficjalne orzeczenie?

- Takie samo jak wcześniej, że były krótko żyjącymi mu-
tantami. Stan wyjątkowy odwołano w zeszłym tygodniu. W
dalszym ciągu sprawdza się kanały prawie w całym kraju, a
policja i wojsko są w pogotowiu. No i oczywiście zostanie
przeprowadzone oficjalne śledztwo.

- Jasne - mruknął. To było dla brytyjskich polityków le-
karstwo na wszystko.

- Opinia publiczna ciągle przejawia pewną nerwowość w
tej kwestii. Ale ludzie powoli usiłują zapomnieć o wszystkim.
Moje ostatnie, podsumowujące sprawozdanie na ten temat
pogrzebano gdzieś na piątej stronie.

- Chyba mi serce pęknie z żalu - powiedział sucho.

Zignorowała jego sarkazm.

- Mam przecucie, że to nie koniec. Chyba będzie jeszcze
gorzej.

- A na czym opierasz swoje podejrzenia, nie licząc dziennikarskiej niechęci do straty dobrego tematu?

- To, tutaj... - Wyjęła z kurtki mapę. Rozłożyła ją i podała mu. - Patrz.

Spojrzał. Była to mapa Hertfordshire. Ktoś wykreślił linię między Harpenden a St. Albans.

- No i co z tego? - spytał.

- Pierwszy atak miał miejsce na krańcach Harpenden. Drugi w południowej części miasta. Następnie St. Albans. Połączyłam te miejsca linią...

- No i co? - spytał niecierpliwie. - Już od dawna wiadomo, że te stwory posuwają się na południe. A dlaczego ta linia ciągnie się na północ od Harpenden? Tam przecież nie było żadnego ataku.

- Linia zaczyna się na zachód od Stevenage - powie działa cicho. - Dokładnie w miejscu, gdzie NIREX prowadził wiercenia.

Gapił się na nią przez chwilę, a potem wbił wzrok w mapę.

- Dobry Boże - wyszeptał. - Masz rację. Może być między tym jakiś związek.

Pochyliła się.

- Cieszę się, że tak uważasz. Nikt inny mi nie uwierzył. Mój wydawca nie pozwolił napisać o tym, ale jestem pewna, że mam rację. Te robale, czy cokolwiek to było, wzięły się stamtąd, a następnie ruszyły na południe. A teraz, jak sądzę, usadowiły się gdzieś pod Londynem.

- Co? - spytał zaskoczony. - Dlaczego tak sądzisz?

- Zniknięcia. Ludzie zaczynają znikać.

Rozdział 13

Zmusiła go, by wziął prysznic. Z początku nie chciał. Nalegała, grożąc, że nie powie ani słowa więcej o tym, czego się dowiedziała.

Zupa wzmocniła go trochę, ale i tak potrzebował jej pomocy przy wchodzeniu na górę. Gdy wziął prysznic, poczuł się lepiej, a jego mózg zaczął funkcjonować. Zszedł na dół, czując wilczy głód. Usłyszał hałasy dobiegające z kuchni. Przez głowę przeszła mu myśl, że to Anna. Zatrzymał się i złapał mocno poręcz. Przepływ rozpaczy spowodował ból w piersiach i prawie uniemożliwił oddychanie.

Wszedł do kuchni. Robin stała przy kuchence. Uśmiechnęła się i spojrzała na niego z aprobatą.

- O wiele lepiej. Głodny?
- Tak - przyznał, siadając przy stole. - Co gotujesz?
- Ziemniaki. Ugotuję je i zmieszam z jajkiem. Twój żołądek prawdopodobnie nie przyjąłby niczego innego.

Skinął głową. Miała rację. Nie lubił jej, ale musiał przyznać, że wiedziała, co robi.

Przyglądał się, jak gotowała. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak bardzo była atrakcyjna. Przesunął wzrokiem po jej zaokrąglonych biodrach i smukłych udach.

Stłumił natychmiast to seksualne zainteresowanie.

Myślenie o tej dziewczynie w jakiś sposób było obrazą pamięci Anny. Nie mógł pozwolić sobie na zapomnienie, że Robin była częściowo odpowiedzialna za to, co się z nią stało

Wymamrotał podziękowanie, gdy reporterka postawiła

przed nim wielki talerz ziemniaków z jajkiem. Zrobiła kolejną kawę, usiadła naprzeciw i przyglądała się, jak jadł.

- Dobra - mruknął między jednym kęsem a drugim. - Nie trzymaj mnie w niepewności. Opowiedz o tych zaginięciach.

- Zauważyłam to tydzień temu. Nagły wzrost statystyki zaginięć. Na razie dotyczy to tylko Londynu. Policja twierdzi, że ten wzrost jest związany z zamieszczeniem wywołanym przez robaki. Wiele osób uciekło ze stolicy w czasie wielkiej paniki i jeszcze nie wróciło. Inni wrócili, ale stracili ślad krewnych i przyjaciół...

- Ile było tych zaginięć?

- Wiesz, ile osób ginie w Londynie każdego tygodnia. Powiedziałabym, że wzrost sięga dziesięciu do piętnastu procent. Pięćdziesiąt osób co najmniej.

- Hmm... - zamyślił się. - Czy ktoś oprócz ciebie połączył te zaginięcia z robakami?

Wykrzywiła się ze złością.

- Nie. A kiedy próbowałam przedstawić wydawcy moją teorię - wyśmiał mnie. Panikara z ciebie, oświadczył, stary hipokryta! Tak jak mówiłam - wszyscy chcą zapomnieć o tym, co się stało. Bardzo ich to przeraziło, było niczym ingerencja sił nadprzyrodzonych.

Kiwnął głową.

- Z pewnością przeraziło mnie.

- Różne sekty religijne robią dużo szumu, że robaki były ostrzeżeniem danym przez Boga. Wiesz, coś jak plagi egipskie.

- Bóg zrobił się cholernie zajęty ostatnimi czasy - burknął sucho. - Wynalazł AIDS, aby pokarać homoseksualistów, podpalił katedrę w Yorku, żeby ukarać biskupa Durham, a teraz znowu zesłał robaki. Cień Starego Testamentu.

Zjadł trochę i ciągnął dalej.

- Co sprawiło, że nie wierzysz w wyjaśnienia policji dotyczące zaginięć? Robaki nie powodowały zniknięcia całego ciała. Zawsze coś zostawiały - pomyślał o Annie i twarz wykrzywił mu grymas bólu.

- Wiem powiedziała. - Nie umiem wyjaśnić tej różnicy. Ale przyjrzałam się bliżej większości wypadków z zeszłego tygodnia. Kiedy oddzielisz zwykłe przypadki zaginięć - ucieczki, żony odchodzące od mężów i odwrotnie - zostanie duża liczba takich, które są bardzo dziwne.

Wstała, wzięła torbę i wyjęła notes. Usiadła, przerzuciła kilka stron i powiedziała:

- Na przykład ten. Zeszłej środy w Westminster. Dwoje nastolatków przechadzało się późnym wieczorem wzdłuż Millbank. Chłopak zatrzymał się, żeby zawiązać sznurowadło, a dziewczyna poszła dalej. Szła wolno, czekając aż do niej dołączy. Nie dołączył. Zawróciła. Chłopaka ani śladu. Odtąd go nie widziano.

- Może wpadł do rzeki?

Potrząsnęła głową.

- Policja przeszukała Tamizę. Ani śladu dała. O, tu masz następny przykład - przewróciła stronę w notesie. - Banda pijanych kibiców Welsh Rugby wracała z ciężkiej popijawy. W sumie sześciu. Zeszli na stację metra przy Russell Square. Kręcili się po peronie, czekając na pociąg. Nagle zauważyli, że jest ich tylko pięciu. Szósty zniknął, zapewne gdzieś w tunelu. Policja i obsługa metra przeszukały cały tunel, ale bez rezultatu. Faceta do tej pory nie znaleziono - zamknęła notes. Mam tu kilka podobnych wypadków.

Przełknął ostatniego ziemniaka i wypił trochę kawy. Wciąż był osłabiony. Czuł pulsujący ból w głowie, ale myślał coraz jaśniej. Po chwili spytał:

- Co spowodowało, że połączyłaś wypadek przy wierceniach z robakami?

- Kilka rzeczy. Przede wszystkim ta substancja, którą wydobyli z szybu tuż przed erupcją. Rozmawiałem z geologiem, który ją badał. Powiedział, że mogły to być włókna pochodzenia zwierzęcego, ale nigdy wcześniej takich nie widział. A kiedy przebadałeś te przyniesione przez mnie kawałki i stwierdziłeś, że nigdy nie widziałeś czegoś takiego... - wzruszyła lekko ramionami. - No i coś jeszcze. Twoja żona powiedziała mi...

Spuściła głowę.

- Mów dalej - ponaglił ją zimno.

- Powiedziała, że te włókna przypominały jej coś z dzieciństwa. Kokony jedwabników. Nie zwróciłam wtedy uwagi, ale wczoraj pomyślałam, że, no wiesz, może to głupio zabrzmieć, ale...

- Sądysz, że wiertło rozdarło coś w rodzaju kokonu i wypuściło te robaki? - spytał, nim zdążyła skończyć.

Spojrzała na niego z niepokojem.

- Co o tym sądzisz?

Nie odpowiedział. Przypomnił sobie, co Anna mu powiedziała. To, co zbył i zapomniał jak Robin.

- Anna wspomniała, że widziała coś żywego w tym gejzerze czarnej cieczy - powiedział wolno. - Zanim dźwig się zawalił. Wmawiałem jej, że to tylko wyobraźnia.

Spojrzeli na siebie. Przez dłuższy czas panowało milczenie. W końcu Thomas spytał:

- A te włókna, co się z nimi stało, wiesz?

- Tak - odparła z podnieceniem. - To jeden z głównych powodów mojej wizyty. Potrzebna mi twoja pomoc. Wiem, że zabrano je do Ministerstwa Środowiska, aby wykonać analizy. Gdziekolwiek próbuję się o nie dowiedzieć, trafiam na mur milczenia. Myślałam, że może ty mógłbyś się czegoś dowiedzieć od swoich kolegów naukowców. Spróbujesz?

Uśmiechnął się cynicznie.

- Jesteś dziennikarką z krwi i kości, co? Czy spotkałaś kiedyś w życiu kogoś, kogo nie wykorzystałaś?

Zdziwił się, widząc wyraz bólu w jej oczach, ale szybko doszła do siebie.

- Wiem, że masz o mnie kiepską opinię, doktorze Thomas i przyznaję, że jestem na tropie wielkiej sensacji. Ale z kolei ty musisz przyznać, że jeżeli mam rację, ludzie muszą się o tym dowiedzieć. Życie setek ludzi może być w niebezpieczeństwie. Więc pomożesz mi, czy nie?

Westchnął i wstał z trudem.

- Nie mam innego wyboru, prawda?

Przez godzinę dzwonił w różne miejsca. W końcu złapał w ministerstwie kogoś, kto wiedział, o co chodzi. Znając dobrze urzędasów nie był tym specjalnie zdziwiony. Dzięki paru kłamstwom i blefom dowiedział się, że próbka została przesłana do Muzeum Historii Naturalnej w celu identyfikacji.

Zorientował się, z kim należy skontaktować się w Muzeum i zadzwonił do profesora Blinna. Profesor był bardzo szczęśliwy, że może z kimś pogadać o tej próbce.

- To absolutnie fascynujące! - mówił podekscytowany. – Nie mam zielonego pojęcia, co to jest. Wiem jedynie, że to włókno naturalne i posiada pewne niezwykle właściwości. W pewnym sensie bardziej przypomina żywicę syntetyczną niż naturalne włókno, a to ze względu na niewiarygodnie mocną krzyżową strukturę molekularną, ale to z pewnością proteina.

- Nikt się na to wcześniej nie natknął? - spytał Thomas.

- Nie. Na pewno nie. Spadło jak z nieba. A ma w sobie tyle krzemionki, że nie mieści mi się to w głowie.

- Krzemionka? - zapytał Thomas, usiłując ukryć podniecenie.

- Tak. W formie osłony otaczającej włókna. Niesamowicie. A na dodatek jest niewiarygodnie stare. To chyba tłumaczy wiele.

- Co pan przez to rozumie?

- Przeprowadziliśmy test metodą C14, aby ustalić wiek tych włókien. Właściwie dwukrotnie, bo myśleliśmy, że w pierwszych pomiarach był jakiś błąd. Czy wie pan, że te włókna mają sześćdziesiąt pięć milionów lat?

Thomas usiadł w pokoju pogrążony w głębokim zamyśleniu. Bardzo chciał się napić, ale nie mógł sobie pozwolić na zejście do piwnicy i wzięcie czegoś z mocno nadwyrężonych zapasów. Musiał zachować trzeźwy umysł.

Robin wierciła się na tapczanie, przez ponad pół godziny nie powiedziała ani słówka. W końcu ciekawość i niecierpliwość zwyciężyły.

- No i co? - spytała. - Jakie jest twoje zdanie?

Zamrugął oczami, gdy przerwała mu rozmyślenia. Wolno zaczął opowiadać:

- Miliony lat temu obcy organizm przybył nie wiadomo skąd na Ziemię. Może w postaci bardzo prostej, na przykład spora w meteorycie, może Ziemia przechodziła obok chmury kosmicznego pyłu, zawierającego substancje organiczne. W każdym razie to coś dostało się tu i jakoś przetrwało we wrogim dla siebie środowisku. Ma duże zdolności adaptacyjne - może tak zdecydowała ewolucja, że wyspecjalizowana forma życia, która przemierza wszechświat mając zdolność adaptowania się do dowolnego napotkanego środowiska... - umilkł.

- I co? - spytała Robin z oczami rozszerzonymi ciekawością.

Ożywił się.

- Co? A, rozwijało się na Ziemi przez pewien czas i rozmnażało się zapewne bezpłciowo... Albo zapadło w stan letargu, otoczone dla bezpieczeństwa kokonem i leżało tam przez miliony lat...

- A osady osiadały na tym, aż w końcu znalazło się głęboko pod powierzchnią jak skamieniałość - odpowiedziała. - I nagle NIREX wierci szyb dokładnie w tym miejscu i robaki uwalniają się.

Potrząsnął głową.

- To nie robaki.

- A więc co?

- Sądzę, że wiem, ale wcale mi się to nie podoba...

- Powiedz!

Przejechał ręką po włosach, wyraźnie zmartwiony.

- To stworzenie w kokonie nie mogło przetrwać milionów lat pod ziemią, podczas gdy warstwy osadów zamieniły się w skały. Po pierwsze, zostałyby zgniecione przez ciśnienie, więc nie było to żywe w naszym rozumieniu tego słowa. Aby uniknąć zgniecenia, większa część zawartości kokonu musiała być w stanie płynnym. I ciągle pewnie jest...

Zmarszczyła brwi.

- Ciągle używasz liczby pojedynczej, a tych robaków były tysiące.

- Właśnie to usiłuję ci wyjaśnić. Sądzę, że jest tylko jeden stwór. A „robaki” są jego częściami.

Gdy jego słowa przebrzmiały, Robin aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- Ależ to musiałyby być o l b r z y m i e !

Skinął głową.

- Tak, teraz musi być bardzo duże. W końcu nieźle się odżywiało po przebudzeniu.

Sylwia Trent nienawidziła metra, a już szczególnie nie cierpiała go w godzinach szczytu. Ze względu na stałe godziny pracy w banku, była zmuszona korzystać z metra właśnie o tej porze. Nienawidziła jazdy w tłoku. Zawsze musiała jechać tuż obok faceta uparcie starającego się spojrzeć jej w oczy, podczas gdy ona robiła wszystko, aby udawać, że go tam nie ma. Mężczyźni.

Odkryła, że najmniej zatłoczone wagony znajdowały się z reguły na końcach składów. Z tego powodu czekała zawsze na jednym lub drugim krańcu peronu, z dala od głównej masy ludzi.

Tak było i tego dnia na stacji Chancery Lane linii centralnej. Była zmęczona, zgrzana i poirytowana, nie mogła się doczekać, kiedy w końcu będzie w swoim mieszkaniu w Shepherd's Bush, razem ze swoim kotkiem, ale pociąg, jakby na złość, spóźniał się.

Zerknęła niecierpliwie w czarny wylot tunelu, nasłuchując łoskotu sygnalizującego przyjazd pociągu.

Nic. Cisza.

Coś tam jednak było. Usłyszała jakby szeleszczący dźwięk w tunelu. Poczuła lekki powiew i jakiś nieprzyjemny zapach.

Zaciekawiona podeszła tuż do krawędzi peronu i wychyliła się. Skoro nie był to pociąg, cóż to mogło być?

Szelest stał się głośniejszy.

Coś poruszało się w ciemnościach...

Wrzasnęła.

Wielka, brunatna masa wystrzeliła z wylotu tunelu.

Spłynęła na peron i owinęła się wokół jej stóp.

Żywa rzeka szczurów.

Tysiące ogarniętych paniką szczurów.

Rozdział 14

- Hej, ty tam! Gliniarzu!

Konstabl John Fifield odwrócił się i zobaczył trampa, machającego gwałtownie z bramy wiodącej do ogrodów za Savoyem. Miał najbardziej krzaczastą brodę, jaką Fifield w życiu widział, ale i przy okazji najbrudniejszą.

Westchnął. Patrowanie Embankment często było przyjemne, zwłaszcza przy ładnej pogodzie, ale miało też swoje wady. Włóczędzy byli największą z nich.

Podszedł bez pośpiechu do faceta, który cały czas machał jak szalony. Zauważył, że był bardzo zdenerwowany. Oczy miał pełne strachu, a ręce mu się trzęsły.

Fifield skrzywił się ze wstrętem gdy dostrzegł, że cały płaszcz faceta był pokryty wymiocinami. „Moczymorda” - pomyślał. „Zapewne ma atak delirium.”

- Okay, koleś, uspokój się i gadaj, o co chodzi - powiedział stanowczo Fifield usiłując ukryć wstręt.

Włóczęga był odrażający. Na dodatek okropnie śmierdział.

- Stary Bob! - wrzasnął tramp, chwytając go za ramię i ciągnąc w głąb parku. - Niech go pan obejrzy! To potworne!

Fifield wzdrygnął się pod dotknięciem obdartusa.

- Zaraz, spokojnie! - warknął ze złością. - O co ci chodzi?

- Stary Bob - powtórzył tramp. Ślina ciekła mu po brodzie, a wstrętne rana na czubku nosa pulsowała krwią.

- Ale to nie ja! Przysięgamy! Ja go tylko znalazłem, ja...

- Gdzie ten Stary Bob? - Fifieldowi wyraźnie nie podobał się przebieg rozmowy. Nie tylko włóczęga, ale i cała sprawa

wyraźnie śmierdziała. Wyglądało na to, że spokojny poranek właśnie się skończył.

- Tędy! O, tam leży! - wrzeszczał tramp kuśtykając w głąb ogrodu.

Fifield szedł za nim. Nagle tramp zatrzymał się i wskazał trzęsącą się ręką kępę krzaków pod murem.

- On tam jest. Idź pan i sprawdź. Ja nie zamierzam tam podejść. Raz wystarczyło.

Fifield rzucił mu podejrzliwe spojrzenie, rozgarnął krzaki i spojrzał.

Oślupiał. Początkowo nie był w stanie pojąć tego straszliwego widoku. Po chwili żołądek podszedł mu do gardła i wymiotował gwałtownie.

Prawie całe świeżo zjedzone śniadanie wyładowało na mundurze. Chwiejnie pochylił się, wciąż wstrząsany mdłościami. W końcu opanował się, chwycił radio i wezwał pomoc.

Włóczęga wciąż powtarzał:

- To nie ja, nie zrobiłem tego. Znalazłem go już tak...

Po złożeniu meldunku Fifield niechętnie poszedł jeszcze raz do krzaków i spojrzał.

To, co leżało na metalowym okratowaniu prawie nie przypominało ludzkiej istoty. Trzeba było dobrze się przyjrzeć kłębowi podartych szmat, surowego mięsa i białych kości, zanim się doszło do wniosku, że to był kiedyś człowiek. Dopiero wtedy dostrzegało się szczegóły - but z wystającym strzępem skrwawionej stopy, serce połyskujące czerwono między zgruchotanymi żebrami, dolną szczękę ze spróchniałymi zębami.

Fifield chciał znowu wymiotować, ale nie miał czym. Zmusił się do przyjrzenia się szczątkom. Aby zapomnieć o konwulsjach zaczął przygotowywać w głowie raport:

„Wstępne oględziny ciała sugerują, że napastnik lub napastnicy (z pewnością jedna osoba nie mogła aż tak zmasakrować ciała) usiłovali wcisnąć ofiarę w głąb szybu wentylacyjnego przez okratowanie...

Lisa była bardzo zdziwiona, widząc Thomasa wchodzącego do laboratorium.

- Clive! Wielkie nieba! Co się z tobą działo? Wyglądasz okropnie!

- Wiem, wiem - powiedział i opadł na krzesło. - Nie musisz mi o tym mówić. Ale powinnaś zobaczyć mnie wczoraj. Podobno wyglądałem jeszcze gorzej.

Położył na biurku teczkę, którą przyniósł ze sobą i otworzył.

- Prawdę powiedziawszy, mam za sobą coś w rodzaju załamania nerwowego, ale już po wszystkim. Jestem pełen wewry. Mogłabyś wezwać Henry'ego? Mam dla niego bardzo istotne informacje. W zasadzie dla nas wszystkich...

Lisa nie poruszyła się.

- Ee, Clive - powiedziała wyraźnie zażenowana. - Professor Renton usiłował się z tobą skontaktować. Rozumiem, że do tej pory z nim nie rozmawiałaś?

- Nie, a bo co?

- Myślę, że powinieneś iść do niego natychmiast - powiedziała ponuro.

- W cholerę z Rentonem! - warknął. - Mówiłem ci, że to ważne. Może więc pójdziesz uprzejmie po Henry'ego?

Westchnęła i powiedziała:

- Tylko nie mów później, że cię nie ostrzegałam.

Wyszła z laboratorium. Kiedy wróciła, był z nią nie tylko Mitchell, ale także Renton.

Thomas spojrzął na nią i wycedził:

- Dziękuję ci bardzo, Liso. Jesteś wyjątkowo lojalna.

Nie patrzyła mu w oczy. Natomiast Renton przyglądał mu się uważnie.

- Więc jednak ma pan dość odwagi cywilnej, aby tu przyjść - warknął.

- Przepraszam bardzo? - Thomas nie miał zielonego pojęcia, do czego Renton zmierzał.

- Ostrzegąłem pana co się stanie, jeżeli te pańskie szaleńcze pomysły trafią do gazet, ale rozmyślnie postąpił pan wbrew moim zakazom. Poszedł pan i od razu opowiedział wszystko tej reporterce.

- Nie, nie poszedłem - zaprzeczył Thomas. - Ona tu była przez cały czas, w laboratorium i słyszała naszą rozmowę.

Renton spurpurowiał.

- Dlaczego nie u p r z e d z i ł pan nas, że była reporterka?

- Nikt mnie o to nie pytał - odparł Thomas. - Ale to już nieważne. Myślę, że wiem już, czym są te tak zwane „robaki”.

- Nie chcę wysłuchiwać żadnej z pańskich kretyńskich teorii, Thomas - burknął Renton.

- To już nie jest teoria! - Thomas głośno zaprotestował. - Wszystkie dowody to potwierdzają. Spójrzcie!

Wyjął z teczki mapę i rozłożył.

- Co to ma być? - niecierpliwie spytał Renton.

- Stara geologiczna mapa Hertfordshire. - Wskazał palcem wijącą się linię biegnącą u dołu. - Widzicie? Nie ma tej linii na najnowszych mapach.

Henry Mitchell pochylił swoje cielsko nad biurkiem.

- Co to?

- Rzeka podziemna. Może podziemny strumień - to byłoby lepsze określenie. Ale jest wystarczająco duże, aby umożliwić temu stworowi szybkie przenoszenie się z miejsca na miejsce. Widzicie, jak ten strumień płynie? Przez Harpenden i St. Albans, a potem na południe...

- Stwór?

- Robaki są częścią jednego organizmu. Są pewnym rodzajem macek dostarczających pokarm głównemu korpusowi - powiedział szybko. - Prawdopodobnie są wrażliwe na podczerwień i w ten sposób wynajdują ofiary; jest to także przyczyna, dla której są aktywne jedynie w nocy. Korpus prawdopodobnie jest amorficzny. Większość czasu jest w stanie półpłynnym, co umożliwia przeciskanie się przez warstwy osadowe, itd. Lecz kiedy musi coś usztywnić, na przykład macki dostarczające pokarm, robi to za pomocą substancji krzemowych zgromadzonych w korpusie i wytwarza okresowe błony...

Spokojnie jakby przemawiał do dziecka, Renton spytał:

- A czy może nam pan powiedzieć, skąd pochodzi ta niezwykła istota?

Thomas znowu wskazał mapę.

- To miejsce, gdzie NIREX prowadził wiercenia. Widzicie? Prawie u źródeł strumienia. - Opowiedział im o wieku włókien ustalonym w muzeum, o tym, że stwór trwał w stanie letargu w swoim kokonie przez miliony lat. - Sądzę również, że stwór podlegał i ciągle podlega pewnym transformacjom. Dlatego ataki „robaków” tak nagle się urwały. Pytanie brzmi: czy następne stadium będzie niebezpieczniejsze niż poprzednie? Osobiście sądzę, że tak. Musimy założyć, że będzie... oto dłaczego.

Szybko wyjął kolejną mapę z teczki.

- Ta mapa pokazuje wszystkie znane rzeki i strumienie pod Londynem. Widzicie tę, która płynie pod Barnet? Nie mogę tego udowodnić, ale jestem pewny, że łączy się ze strumieniem Hertfordshire, co oznacza, że ów stwór najprawdopodobniej usadowił się pod Londynem. Podejrzewam, że kierował się specjalnie w stronę bardziej zaludnionej okolicy.

Innymi słowy: chce mieć nieograniczone zasoby pożywienia.

- Rozumiem - stwierdził niezobowiązująco Renton. - I co pan proponuje?

- Oczywiście, całe miasto musi zostać ostrzeżone. Powinny być przygotowane plany ewakuacji każdej dzielnicy Londynu, na wypadek ataku. Jednocześnie, laboratorium w Porton Down powinno wypracować jakieś biologiczne środki, które mogłyby unicestwić stwora. To chyba najlepsza metoda. Materiały wybuchowe, trucizny lub inne metody konwencjonalne będą bezużyteczne, jak sądzę, bo albo zniszczymy Londyn sami, albo skazimy teren tak, że nie będzie się nadawał do zamieszkania. Co o tym sądzicie? - spojrzął na Rentona, niecierpliwie oczekując jego reakcji.

- Sądzę - powiedział wolno Renton - że potrzebuje pan natychmiast pomocy psychiatry i radzę skorzystać z niej szybko. Już pan się przyznał asystentce, że przeszedł pan załamanie nerwowe. W każdym razie, dalsza pańska praca tutaj jest wykluczona. Zawieszam pana. Na razie będzie pan otrzymywał pięćdziesiąt procent poborów, a ja poproszę ministerstwo o przeniesienia pana do innego departamentu, do mniej męczącej pracy. Ma pan prawo odwołania się do komisji dyscyplinarnej, ale zapewniam pana, że będzie to tylko strata czasu. Dalej, jeżeli przekaże pan te swoje głupstwa gazetom lub innym środkom masowego przekazu, każę pana aresztować pod zarzutem złamania tajemnicy państwowej.

Już po sposobie w jaki szedł, Robin stwierdziła, że mu się nie powiodło. Nie powiedziała ani słowa, gdy otworzył drzwi samochodu i usiadł na fotelu obok niej. Uniósł rękę do czoła i zaczął rozmasowywać prawą skroń.

- Ten ból głowy mnie wykończy - to było wszystko, co powiedział.

- Nie poszło, co? - spytała w końcu.
- Nie poszło. Renton uważa, że powinienem kupić sobie kaftan bezpieczeństwa. Nie tylko nie uwierzył w nic, ale na dodatek wyrzucił mnie z mojego własnego laboratorium. Jestem zawieszony. Chce mnie przenieść do kliniki dla weneryków albo gdzieś indziej - westchnął głęboko. - Pierdolony dureń! - wymamrotał. - Ma kompletnie zwapniały mózg i nadaje się tylko do hodowania różnych gatunków bakterii. Boże, dlaczego nie został w Porton Down!

- Nie możesz nic zrobić bez jego wiedzy? - spytała. - Mógłbyś porozumieć się bezpośrednio z ministrem?

- Tak, a on skontaktowałby się z moim bezpośrednim zwierzchnikiem, Rentonem, który by mu powiedział, że jestem kandydatem do domu bez klamek.

- Więc co chcesz zrobić?

- Nie ma innej drogi - trzeba opublikować to wszystko. Miejmy nadzieję, że ostrzeżenie dotrze do właściwych ludzi. Jedyny problem to to, że pewnie mnie za to zamkną. - Opo-wiedział jej o groźbie Rentona.

- Czy sądzisz, że on to naprawdę zrobi? - zapytała

- Możesz się o to założyć!

- Hm, wiesz co, ukryjemy cię u mnie, przynajmniej na razie.

Spojrzał na nią.

- Pasuje mi to. Nie bardzo mnie ciągnie do ciupy. Ale czy to nie będzie ci przeszkadzało? To znaczy, mężowi, chłopakowi itp.?

- Nie mam męża, a właśnie jestem w okresie pomiędzy chłopakami itp. Chociaż muszę przyznać, że nie powiedziałam jeszcze Geoffowi.

- Geoffowi?

- Moje ostatnie itp. - powiedziała i zapaliła silnik.

George pogwizdywał, spacerując wzdłuż kanałów biegnących przez High Holborn. Lubił swoją robotę; lubił ten cały podziemny świat, który uważał za swoje królestwo. Pracował w kanałach prawie dwadzieścia lat i nie zamieniłby tych lat na nic.

Nie wszyscy kumple podzielali jego entuzjazm, zwłaszcza młodzi, jak Harry, który włókł się za nim, mrużąc coś pod nosem.

- Uśmiechnij się, synu! - rzucił mu George przez ramię. - Już prawie czas na lunch.

- Jezu, George, jak ty możesz zachowywać apetyt tu na dole? Chce mi się rzygać od tego smrodu!

- Przywykniesz, chłopcze - odpowiedział George oświetlając latarką stary, kruszący się mur z cegły. Był w bardzo złym stanie, podobnie jak większość kanałów pod Londynem i innymi większymi miastami w Anglii.

Zbudowane w epoce wiktoriańskiej kruszyły się szybciej, niż je remontowali. Było to do przewidzenia już wiele lat temu, ale koszty wybudowania nowego systemu kanałów były tak astronomiczne, że żaden rząd dotąd nie podjął się tego zadania.

T r o c h ę nowych kanałów budowano, gdy stare doszły do stanu takiej ruiny, że nie nadawały się do naprawy. W zasadzie George wołał pracować w tych starych, wiktoriańskich kanałach. Nowe uważał za zupełnie bezduszne - tylko zwykłe, betonowe rury - zupełnie nieinteresujące. Stare były arcydziełami, a nawet posiadały pewien romantyzm.

- Nie rozumiem, dlaczego znowu sprawdzamy ten odcinek - marudził Harry. - Przecież wczoraj go sprawdzano.

- Dobrze wiesz dlaczego, chłopcze. Te cholerne robale. Mamy przeszukiwać każdy odcinek kanałów aż do odwołania.

Harry zaklął głośno, aż jego głos odbił się echem.

- Nic tu nie ma oprócz gówna - warczał. - Chyba nie wierzysz w te cholerne robale, co?

- Hm, coś jednak zabiło tych biedaków w St. Albans miesiąc temu. A ludzie, których pokazywano w telewizji, mówili, że widzieli coś, co wyglądało jak robaki...

- E tam, jeżeli chodzi o mnie, uważam, że to tylko przykrywka - powiedział Harry. - Pewnie jakiś wypadek przemysłowy, a rząd chce wszystko wyciszyć. Może wyciek gazu jak ten w Indiach, pamiętasz?

- Na Boga, chłopcze - ze smutkiem stwierdził George. - Ciągle winisz rząd o wszystko, nawet jeżeli nie ma żadnych powodów...

- Czyżby? Powiem ci, kolego, że gdyby nie ten cholerny rząd nie byłoby mnie tutaj. Ostatnią rzeczą, jaką chciałem robić po szkole, było przerzucanie gówna... - przerwał, gdyż tunel jakby zaczął wibrować. Gdzieś z daleka dochodził narastający łoskot.

- Metro - stwierdził niepotrzebnie George. Oświetlił latarką sklepienie kanału w sam czas, żeby dostrzec cegłę spadającą do wody.

Gdy rumor ucichł, Harry zamruczał:

- Nic dziwnego że, te kanały się rozpadają. Czego ci durnie użyli do budowy zamiast cementu?

George poczuł się dotknięty do żywego.

- Synu, zupełnie nie wiesz, co wygadujesz - powiedział ze złością. - Te kanały to cud inżynierii! Nie było wtedy nic podobnego do kanałów ściekowych na całym świecie. Czy wiesz, że wszystkie ścieki londyńskie płynęły ulicami w otwartych rowach, zanim zbudowano te kanały za królowej Wiktorii?

- Gówno ciągle płynie środkiem ulicy w mojej okolicy - mruknął Harry. Nagle krzyknął:

- Jezu, patrz!

Strumień światła obrysował grupę szczurów. Uciekały w ich kierunku wzdłuż występu w murach kanału. Z ciemności wyłaniało się ich coraz więcej...

Strumyk szczurów zamienił się w rzekę. Przez prawie dwie minuty obaj stali bez słowa, patrząc jak szczury przelewały się przez kanał piszcząc przeraźliwie.

Exodus szczurów zakończył się równie nagle jak się zaczął. Z wyjątkiem kilku maruderów, cała masa szczurów przemknęła obok nich, a ich piski zanikały gdzieś w ciemnościach kanału.

Harry oskarżycielsko spojrzął na George'a.

- Czy to się często zdarza?

George potrząsnął głową w zamyśleniu.

- Nie, nigdy nie widziałem aż tylu szczurów przez dwadzieścia lat roboty w kanałach. Nie rozumiem...

Tunel znowu zaczął wibrować.

- Znowu metro? - spytał Harry, mimo że nie słyszał łoskotu żadnego pociągu.

- To nie pociąg. Nie wiem, co to jest - odpowiedział George.

Coraz więcej cegieł zaczęło spadać z sufitu.

- Uciekaj - zawył George. - Tak szybko jak tylko możesz, chłopcze!

Obaj mężczyźni odwrócili się i pobiegli w górę tunelu. Nie dobiegli daleko. Cały kawał sklepienia runął w dół pięć jardów przed nimi.

George poczuł, jak spadająca cegła uderzyła go w głowę. Zamroczony upadł na kolana, upuszczając do wody latarkę.

Stracił przytomność na trzydzieści sekund. Gdy doszedł do siebie, dookoła panowały zupełne ciemności.

Zapewne i Harry musiał zgubić swoją latarkę.

- Harry? Wszystko w porządku, chłopcze? - zawołał George wstając. - Harry?

Z rozłożonymi ramionami przeszedł kilka kroków i prawie natychmiast uderzył kolanem w stertę cegieł.

Wkrótce stało się jasne, że kanał był zasypany.

- Harry! - zawołał raz jeszcze. Może chłopaka przysypały cegły, pomyślał z rozpaczą. A może jest cały i bezpieczny po drugiej stronie?

Coś jak dłoń poklepało go lekko w prawe ramię.

- Harry? - spytał z nadzieją.

Lecz nie był to Harry. Nie była to również ręka.

Rozdział 15

Terry Dixon robił właśnie to, co najbardziej lubił - wyżywał się na „cywilnych” kierowcach, przepychając się wzdłuż High Holborn w kierunku skrętu na Kingsway. Był kierowcą taksówki i dostał pilne zlecenie z hotelu Savoy.

- Z drogi, durniu! - wrzasnął przez okno zajeżdżając drogę młodemu, nerwowemu kierowcy volkswagena.

Taktyka jazdy Terry'ego była mieszaniną półblefów i możliwości użycia swego wozu w charakterze tarana.

Już dojeżdżał do skrzyżowania Holborn gdy, ku swemu zdumieniu, zauważył, że fragment jezdni tuż przed nim nagle zapadł się - jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na drodze pojawiła się dziura, mająca około dwudziestu stóp średnicy.

Zahamował, ale taksówka wpadła w poślizg i wjechała prosto w dziurę. Krzyczał, gdy wóz przechylił się i wpadł do środka. Przez szybę widział tylko czarną ciemność...

Taksówka nie wpadła zbyt głęboko. Gdy skamieniali przechodnie odzyskali zmysły i podeszli do brzegów dziury, widzieli tył czarnej taksówki na głębokości mniej więcej dwunastu stóp. Kiedy ekipa strażaków z brygady ratowniczej przybyła na miejsce i zeszła w dół po linach, znalazła pusty samochód. Kierowca zniknął.

Kiedy Robin wróciła do mieszkania, Thomas oglądał telewizję. Spojrzał na nią z nadzieją, gdy weszła do pokoju. Potrząsnęła głową.

Teraz z kolei mnie nie poszło - oznajmiła. - Mój wydawca nie chce puścić tej historii. Boi się, że poparzy sobie paluchy. Powiedział, że dostało mu się ostatnio od różnych władz, kiedy puścił artykuł przedstawiający twoją teorię o kosmicznym pochodzeniu tych robali. Dał do zrozumienia, że uważa cię za wariata - bezradnie wzruszyła ramionami. - Przykro mi.

Popatrzył na nią ponuro.

- Wszystkie nam będzie przykro. Cholernie przykro. Czas ucieka. Właśnie usłyszałem w dzienniku o zawaleniu się kanałów pod Holborn...

- Sądysz, że stwór był tego przyczyną?

- Były trzy ofiary - dwóch kanalarzy i kierowca taksówki - i jak dotąd, żadne z ciał nie zostało odnalezione. Dodaj więc trzy do swojej listy tajemniczych zaginięć.

- Dlaczego to zabiera całych ludzi, zamiast zostawić te potworne skorupy jak przedtem?

- Nie wiem. Jak mówiłem, to podlega transformacjom. Najbardziej nie podoba mi się fakt, że zaczyna być aktywne także w ciągu dnia.

- Ale tylko pod ziemią, tam jest ciemno - stwierdziła.

- Tak, na razie - powiedział ponuro. Spojrzał na zegarek. Była szósta trzydzieści pięć. - Miejmy nadzieję, że nie wybierze dzisiejszej nocy na wylezienie z tej dziury.

- Sądysz, że zrobi to wcześniej czy później?

- Możesz się o to założyć. Gdybym był tobą, trzymałbym się z dala od centrum Londynu.

- Dosyć trudne, zważywszy że pracuję na Fleet Street, lecz dzięki za dobrą radę.

- Nie ma za co - powiedział chłodno i wstał. - Cóż, nie ma powodu bawić się w uciekiniera, skoro nie zamierzają tego opublikować. Odwieszysz mnie do domu?

- Oczywiście, ale dlaczego nie zostaniesz? Zrobię coś do zjedzenia.

- Nie uważam, aby to był dobry pomysł - oznajmił.

Uśmiechnęła się.

- Ale co? Zrobienie czegoś do zjedzenia czy zostanie tutaj?

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Zostań, proszę. Potrzebuję towarzystwa, naprawdę. Mam złe przeczucia. Nie chcę zostać sama...

Zamierzał odmówić ponownie, ale pomyślał o powrocie do pustego domu, pełnego bolesnych wspomnień i pojął, że również bardzo potrzebował towarzystwa.

Nawet jej...

O 23.40 olbrzymia tablica w dyspozytorni londyńskiego metra wskazała nagle całkowity brak napięcia na linii Bakerloo, na odcinku między Piccadilly Circus a Oxford Circus. Oznaczało to, że pociąg, który właśnie odjechał z Oxford Circus w kierunku Piccadilly, ugrzązł bezradnie w północnym tunelu.

Główny dyspozytor natychmiast wstrzymał ruch na całej linii Bakerloo. Personel na stacjach Oxford i Piccadilly został telefonicznie poinformowany o sytuacji. Konduktorzy na peronach obu stacji przekazali, że nie widać nigdzie ani śladu dymu, co przynajmniej wskazywało, że nie pożar był odpowiedzialny za brak napięcia.

Personel wkroczył z obu stron do północnej gałęzi tunelu. Gdyby którakolwiek grupa natrafiła na pociąg, miała odprowadzić pasażerów z powrotem do najbliższej stacji. Jednocześnie mieli spróbować ustalić przyczynę awarii.

Żadna grupa nie natknęła się na pociąg w tunelu.

Znaleźli natomiast olbrzymią dziurę mniej więcej w połowie drogi między dwoma stacjami.

Obie grupy zatrzymały się nad brzegiem przepaści i oświetliły ją latarkami. Głęboko, głęboko, dostrzegli błysk metalu. Był to koniec ostatniego wagonu. Sterczał pod kątem czterdziestu stopni. Reszta pociągu oczywiście tkwiła niżej.

Peron stacji Tottenham Court Road linii Północnej był zapchany ludźmi. Ross Chapman nie miał nic przeciwko temu, gdyż dawało mu znakomitą okazję, aby stanąć bliżej Shirley. Pierwszy raz wyszli wieczorem, ale był pewny, że zrobił dzisiaj duży postęp. Żałował, że nie zdobył się na odwagę i nie umówił się z nią tydzień wcześniej, ale odstraszały go nieuniknione kpiny chłopaków z biura. Teraz nie obchodziły go jutrzejsze komentarze. Była tego warta - najładniejsze dziewczyna, z jaką kiedykolwiek się spotykał. Miała też figurę, która naprawdę go ruszała: obfite piersi, wąską talię i krągłe pośladki. Miała też blond włosy, takie, jakie lubił. A na dodatek nie skończyła jeszcze siedemnastu lat...

Najlepsze, że wspomniała o wyjeździe całej rodziny na weekend. Będzie sama w domu, więc zaprosiła go do domu...

- Kiedy ten pociąg do High Barnet w końcu przyjedzie? - rzuciła ze złością. - Tablica podaje sześć minut, a stoimy tu już co najmniej dziesięć.

Spojrzał na tablicę. Teraz nic na niej nie było.

Ogłaszali coś przez megafon parę minut temu, ale, jak zwykle, nie zrozumiał ani słowa. Może ktoś wpadł pod pociąg? Chyba większość spóźnień metra była spowodowana przez ludzi rzucających się pod koła.

Objął ją ramieniem, a ona oparła mu głowę na piersi.

- Nie w tym rzecz, że chcę być jak najszybciej w domu - powiedziała nieśmiało.

- Ja też nie - odpowiedział. Czuł ucisk jej kształtnych piersi i miał nadzieję, że pociąg nigdy nie przyjedzie. Byłby zadowolony, gdyby mógł tak stać na peronie przez całe życie...

Thomas wszedł do sypialni i zamarł. Na tapczanie, naga odwrócona do niego plecami, leżała Anna.

Poczuł ulgę. Więc jednak nie umarła. To jakieś koszmarnie nieporozumienie.

- Anno... - powiedział miękko.

Poruszyła się i odwróciła twarz do niego.

- Cześć, Clive - uśmiechnęła się. - Znowu jestem w domu.

Krzyknął przeraźliwie.

Jej klatka piersiowa była otwarta. Ciało wiszące w strzępach odsłaniało żebra i wnętrzności.

- Co się dzieje, kochanie? - spytała. - Coś nie tak?

Wstała z łóżka. Strzępy ciała drgały za każdym jej ruchem. Podeszła do niego.

- Nie dasz mi nawet buzi na przywitanie? - spytała.

Zamknął oczy i wrzasnął najgłośniejszym głosem.

Poczuł, że obejmuje go ramionami, a potem potworny dotyknął jej rozdartego ciała.

- Doktorze Thomas! Clive! Obudź się!

Próbował odepchnąć chwytające go ręce, ale złapały go mocno i zaczęły potrząsać. Otworzył oczy. Pochyliła się nad nim Robin Carey. Wyglądała na przejętą. Wtedy dopiero przypomniał sobie, gdzie jest. Spał na kanapie w mieszkaniu Robin...

- Boże - westchnął i wzdrygnął się. Wyciągnął do niej ręce. - Pomóż mi...

Objął ją konwulsyjnym uściskiem. Nie opierała się. Położyła się na kanapie obok niego.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała uspokajająco, mocno go obejmując. - Musiałeś mieć tylko koszmarny sen.

Przytulił się do niej przyciągany odwiecznym głodem - był głodny ciepła dziewczyny, poczucia bezpieczeństwa rozbudzonego przez kobiece ciało, jej żywotność. Pragnął jej całej. Chciał się w niej zagubić - i pozwolić, żeby jej zapach, dotyk skóry, wszechogarniająca kobiecość pochłonęły jego zmysły.

Gwałtowne drżenie pozwoli zanikało, gdy tak przytulał się do niej. Nie odsunęła się.

To co nastąpiło potem, wydawało się zupełnie naturalne. Zaczął całować jej usta. Odpowiedziała gorąco...

Jego delikatne pieszczoty nagle stały się gwałtowne, co przyjęła z pożądaniem. Poczucie matczynego bezpieczeństwa zniknęło, zastąpione przez palące pożądanie - jej ciało ofiarowywało mu teraz zupełnie inne doznania.

Bez słowa poddali się swoim zmysłom. Wstała. Dopiero teraz zobaczył, że miała na sobie męską koszulę, którą musiała złapać w pośpiechu, kiedy usłyszała jego krzyk. Tylko kilka guzików było zapiętych. Odpięła je i zdjęła koszulę. Pod spodem miała tylko wąskie, czarne figi.

Wpatrywał się w nią, badając niemal z chirurgiczną precyzją jej ciało: drobne piersi z małymi, ciemnymi sutkami, gładki płaski brzuch, wąskie biodra i długie nogi. Skórę miała tak bardzo jasną, że wydawała się promieniować światłem.

Gestem kazała mu wstać. Uczynił to i stał biernie, gdy wolno go rozbierała. Zsunęła mu spodnie i slipy, uklękła przed nim i objęła ustami jego nabrzmiałego członka.

Pod wpływem dotyku jej ust i języka przeszył go dreszcz rozkoszy niemal nie do zniesienia. Odchylił głowę do tyłu i jęknął.

Nie mógł już wytrzymać. Położył jej ręce na ramionach i pchnął ją mocno. Upadła na plecy i wpatrywała się w niego ze zdziwieniem. Uśmiechnęła się kusząco; wolnym prowokującym ruchem zsunęła figi i rozchyliła uda.

Na ten widok pożądanie niczym potop przełamało ostatnie bariery samokontroli.

Wziął ją brutalnie, mocno uciskając jej ciało. Jego pchnięcia były tak mocne i głębokie, jak tylko było to możliwe. Osłabienie, które odczuwał od momentu przebudzenia się z letargu minęło nagle, a jego ciało wypełniała tygrysia energia.

Zacisnął dłonie na jej piersiach. Jęczała głośno, rzucając głową na wszystkie strony. Oczy miała zamknięte. Czuł, jak jej paznokcie wbijają mu się w plecy.

Orgazm był gwałtowny, czuł, jakby jego ciało było rozrywane na strzępy. Z ust wydarł się ostatni okrzyk i upadł przykrywając jej ciało. Był cały spocony.

Po chwili zsunął się z niej. Leżała nieruchomo na plecach. Jej półotwarte oczy błyszczały. Usta miała rozchylone, a strużka śliny ciekła jej z jednego kącika.

Gdyby nie szybkie ruchy klatki piersiowej, pomyślałby, że nie żyje. Jak Anna.

Anna. Nagle ogarnęły go wyrzuty sumienia i wstręt do siebie. Jak mógł się kochać z nią, właśnie z nią spośród wszystkich kobiet na świecie, rozpaczając wciąż po śmierci Anny? A sposób w jaki się z nią kochał?

Zamknął oczy.

- Nie powinniśmy tego robić - westchnął.

Zachichotała.

- Jestem bardzo zadowolona, że to zrobiliśmy - stwierdziła. - I nie wstawiaj mi, że się dobrze nie bawiłeś.

Spojrzał na nią znowu. Leżała na boku, opierając się na łokciu i przyglądała mu się z rozbawieniem. Była spocona tak samo jak on. Zobaczył kropelkę spływającą po jej prawej pierśi i wsiąkającą w dywan. Wtedy dostrzegł czerwone ślady na jej piersiach i poczuł kolejne wyrzuty.

- Mam nadzieję, że nie zrobiłem ci krzywdy - stwierdził, choć wiedział, że taki właśnie miał zamiar.

- Nie zrobiłeś. Szybko byś wiedział, gdybyś zrobił, zapewniam cię.

- Zazwyczaj nie jestem taki... - powiedział szorstko.

- Nie - zgodziła się. - Wyobrażam sobie, że nie. - Uśmiechnęła się lubieżnie.

- Chyba powinienem już iść... - zaczął wstawać.

- Szs, chcesz wszystko zepsuć tymi melancholijnymi wyrzutami sumienia. Zostań tam gdzie jesteś, doktoru. Połóż się, rozluźnij i pomyśl o Anglii.

Uklękła i zmusiła go, aby się położył tak, że jego głowa opierała się o brzeg kanapy. Pochyliła się nad nim i pobudziła go, pieszcząc delikatnie językiem.

Kiedy osiągnął erekcję, uniosła się i wolno opuściła na niego. Było to jak głaskanie jedwabnej rękawiczki.

Spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała miękko:

- Poprzednim razem było fajnie. Podoba mi się tak czasami, ale przede wszystkim lubię delikatnie, jak teraz...

Pochyliła się i pocałowała go.

- Pociąg - powiedziała Shirley. - Nareszcie.

- Tak - powiedział Ross. Poczuł powiew stęchłego powietrza, który oznaczał zbliżanie się pociągu. Spojrzał na tablicę, ale była ciągle pusta. Miał nadzieję, że to pociąg do High Barnet, bo na peronie zrobiło się ciasno nie do wytrzymania. Setki ludzi przyszły w ciągu tych trzydziestu minut, kiedy stali z

Shirley. Peron był tak zapchany, że stało się to niebezpieczne dla stojących najbliżej krawędzi. Z tego powodu odciągnął Shirley nieco w tył. Będą mieli kłopoty z dostaniem się do pociągu, ale lepsze to, niż wylądować pod kołami.

- Ross - głos Shirley brzmiał dziwnie. - Ross... pociąg nadjeżdża ze złej strony.

Ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że miała rację. Powiew stęchłego powietrza pochodził z północnego wylotu tunelu, piętnaście stóp od miejsca w którym stali, podczas gdy pociąg powinien nadjechać z południa.

Zaintrygowany wpatrywał się w wylot tunelu. Nagle jakaś kobieta zaczęła krzyczeć. Rozległy się krzyki i piski przerażenia. Natychmiast cały tłum runął w tył, próbując odsunąć się od krawędzi peronu. Ross i Shirley zostali przyciśnięci do ściany.

Shirley, drobna, niska, widziała tylko ludzi przed sobą. Krzyknęła:

- Ross! Co się dzieje? Coś złego?

- Nie wiem!

Panika ogarnęła tłum zebrany na peronie; ludzie przepychali się szaleńczo we wszystkich kierunkach, usiłując uciekać.

I wtedy to zobaczył. Wyrastało nad głowami ludzi, niczym czarny, olbrzymi wąż, a jego bezgłowy koniuszek kołysał się we wszystkie strony, jakby szukając czegoś. Po chwili rzucił się przed siebie...

Rozdział 16

Na moment to coś zniknęło z pola widzenia. Kiedy znowu uniosło się w górę, Ross zobaczył, że trzymało młodą dziewczynę. Walczyła, krzyczała, wierzgała dziko nogami. Ross patrzył, jak błyszcząca, czarna macka owinęła się wokół talii ofiary i wycofywała się w głąb ciemnego tunelu.

Nie potrafił zrozumieć, co się dzieje. Masa ludzi, która przyciskała jego i Shirley do ściany, nagle jakby się rozstąpiła i zobaczył przerażony, że tych macek było *w i ę c e j*. Jedna z nich, wyglądająca jak zniekształcona trąba słonia, owinęła się wokół nogi potężnie zbudowanego chłopaka z punkową fryzurą i ciągnęła go przez peron, jakby nie ważył ani grama.

Nowe macki, niektóre grube jak człowiek, wypełzały z czołwicy tunelu niczym wici gigantycznej kałamarnicy.

Stojąca za nim Shirley zaczęła wrzeszczeć. Rozejrzał się wokół zdesperowany. Wyjście po lewej stronie na południowy peron, było zablokowane masą kłębiących się ciał. Inne bliskie wyjście, schody przy końcu peronu, znajdowały się tuż przy wylocie tunelu, w zasięgu szperających macek. Zauważył, że jednak paru osobom udało się przemknąć schodami do góry...

Zdecydował się. Złapał Shirley za ramię i pociągnął ją w kierunku schodów. Opierała się krzycząc, że chce iść inną drogą. Nie zwracał jednak uwagi na jej protesty i przepychał się przez tłum, ku schodom. Odpychał luda łokciami i kolanami, nie zważając na nic. Zawahał się tylko raz, na chwilę, gdy zdał sobie sprawę, że depcze czyjeś wijące się ciało.

Jakiś biedak widocznie stracił równowagę i upadł.

W końcu przedarli się do schodów. Zerknął przez ramię na Shirley. Była biała ze strachu, a na jej prawym policzku widniał brzydki siniec.

- Złap mnie w pasie - wrzasnął, przyciągając ją do siebie - i nie puszczaj! - Potrzebował obu wolnych rąk, aby przebić się schodami do góry.

Zrobiła, co kazał i wtedy dostrzegł kątem oka jakiś dziwny ruch. Jedna z czarnych macek wiła się w ich kierunku. Gdy kołysała się nad nimi zauważył, że była niepodobna do innych - miała jakąś dziwną bulwę na czubku. Nagle, powoli, bulwa rozchyliła się jak kwiat.

Rozległ się trzask i znienacka dookoła pojawiło się pełno długich, szarych, połyskujących wici...

Szare wici spłynęły w dół, w kierunku ogarniętego paniką tłumu niczym zawartość olbrzymiej beczki.

Ross nie zamierzał czekać. Odwrócił się i z jeszcze większym wysiłkiem rzucił się w górę schodami. Za sobą słyszał narastający krzyk przerażonych ludzi.

W końcu zaczęli się przepychać w górę. Shirley przywarła do niego mocno. Znaleźli się na pierwszym podeście. Niedługo powinni dotrzeć do wyjścia i wtedy będą bezpieczni. Te macki z pewnością nie osiągną tak daleko.

Nagle zatrzymał się. Nie mógł iść dalej, bo Shirley ciągnęła go do tyłu. Obejrzał się i z ust wyrwał mu się oszalały krzyk przerażenia. Jedna z szarych wici owinęła się wokół szyi Shirley. Mocno. Jej twarz była sina, a oczy wyszły z orbit. Czarny język zwieszał się z otwartych ust. Nie żyła.

Szara więc ciągnęła ją ku sobie. Ross usiłował oderwać jej ręce od siebie, lecz palce zacisnęły się zbyt mocno w śmiertelnym uścisku. Nie mógł się uwolnić, to ciągnęło go nieubłaganie.

Nie byli jedynymi ofiarami. Wiele innych osób złapanych przez macki wiło się bezradnie jak ryby na piasku.

Uderzył w zaciśnięte dłonie Shirley, usiłując rozerwać uścisk, ale nie udało się. Stracił równowagę i upadł. Oboje toczyli się w dół po schodach. Macka ciągnęła ich wolno wzdłuż peronu.

Walcząc zaciekle odwrócił głowę i napotkał wzrok przerażonej kobiety w średnim wieku. Szara macka owinęła się dookoła jej lewego kolana i ciągnęła po peronie. Usiłowała wbić paznokcie w peron, chwycić się czegoś, ale bezskutecznie. Przez parę sekund patrzyli na siebie z niemym przerażeniem w oczach. Był to ostatni kontakt z ludzką istotą w krótkim życiu Rossa. Kobieta zniknęła w czeluści tunelu. Niedługo potem to samo stało się z nim.

Oszołomiony upadkiem na szyny jak przez mgłę zdawał sobie sprawę, że coś wciąga go w głąb tunelu, wciąż w martwych objęciach Shirley, prosto w ciemność.

Ze wszystkich pasażerów unieruchomionych w tunelu metra między Pimlico a Vauxhall jedynie Farrukh Ikoly był zadowolony z sytuacji. Podczas, gdy setki zgrzanych, stłoczonych pasażerów niecierpliwie czekały, aż pociąg ruszy, Ikoly przechodził z wagonu do wagonu opróżniając kieszenie z właściwą sobie wprawą. Przeszedł już dwie trzecie pociągu i jego torba robiła się pełna i ciężka od skradzionych portfeli i portmonetek.

Wtedy zaczęły się kłopoty. Właśnie wsuwał rękę do torebki młodej, białej kobiety stojącej tuż koło drzwi, gdy ta nagle odwróciła się, łapiąc go na gorącym uczynku.

Szybko cofnął rękę.

- Co ty, do cholery robisz? - głośno zapytała.

- O co chodzi? - w jego głosie zabrzmiała obrażona niewinność. Zasada numer jeden: jeżeli klient cię przyłapie, zachowuj się tak, jakby to on obrabiał ciebie. Prosto w nos. To zbija go z tropu i daje dodatkowy czas...

- Wsadziłeś łapę do mojej torby! - oskarżyła go.

Otaczający ich ludzie zaczęli wykazywać zainteresowanie. Pozwalało to zapomnieć o gorącu, duchocie i nudzie panującej w zatłoczonym wagonie.

Rozejrzał się. Zbyt wielu białych. Zazwyczaj nie daliby się wciągnąć w żadną taką sprawę, ale w tych nietypowych warunkach ich obojętność została przełamana i wszystko mogło się wydarzyć. Martwił się, że dał się złapać w pułapkę. Odruchowo sięgnął do kieszeni po swój pięcioccalowy nóż. Jeżeli ktokolwiek będzie chciał go zatrzymać, ciachnie dziewczynę i zacznie w zamieszaniu przepychać się do następnego wagonu.

Dziewczyna krzyknęła.

Nie rozumiał, dlaczego. Przecież jeszcze nie wyciągnął noża. Jasnowidząca, czy co? Ale ona wpatrywała się w drzwi za jego plecami.

Odwrócił się. Przyciśnięty do szklanej części drzwi widział wilgotny czubek czegoś, co wyglądało jak trąba słonia zwieszająca się z dachu wagonu. Sprawiało niepokojące wrażenie, a na dodatek miało jeszcze coś w rodzaju oka na samym czubku.

- Co to jest? - wrzasnęła dziewczyna, odsuwając się od drzwi.

- Za cholere nie wiem - odpowiedział Farrukh.

Wyciągnął nóż i obnażył ostrze. Oko, okrągłe i zimne jak rybie, wpatrywało się prosto w niego. „To musi być jakiś zwariowany kawał” - pomyślał.

Wszyscy stojący przy drzwiach usiłowali cofnąć się, ale w tym tłoku było to niemożliwe. Wtedy dziewczyna krzyknęła znowu:

- Patrzcie!

Długa, czarna macka ześlizgnęła się po szkle dołączając do pierwszej. Jej czubek zaczął wciskać się między gumowe obramowanie drzwi. Wolno drzwi zaczęły się rozsuwać, aż w końcu przerwa urosła do szerokości jednej stopy. Macki wtargnęły do przedziału...

Wybuchły wrzaski i jęki. Ludzie usiłowali wymknąć się mackom, ale tłok uniemożliwiał ucieczkę.

Farrukh bezskutecznie próbował przecisnąć się przez mur pleców. Usłyszał krzyki z drugiego końca wagonu. Czy i tam były stwory? Czyżby zaatakowały cały pociąg?

Ogarnęła go panika. Pchnął nożem stojącego przed nim człowieka. Ofiara zaczęła krzyczeć. Farrukh pchnął raz jeszcze, i znowu, ale mężczyzna tylko chwiał się stojąc nadal, podtrzymywany przez napierającą z każdej strony masę ciał.

Wtem Farrukh poczuł, jak coś zimnego, miękkiego, ale jednocześnie bardzo silnego chwytła jego lewą kostkę. Próbował to strząsnąć, ale trzymało coraz mocniej. Pociągnęło go w stronę drzwi...

Uczepił się swojej umierającej ofiary, ale to coś nieubłagane wyciągało go z pociągu. Upadł na podłogę i przewrócił się na plecy. Jedna z macek dostała go. Było ich już kilkanaście, wsuwały się do przedziału, falując i wijąc się jak kłęb olbrzymich węży.

Wtedy zobaczył coś, co zwiększyło stokrotnie jego przerażenie. Dziewczyna, którą chciał obrobić, siedziała zgięta koło częściowo otwartych drzwi. Czubek jednej z mniejszych macek wdarł się do jej brzucha. Wyglądał jak potworna pępowina. Macka zaczęła kurczyć się i rozkurczać, jakby wysysając dziewczynę. Farrukh wrzasnął widząc, że jej ciało zaczyna zapadać się w sobie. Najpierw jej twarz skurczyła się, a skóra pomarszczyła jak u stuletniej staruszki. Potem zapadła się jej

pierś, a rękawy kurtki zwisły - jej ręce zwiędły, zamieniając się w worki skóry. Wyglądała jak nadmuchiwana lalka, z której ktoś spuścił powietrze.

Odchodząc ze strachu od zmysłów Farrukh ciął nożem mackę owiniętą wokół kostki. Z początku nóż nie przebił twardej błony, ale w chwilę później zobaczył, że udało mu się. Czarna, galaretowata substancja trysnęła z rany, a macka natychmiast puściła jego nogę.

Zerwał się. W wagonie panował zupełny chaos. Macki były wszędzie. Te większe rozbijały szyby w oknach. Ludzie bezskutecznie walczyli o wyrwanie się z ich uścisku. Zobaczył, jak macka wywlekała przez okno mężczyznę.

Krzycząc, przepychając się i tnąc nożem Farrukh torował sobie drogę do drzwi prowadzących do drugiego wagonu. Szarpnął i otworzył je na oścież. Prawie zderzył się z Murzynem w średnim wieku, który usiłował uciekać w przeciwnym kierunku. Natychmiast zrozumiał, dlaczego. W sąsiednim wagonie działo się to samo, tak samo.

Facet z oczami rozszerzonymi strachem jęknął:

- To dzień sądu, bracie! Demony z otchłani piekielnych zabierają nas grzesznych żywcem do piekła! Za późno na pokutę, bracie, za późno.

Oszalały ze strachu Farrukh dźgnął go nożem w serce. Facet zacharczał i upadł. Lecz zanim jego ciało osunęło się na podłogę, olbrzymia, czarna macka pochwyciła go. Farrukh odwrócił się i chciał przedrzeć się z powrotem, ale pośliznął się na czymś i upadł. Z przerażeniem dostrzegł, że leży na niemal pustym worku ludzkiej skóry. Jedynie garnitur wskazywał, że ta karykatura człowieka była kiedyś mężczyzną. Spotkał go ten sam los, co dziewczynę w drzwiach.

Farrukh usiłował wstać, ale pośliznął się znowu w kałuży jakiejś cieczy. Wrzasnął, widząc grubą mackę wijącą się w

jego kierunku. Rzucił się na nią z nożem. Wprawdzie przeciął błonę, ale poczuł nagle parzący ból. Odwrócił głowę. Zobaczył jedną z mniejszych macek wnikającą w jego ciało, poniżej żeber, z lewego boku.

Chciał uderzyć nożem, ale dłonie i ramiona zwisły mu bezsilnie. Upuścił nóż i upadł na podłogę. Miał jedynie nadzieję że umrze, zanim jego ciało zacznie się marszczyć i zapadać... Niestety.

To było na swój niewyobrażalny sposób zadowolone. W tunelach było pełno jedzenia. Większość pochłonęło od razu, zwiększając znacznie swoją objętość, ale część zostawiło sobie na później.

Wykorzystując całą nową masę, t o wysuwało swoje chwytne macki we wszystkich kierunkach, jakby badając tunele. Jednocześnie zaczęło sięgać w g ó r ę .

Rozdział 17

Jak zwykle o tej porze, późnym wieczorem, Tony Else pił kawę w barze przekąskowym „Burger Paradise” na rogu ulic Greek i Old Crompton nie opodal Cambridge Circus. Miał właśnie przerwę w pracy. Pracował jako wykidajło w nocnym klubie „Starburst”. Ponieważ nie palił, uciekał z zadymionego lokalu tak często, jak się tylko dało.

Pomimo późnej pory bar, czynny całą noc, był całkiem pełny. Gdzieniedzie siedzieli jacyś turyści, ale większość klientów stanowili starzy bywalcy, wśród nich dwie prostytutki, Valerie i Liz, siedzące obok. Obie robiły w tym fachu od lat i traktował je niemal jak kamienie graniczne dzielnicy. Spotkał je pierwszy raz, kiedy pracował w CID, w wydziale West End Central. Przeszło dziesięć lat temu...

„To były niezłe lata” - zadumał się smętnie, mieszając kawę. Ale w końcu, głupek, zrobił się zbyt pazerny. Był chciwy do tego stopnia, że nikt, nawet jego zwierchnicy, nie byli w stanie go kryć. I to było właśnie to. Kiedy wyszedł z pudła, pożeglował z powrotem na stare, znane wody Soho. Wszystko układało się całkiem niezłe, mimo że miał już czterdzieści jeden lat i wiedział, że widoki na przyszłość są marne. Ale, na dłuższą metę, wszyscy mają takie same marne widoki, bez czy z policyjną emeryturą.

- Hej, patrzcie na to!

To Valerie. Odwrócił się. Wskazywała coś za oknem.

- Chyba ma jakiś atak...

Else spojrzał przez okno. Po drugiej stronie jakiś człowiek zataczał się. Był w wieczorowym stroju, podobnie jak stojąca obok kobieta w średnim wieku, ubrana w futro. Ukryła twarz w dłoniach, gdy zobaczyła, że mężczyzna przewrócił się.

„Ata serca albo raczej epilepsji” - stwierdził Else.

Wstał. Instynkt policyjny zwyciężył. Kiedy podszedł do drzwi, zatrzymał się i zmarszczył brwi. Nigdy w życiu czegoś podobnego nie widział. Mężczyzna po drugiej stronie ulicy zdawał się walczyć z czymś, co wyglądało jak długi, czarny kabel...

Else już miał do niego podejść, kiedy nagle usłyszał głośny hałas po lewej stronie. Odwrócił się i zobaczył ciężką pokrywę wjazdu do kanału, wylatującą dziesięć jardów w górę.

- Uważajcie! - krzyknął do pary młodych ludzi, najwyraźniej nieświadomych tego, co się działo. Pokrywa spadła z trzaskiem na chodnik tuż przed nimi.

Else usiłował wyobrazić sobie, co mogło spowodować wypadek, kiedy zobaczył coś jeszcze bardziej zaskakującego. Z otwartego wjazdu wystrzeliły długie, czarne kable - identyczne jak ten, który owijał się wokół faceta po drugiej stronie.

Dopiero, gdy zobaczył, jak jeden z kabli owija się wokół dziewczyny i wciąga ją do kanału, uświadomił sobie, że te stwory są żywe...

Skoczył do przodu, ale natychmiast zatrzymał się widząc, że ten sam los spotkał ogłupiałego towarzysza dziewczyny...

„Potrzebuję broni” - pomyślał Else, wahając się.

„Siekiera!”

Młody człowiek wrzeszcząc zniknął w dziurze. Jakaś taksówka zatrzymała się, a kierowca, najwyraźniej zaciekawiony, zaczął wysiadać. Jeden z „kablów” szybko rzucił się w jego kierunku.

- Nie wysiadaj! - ryknął Else. - Uciekaj!

Kierowca, wychylony do połowy, spojrział na niego ze zdziwieniem. Wtedy rzucił okiem na to, co było coraz bliżej. Zdecydował się wsiąść z powrotem. Zanim zdążył zatrzaskać drzwi taksówki, macka strzeliła do przodu.

Else przyglądał się bezradnie, jak wyciąga kierowcę z samochodu. Nagle zauważył, że jeden ze stworów wije się ku niemu. Odwrócił się i wbiegł do baru.

- Odsunąć się! Nie wychodzić! - krzyczał, przepychając się przez tłumek ludzi zebrany koło wyjścia.

- Co jest? Co tam się dzieje? - spytał Santos, jeden z kelnerów, zerkając na zewnątrz. - Co ten taksjusz robi? Wala się po jezdni?

- Wygląda na to, że umiera - zwięźle odparł Else. - Zabierz wszystkich na tyły knajpy, szybko!

Zaczął wypychać ludzi z wyjścia, nie zwracając uwagi na protesty, po czym zatrzaskał drzwi. Na szczęście otwierały się do środka, więc mógł zablokować je krzesłem.

Usłyszał lekkie stukanie w okno. Uniósł wzrok. Koniuszek jednego ze stworów wypychał szkiełko w górnej części drzwi. Zostawiał za sobą wilgotny, mazisty ślad.

- Rany, co to za stwór? - krzyknęła Valerie. - Wąż?

- Nie wiem, co to - odparł Else, cofając się tyłem - ale jest niebezpieczne. Na zewnątrz jest ich więcej.

Rozejrzał się po restauracji. „Co by tu mogło być dobrą bronią” - zastanawiał się z rozpaczą. Nagle jego wzrok napotkał grill do hamburgerów stojący za ladą. Wskoczył za kontuar i szybko przeszukał wszystkie kuchenne naczynia i przybory. Stwierdził, że najlepszy ze wszystkiego był mały, ale ciężki i bardzo ostry tasak. Potem dojrzał gaśnicę na ścianie.

Właśnie sięgał po nią, gdy rozległ się brzęk tłuczonego szkła...

Odwrócił się i zobaczył jedną z największych, czarnych macek, przebijającą szybę w drzwiach. Ludzie zaczęli krzyczeć. Deszcz odłamków szkła poleciał w ich kierunku. W panice uciekli na zaplecze.

- Santos! - wrzasnął Else, przekrzykując hałas. - Zabierz stąd wszystkich! Szybko!

Nie miał pojęcia, czy stwory rozpełzły się po całym West Endzie, ale większe szanse na przeżycie mieli na zewnątrz, niż tutaj.

Tłum ogarniętych paniką klientów rzucił się do tylnych drzwi, na zaplecze, które Santos właśnie otwierał. Else z tasakiem w dłoni rzucił się w przeciwnym kierunku. Coś mu mówiło, że powinien być tylną strażą ewakuacji...

Wtedy dostrzegł, że nie wszyscy umknęli falującej macce. Dwoje ludzi zostało w sali, zataczając się bezradnie, a krew spływała im po twarzach. Ofiary odłamków szkła. Jedną była Liz. Wrzeszczała histerycznie i szła, zataczając się, prosto na mackę wślizgującą się do restauracji. Za nią mniejsze macki wpełzły przez rozbite drzwi.

- Liz! - wrzasnął. - Nie tędy, ty stara, głupia dziwko! Tędy!

Zatrzymała się i chciała odwrócić, ale było już za późno. Wielka macka rzuciła się na nią i owinęła wokół talii. Potem uniosła ją w górę.

Else zaklął i skoczył do przodu. Ciął tasakiem tak mocno jak tylko mógł i z satysfakcją zobaczył, że toporek wbił się głęboko w mackę. Czarna ciecz, niczym tłusta melasa, wyciekła z rany. Ciął jeszcze raz i macka rozluźniła uchwyt wokół talii Liz, upuszczając ją na podłogę.

Poderwał wrzeszczącą kobietę na nogi i pociągnął brutalnie

w kierunku tylnych drzwi. Santos machał na nich gwałtownie. Else popchnął ją w ramiona Santosa, aby wyprowadził ją na zewnątrz, a sam wrócił po drugą ofiarę. Był to mężczyzna, którego Else nie rozpoznał - prawdopodobnie turysta. Jak Liz, był oślepiiony krwią i jak Liz, pozwolił złapać się macce. Była jedną z mniejszych, ale i tak ciągnęła go po podłodze bez najmniejszego trudu.

Else chciał uwolnić mężczyznę. Skoczył do przodu, wymachując tasakiem, gdy nagle, niespodziewanie, pochwyciła go inna macka wsuwająca się przez okno. Owinęła się wokół jego pasa.

Jęknął, czując olbrzymią siłę stwora, który ścisnął go mocno i unosił w górę. Uderzył tasakiem, ale pod złym kątem i ostrze ledwie drasnęło twardą, półprzezroczystą błonę. Uderzył jeszcze raz i jeszcze.

W końcu poczuł, że ostrze zagłębia się w cielsko stwora. Potworny uścisk osłabł. Upadł ciężko na podłogę wypuszczając z ręki tasak. Usłyszał jego szczęk gdzieś dalej, ale zanim zdążył wstać, jedna z mniejszych macek złapała go za lewą kostkę.

W tym samym momencie usłyszał potworny krzyk. Obejrzał się i zobaczył, jak stwór wyciąga turystę przez okno. Połamane kawałki szyby sterzące ostro niczym sztylety rozdzierały jego ciało. Za kilka sekund jego spotka ten sam los...

Złapał za nogę od stołu przesuując się po podłodze, ale macka ciągnęła nieubłaganie i musiał albo puścić stół, albo pozwolić na wyrwanie ręki.

Wiedział, że już za sekundę poczuje ostre kawałki szkła wbijające się w ciało, już nie mógł się uratować... Nagle usłyszał głośny syk. Chmury, opary falującej, białej mgły oślepiły go na chwilę. Chłód. Co się dzieje?

Poczuł, że macka puściła. Czyjaś ręka chwyciła jego ramię i pomogła mu wstać. Santos trzymał gaśnicę w drugiej ręce

i ciągle oblewał sprężoną, białą pianą macki, które cofały się gwałtownie.

- Szybko! - krzyknął Santos. Else nie potrzebował ponagleń. Biegł w kierunku tylnego wyjścia, przez krótki korytarzyk wiodący do magazynu i toalet. Wyjście prowadziło na ulicę.

Zatrzymał się dopiero na zewnątrz i usiłował złapać oddech. Dołączył do niego Santos. Upuścił pustą gaśnicę dopiero teraz. Obaj oparli się o mur domu.

- Tony! - wysapał Santos. - Co się tu dzieje? Czym są te stwory? Skąd się tu wzięły?

Else nie odpowiedział. Wsluchiwał się w kakofonię syren i sygnałów alarmowych, które nie docierały do niego wcześniej. Wydawało się, że cały West End ogarnęło szaleństwo.

- Tony, co się dzieje? - powtórzył rozpaczliwie Santos.

- Sądząc po wszystkim, chyba koniec świata - odparł Else.

To rozprzestrzeniło się po całym centrum Londynu.

Jego macki penetrowały cały labirynt tuneli metra, kanały, ścieki, rury, szyby wentylacyjne oraz wszystkie podziemne przejścia i tunele, nawet miejsca nie znane większości mieszkańców miasta. Zaatakowany teren rozciągał się od Camden Town na północy do Battersea na południu, od Kensington na zachodzie do Mile End na wschodzie.

Macki wystrzelały nie tylko ze wszystkich wejść metra, ale także z kanałów i włazów. Niekiedy przedzierały się w górę, przebijając chodniki czy podłogi piwnic, używając hydrostatycznych sił swego półpłynnego ciała.

Spowodowały olbrzymie straty. Szukając pożywienia, macki osłabiły fundamenty budynków, przerwały linie telefoniczne, kable, uszkadzały gazociągi. Całe dzielnice centralnego

Londynu pozbawione były światła. Co chwila słychać było głośnie eksplozje gazu...

W chaosie szalejącego ognia, walących się budynków, wypadków samochodowych, spowodowanych przez ogarniętych paniką kierowców, w ciemnych ulicach macki kontynuowały swoje żniwa, chwytając ludzi jednego po drugim i wciągając pod ziemię.

Powietrze było przesycone zapachem seksu. Leżeli obok siebie nadzy, rozciągnięci na podłodze. Robin spała z głową opartą na poduszce. On leżał niedaleko od niej, opierając się o brzeg sofy. Nie spał, ale zapadł w stan odrętwienia; jego siły wyczerpały się szybko.

Zamyślony, patrzył na nią i usiłował uporządkować swoje uczucia. Ciągle czuł wyrzuty sumienia wobec Anny. Wiedział, że ją zdradził, Kochając się z tą kobietą.

Z drugiej strony nie czuł żadnych wyrzutów, że wykorzystał Robin. Nie lubił jej i prawdopodobnie nigdy nie polubi, ale w sensie czysto fizycznym potrzebował jej tak, że aż zaczęło go to niepokoić.

Nawet teraz, zaspokojony i zmęczony po Kochaniu się z nią trzykrotnie w ciągu ostatnich godzin, czuł ostre uczucie pożądania. Wiedział, dlaczego jej potrzebował; posłużył się nią jak środkiem znieczulającym, mającym zatrzeć ból po stracie Anny. I przeczuwał, że będzie ją wykorzystywał tak długo, jak będzie to możliwe - co, jak dobrze wiedział, spowoduje jeszcze większe wyrzuty sumienia i większą niechęć do Robin.

Błędne koło.

Oprzytomniał, słysząc ostry dźwięk telefonu. Robin zbudziła się i usiadła mrugając oczami. Przez sekundę wyglądała tak bezradnie, że zobaczył ją w zupełnie innym świetle, ale

natychmiast odzyskała równowagę. Wstała i nie przejmując się nagością podeszła do telefonu.

Leniwie przyglądał się jej spoconym pośladkom, koncentrując się przede wszystkim na szczelinie między nimi. Postanowił, że następnym razem weźmie ją od tyłu - jak tylko odzyska nieco siły.

Wtedy zdał sobie sprawę z rosnącego w jej głosie napięcia. Rzuciła urywane zdania do tego kogoś po drugiej stronie drutu.

Odwróciła się, Jej twarz była blada.

- To Larry. Dzwonił z biura - oznajmiła krótko. - Stało się to, czego się obawialiśmy. Te stwory opanowały całe podziemia w centrum Londynu. Atakują ludzi.

I jest ich coraz więcej...

Rozdział 18

Renton nie umiał przegrywać. Kiedy wszedł do sali konferencyjnej i zobaczył Thomasa, jego twarz zeszytniała i warknął:

- Jeżeli spodziewa się pan, że przyznam rację pańskim szalonym teoriom, doktorze Thomas, grubo się pan myli. Nie ma żadnego dowodu, że te mackowate stwory są częścią jednego organizmu, ani nic nie potwierdza, że są one pozaziemskiego pochodzenia.

Thomas westchnął cichutko. Miał nadzieję, że tragiczne wypadki ubiegłej nocy otworzą Rentonowi oczy. Choć trochę. Niestety - widział, że będzie miał ciężką pracę z przemówieniem mu do rozumu.

- Pan wybaczy, profesorze Renton... - przerwał doktor Montgomery, szef Oddziału Chorób Układu Krwionośnego w Colindale - ale muszę nalegać na zaprotokołowanie, że doktor Thomas miał rację ostrzegając, że ten organizm lub organizmy zaatakują Londyn.

Renton spojrział na niego wilkiem i zajął główne miejsce przy stole. Oznajmił:

- Kiedy to wszystko się skończy, będzie czas na dokładną analizę. Za godzinę u premiera rozpocznie się nadzwyczajne posiedzenie gabinetu. To oznacza, że muszę dostarczyć ministrowi obrony listę propozycji, jak Colindale i Porton Down będą pomagać przy rozwiązywaniu problemu. Przejdźmy do rzeczy, panowie...

- Profesorze, zanim zaczniemy, mam jedno pytanie - przerwał Thomas. - Czy ktoś powtórzył testy wykonane przeze

mnie na tych próbkach?

Renton rzucił mu jadowite spojrzenie i zimno oświadczył:

- Tak, doktorze Thomas. Analizowano je ponownie i u nas i w Porton Down.

- I co?

Renton wzruszył ramionami.

- Pańskie wyniki potwierdziły się, ale - dodał - nie pańska interpretacja.

- Ale nie znaleziono DNA w żadnej komórce? - naciskał Thomas.

- Jeszcze nie, doktorze - odpowiedział Renton.

- Jeżeli trzy odrębnie przeprowadzone analizy nie mogą zlokalizować żadnego śladu DNA w tych próbkach, oznacza to, że po prostu nie ma go wcale. A to wskazuje, że mamy do czynienia z obcą formą życia.

Renton ze złością zacisnął usta.

- Sądzę, doktorze, że jako mikrobiolog definiuje pan życie jako system reakcji między molekułami?

Thomas skinął głową.

- I - kontynuował Renton - dwoma kluczowymi molekułami w tych związkach są DNA i proteiny. Jeżeli usuniemy którykolwiek z tych elementów, życie przestanie istnieć, tak czy nie?

- Nie w takim sensie jak my je rozumiemy - przyznał Thomas ze znużeniem. - Dlatego właśnie uważam, że organizm, z którym mamy do czynienia rozwinął się poza naszą planetą.

- Marnuje pan czas, doktorze Thomas - warknął Renton. - Wie pan, co myślę o pańskiej teorii, więc jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, zakończmy już dyskusję na ten temat i przejdźmy do meritum zebrania.

Thomas westchnął i usadowił się na krześle, zaś Renton prowadził zebranie tak, jakby dotyczyło rutynowych, budżetowych spraw między instytutami. Domyślał się, że to metoda,

którą Renton stosował, gdy natykał się na coś nie do uwierzenia. Spojrzał na twarze ludzi przy stole. Wszyscy byli bladzi, a ich oczy otępiały na skutek szoku. Trzy miejsca były puste. Troje z nich nie przybyło, prawdopodobnie zabici, między innymi Henry Mitchell.

Thomas wpatrywał się w okno. Słońce świeciło, a niebo było błękitne. Gorący, letni dzień, znakomicie nadający się na spacer po parku w czasie przerwy na lunch. Tyle tylko, że dzisiaj parki były puste. Centrum Londynu znajdowało się ciągle w stanie chaosu. Wybuchwały nie kontrolowane pożary w wielu częściach miasta, a ewakuacja ludzi z dzielnic w promieniu pięciu mil od Piccadilly Circus jeszcze nie została ukończona.

Nie było elektryczności, wody, gazu, przestała działać telewizja i radio, przzerwana była łączność telefoniczna. W ciągu kilku godzin serce jednego z największych miast świata, naukowe i administracyjne centrum Brytanii zostało zniszczone.

Gdyby przyczyną tragedii była katastrofa naturalna jak potop, czy nawet eksplozja atomowa, ludzie jakoś doszliby do siebie, gdyż takie wypadki, choć pożałowania godne, należały jednak do znanego, codziennego świata. Ale tym razem przyczyna przekraczała ludzkie pojęcie, było to coś niewyobrażalnego. Coś nieznanego nagle zmaterializowało się. Jak można racjonalnie wytłumaczyć istnienie czegoś wystrzelającego z ziemi, z podłóg, kanałów, tuneli i wciągającego opierające się i krzyczące ofiary w dół, gdzieś w ciemności?

Ataki rozpoczęły się w centrum Londynu i trwały aż do świtu. Wraz z pierwszymi promieniami słońca macki wycofały się do podziemi. W dalszym ciągu były aktywne w tunelach i kanałach, o czym boleśnie przekonały się na własnej skórze naprędce zebrane jednostki wojskowe.

Lecz tutaj, w pięknej wiktoriańskiej sali konferencyjnej na północno-zachodnich krańcach Londynu, Thomasowi wydawało się, że wypadki rozgrywające się parę mil dalej na południe były jedynie wytworem chorej wyobraźni. Wiedział, że gdyby tylko wyszedł na zewnątrz, zobaczyłby ulice Colindale zapchane uciekinierami.

Otrzymanie dokładnych danych było niemożliwe, ale szacowano, że około stu tysięcy osób zginęło tej nocy. Nie wszyscy byli ofiarami macek - wiele tysięcy zginęło w wybuchach gazu, pożarach i panice, która ogarnęła miasto. Setki rannych spowodowały przeciążenie wszystkich szpitali w zagrożonej strefie.

Wszyscy bali się, że macki rozprzestrzenia się także na zewnętrzne dzielnice Londynu. Z tego powodu nikt nie uważał, że strefa zagrożenia ustalona przez wojsko powinna rozciągać się tylko w promieniu pięciu mil od centrum. Wszyscy usiłowali uciec ze stolicy przed zapadnięciem zmroku. Mimo wprowadzenia stanu wojennego, policja i wojsko nie potrafiły opanować masowego i chaotycznego exodusu.

Thomas ponownie skoncentrował się na wystąpieniu Rentona.

- ... i dlatego, pomimo rozmiaru katastrofy, nie wolno nam dać się zastraszyć tym stworom. Czymkolwiek są, nie mogą być istotami nadprzyrodzonymi. Można je zranić. Sukcesy odniesione przez naszych dzielnych żołnierzy dowodzą, że stwory są wrażliwe na kule, miotacze ognia, nawet zwykłe siekiery. Podejdźmy więc do problemu spokojnie i racjonalnie. Sądzę, że można odkazić niezwykle duży teren. Fumigacja, tak sądzą panowie, jest najlepszym rozwiązaniem problemu i będę doradzał premierowi, a raczej ministrowi obrony... - odkaslnął sucho - ... niedługo...

„Dobry Boże” - pomyślał Thomas. Mieli do czynienia z niewiarygodnie niebezpiecznym, obcym organizmem monstrualnej wielkości, a Renton rozprawiał o tym tak, jakby było to zadanie dla tępicielei szkodników.

- Po pierwsze: musimy zdecydować, jaki czynnik da najlepszy efekt - ciągnął Renton. - Osobiście jestem za wpompowaniem fossenu do tuneli metra i kanałów, po czym, w 24 godziny później, olbrzymiej ilości sarinu. Nic nie może przeżyć takiej śmiertelnej mieszanki. Zgoda?

Thomas usłyszał stłumione pomruki zgody. Odezwał się:

- Proszę mi wybaczyć, ale ciągle opieramy się na założeniu, że mamy do czynienia z wieloma organizmami.

Renton łypnął na niego, wyraźnie niezadowolony.

- Takie jest założenie, dopóki nie uzyskamy dowodów, że jest odwrotnie.

- Ale nikt dotąd nie widział tego stwora w całości, prawda? - desperacko ciągnął Thomas. - Nawet na dole, w tunelach, nie zauważono nic oprócz macek - nikt nie widział z czego one wyrastają, zgadza się?

- Możliwe, że macki są same w sobie organizmami - odparł Renton. - Jak węże.

Thomas parsknął pogardliwym śmiechem.

- Ano, „robaki” urosły i zostały węzami. Kiedy w końcu spojrzycie prawdzie w oczy? Mamy do czynienia z jednym organizmem! Korpus prawdopodobnie spoczywa gdzieś pod siecią metra i kanałów ściekowych. Oczywiście, można wpompować do tuneli fossen i sarin i zapewne zniszczy się macki, ale nie zabijemy stwora!

Renton spojrział na niego i spytał:

- Skończył pan już swoją tyradę, doktorze Thomas? Jeśli tak, kontynuujemy naradę.

Thomas wstał, Jego krzesło zazgrzytało o podłogę.

- Tak, skończyłem i wychodzę! Nie będę marnować waszego cennego czasu i mojego!

- Zgadzam się całkowicie - oświadczył Renton, gdy Thomas wychodził z sali.

Robin czekała na niego w laboratorium. Nie mogła się dostać do biura gazety - nie musiała, zważywszy, że jej gazeta nie mogła być drukowana do czasu, kiedy będzie można wrócić bezpiecznie do Londynu. Niechętnie wyraził zgodę na jej przyjęcie.

- Chcę być blisko centrum wydarzeń - oświadczyła. - Kiedy się to wszystko skończy i znowu zaczniemy drukować, będę miała fantastyczny materiał, tylko ja! Będę miała wyłączność!

- Jeżeli to się kiedykolwiek skończy - mruknął ponuro. Ale mimo wszystko, odczuwał pewien niechętny podziw dla jej pasji.

Uśmiechnęła się szeroko, gdy wszedł do laboratorium.

- Czy mam powitać zwycięskiego bohatera? - spytała.

- Nie. Ciągłe jestem w niełasce. Wypadki zeszłej nocy ani trochę nie podgryzły Rentonowej nieomyślności. Ciągłe trzyma wszystko w garści, a reszta jest zbyt przerażona, by mu się przeciwstawić. Wyszedłem.

Nalał sobie filiżankę kawy i dopiero wtedy dostrzegł Lisę. Siedziała zgarbiona w kącie. Miała zaczerwienione oczy, a twarz szarą.

- Cześć, Lisa! - powiedział. - Wszystko okay?

Spojrzała na niego, ale nie odpowiedziała. Miała szkliste oczy.

- Chyba jest w szoku - stwierdziła cicho Robin.

- Z tego, co mi opowiedziała, kiedy przyszła, wynika, że mało brakowało, a byłaby jeszcze jedną ofiarą. Zamiast jechać do domu została na noc u swojego chłopaka w Harrow, czego zwykle nie robi w środtku tygodnia.

- To prawda - potwierdził Thomas i spojrzał na Lisę uważnie. Była niewolnicą swoich własnych nawyków. Wiedziała, że zawsze spędzała weekendy ze swoim kochankiem, dentystą, ale w inne dni tygodnia nocowała w mieszkaniu na Kings Cross. A właśnie Kings Cross bardzo ucierpiało poprzedniej nocy.

Podszedł do Lisy, ujął jej przegub i znalazł puls. Tętno było bardzo wolne. Nie opierała się, gdy odwrócił jej twarz ku światłu i zbadał oczy. Źrenice zwięzały się bardzo wolno. Robin miała rację. Podał Lisie kawę i kazał wypić.

Zrobiła to posłusznie.

- Lisa - powiedział stanowczo. - Odezwij się.

Zmarszczyła brwi, utkwiała w nim wzrok i łamiącym się głosem powiedziała:

- Linda... Cindy... Na pewno obie już nie żyją...

- Nie wiadomo - odpowiedział. - Prawdopodobnie obie są gdzieś w bezpiecznym miejscu.

- Kim one są? - spytała Robin.

- Linda dzieli z nią mieszkanie, a Cindy to ich ukochany dalmatyńczyk...

Usłyszał, że drzwi otworzyły się. Odwrócił się i ku swemu zdziwieniu zobaczył Paula Montgomery, Roberta Tanchinaki, szefa Oddziału Immunologii, oraz profesora Napiera, naukowca podlegającego Ministerstwu Obrony, obecnie szefa badawczych programów wojskowych w Porton Down, których, wbrew powszechnemu przekonaniu, prowadzono bardzo wiele.

- Narada się skończyła? - spytał Thomas, zastanawiając się czego od niego chcą.

- Tak - odparł Montgomery nerwowo. - Skoro Renton podjął decyzję wcześniej, nie było o czym dyskutować. Dlatego tu jesteśmy. Uważamy, że Renton działa zbyt pochopnie.

- To eufemizm - mruknął Thomas.

- Montgomery pokazał mi pańskie raporty - żwawo wtrącił się Napier. - I trochę mi opowiedział o przyczynach nieporozumień między panem a Rentonem. Wydaje mi się, że pan wie o wiele więcej o sprawie niż my wszyscy i że byłoby głupotą nie zasięgnąć pańskiej opinii.

Thomas spojrział na niego zaskoczony. Nie znał Napiera zbyt dobrze. Nie przepadał za nim, i to z wzajemnością. Napier był nie tylko typowym wojskowym, ale także człowiekiem Rentona po czubki paznokci. Wszystko to sprawiało, że rebelia była całkiem nieoczekiwana.

Thomas pochylił głowę w kpiącym ukłonie i stwierdził:

- Dziękuję, profesorze. Jestem bardzo zobowiązany, że nie wszyscy dookoła uważają mnie za kompletnego wariata. Będę szczęśliwy, mogąc przedstawić panom moją teorię, nawet jeżeli wydaje się panom niedorzeczna.

- Uważam, że najpierw powinien się pan zapoznać z najnowszymi danymi - przerwał mu Napier. - Czy zechciałby pan przejść do prosektorium? - jest tam coś, co powinien pan zobaczyć.

- Oczywiście - odparł Thomas.

- Mogę iść z wami? - spytała Robin.

Napier skrzywił się.

- Kim...? - zaczął.

- W porządku - szybko uspokoił go Thomas. - Moja asystentka.

- Sprawdzona? - spytał Napier.

- O, tak. I to jak. Sam tego dopilnowałem.

Nie miał żadnych skrupułów, kłamiąc tak Napierowi. Co znaczyły teraz te wszystkie tajemnice państwowe? Tak czy siak, zdecydował się zmienić pracę, gdy to wszystko się skończy. Może podejmie gdzieś prywatną praktykę...

Kiedy podążali przez korytarz za trójką naukowców, Robin zapytała:

- Kiedy to zdążyłeś mnie sprawdzić?
- Wczoraj w nocy - mruknął. - Trzy razy.

W prosektorium Napier podszedł do metalowej tacki, leżącej na stole i szcypcami podniósł coś, co wyglądało jak długi kawałek szarawego, zmiętego papieru.

- Wie pan, co to jest? - zapytał.

Z początku nie wiedział, ale gdy zauważył długie, czarne włosy przyłączone do „papieru”, zaczęło w nim narastać potworne podejrzenie...

Napier je potwierdził.

- Skóra ludzka. Wszystko, co zostało z dorosłej kobiety. I są tam setki takich samych.

Rozdział 19

- Kiedy wojsko zeszło dziś rano do tuneli metra w różnych punktach miasta w nadziei znalezienia i uratowania tych, co przeżyli, znaleziono wszędzie jedynie ubrania. Dopiero potem zdali sobie sprawę, co było w ubraniach...

Napier wskazał skórę, która leżała rozciągnięta na sąsiednim stole sekcyjnym. Przypominała groteskową, dwuwymiarową karykaturę człowieka. Zmięty, skurczony kształt z zapadłymi oczodołami, nozdrzami, wargami, sutkami, owłosieniem łonowym i paznokciami.

Przełamując odrazę Thomas wyciągnął rękę i dotknął skóry. Usłyszał urywany oddech Robin. Skóra była ostra niczym papier ścierny.

- Interesujące - powiedział. - Nastąpiła pewna mineralizacja, ale nie skamienienie jak w przypadku ofiar z Harpenden i St. Albans.

- Czy może pan to jakoś wytłumaczyć? - zapytał Napier.

Thomas w zamyśleniu masował palcami podbródek.

- Czy znaleziono ofiary w takim stanie gdzieś na powierzchni?

- O ile mi wiadomo - nie.

- Wszystkie skamieniałe ofiary zostały znalezione na powierzchni - wolno mówił Thomas. - Ale dlaczego tak odmiennie obchodzi się z ofiarami pod i nad ziemią... Chyba że...

- Tak? - spytał Napier, wpatrując się w Thomasa uważnie.

Thomas przypomniał sobie małe stadko krów na polu niedaleko Harpenden. Wyglądały jak żywe. A na sąsiednim polu krowy pasły się spokojnie.

- Może - zasugerował - w początkowym stadium rozwoju stwór wolał atakować z ukrycia. Mamy więc mięsożerny organizm atakujący spod ziemi, potrzebujący dużo żywności - jedna krowa nie zaspokoi jego głodu; wolałby skonsumować całe stadko. Atakuje więc szybko i cicho, zabija i wyjada wnętrze ofiary zostawiając „skorupę”, aby inne krowy nie rozbiegły się wystraszone.

Trzej naukowcy spojrzeli na siebie, Napier wolno skinął głową.

- Jest to możliwe - przyznał. - Pan sądzi, że coś takiego już się wydarzyło w czasach prehistorycznych, nieprawdaż?

Thomas opowiedział o wynikach analizy włókien wydobytych z szybu NIREX-u. Wyjaśnił też, dlaczego uważał, że ten wypadek był bezpośrednią przyczyną ataków najpierw „robaków”, a potem większych macek.

- Inni doszli do tych samych wniosków - zgodził się Napier. - Sam widziałem wyniki analiz i raport z Muzeum Historii Naturalnej. Sześćdziesiąt pięć milionów lat...

- Właśnie wtedy wyginęło wiele gatunków, na przykład wszystkie dinozaury, z wyjątkiem tych, które przekształciły się w ptaki. Bezpieczeństwo w powietrzu, itd....

- Wielkie nieba! - szepnął Napier. - To jest pomysł! Ale z pewnością jedno stworzenie, nieważne jak wielkie, nie byłoby w stanie wyżyć wszystkich zwierząt na całym świecie.

- To prawda. Ale sugeruję to, że istniało ich więcej. Może ten pierwszy stwór rozmnożył się jakoś, albo więcej spór czy jaj, czy czegokolwiek wylądowało tutaj na Ziemi w tym samym czasie...

Wyraz twarzy Napiera wyrażał wątpliwości.

- Ci wszyscy „obcy z kosmosu”... Muszę przyznać, że sympatyzuję tu z Rentonem. Nie podoba mi się to. Zalutuje tymi głupotami z science-fiction...

Thomas wzruszył ramionami.

- Jak inaczej wytłumaczyć wyniki analiz? To coś z pewnością nie rozwinęło się na Ziemi. Uważam, że to bardzo prymitywna forma życia. Nawet ersatz żywego organizmu, jeżeli to się wam bardziej podoba. Jakiś rodzaj kosmicznego wirusa czy pasożyta, który zakaża różne planety, żywi się formami zwierzęcymi, a następnie zapada w stan letargu czekając na odrodzenie życia i pojawienie się nowych gatunków. Wtedy budzi się i...

- Zaczyna pożerać znowu - dokończył ponuro Napier. - To tłumaczyłoby, dlaczego z nie wyjaśnionych przyczyn nie znajdowaliśmy żadnych skamieniałości w ciągu kilku innych okresów, nie licząc sześćdziesięciu pięciu milionów lat...

- Tak, tłumaczyłoby - odparł Thomas. - Tylko że my mamy przewagę nad poprzednimi ofiarami. Przynajmniej mam nadzieję, że tak jest...

- Jaką?

- Ponoć jesteśmy inteligentni. Może stwór do tej pory nie napotkał żadnych inteligentnych gatunków.

Napier wolno pokiwał głową i powiedział:

- Coś jeszcze powinien pan zobaczyć, doktorze...

Poprowadził ich z prosektorium do jednego z laboratoriów. Przyjaciel Thomasa, Gary Fletcher - wschodząca gwiazda mikrobiologii - i czterech asystentów, prowadzili jakieś badania. Fletcher z trzema pomocnikami pochylał się nad mikroskopem, czwarty wpatrywał się w buczącą centryfugę.

Uwagę Thomasa przyciągnął długi, czarny kształt zwinięty w kłębek, leżący na dwóch ławach pod ścianą.

Była to jedna z macek.

Thomas podszedł bliżej, zafascynowany i pełen odrazy jednocześnie. Macka miała około jedenastu stóp, a jej zewnętrzna błona błyszcząca od obrzydliwie cuchnącego śluzu.

Nie przypominała w niczym macek ośmiornicy czy kałamarnicy - nie miała ssawek ani żadnego śladu mięśni. Wyglądała jak sześciocalowa tuba przezroczystego plastiku wypełniona czarną mazią... Po prostu powiększona wersja „robaka”.

- Patrole wojskowe zdołały odciąć kilka kawałków w tunelach, zanim zostały zmuszone do odwrotu - wyjaśnił Napier.

Fletcher odstawił mikroskop i podszedł do nich.

- Co za mały skurwysynek - powiedział radośnie. - Chodźcie rzucić okiem na ten koszmar.

Thomas poszedł za nim w drugi koniec laboratorium.

Na metalowej tacy leżało coś, co przypominało końcowe segmenty trąby słonia. Błona była szara i pomarszczona.

- Spójrz na to - powiedział Fletcher i dziabnął to skalpelem. Ku zdziwieniu i przerażeniu Thomasa koniuszek wolno rozchylił się - i nagle stanął „twarzą w twarz” z czymś, co wyglądało jak okrągłe, szczątkowe oko.

- Odruch warunkowy - nonszalancko stwierdził Fletcher - tak sądzę.

„Oko” powoli zamknęło się. Thomas usiłował opanować dreszcz odrazy, ale bezskutecznie.

- Coś o bardziej skomplikowanej budowie, niż to cudo tam - powiedział Fletcher wskazując większą mackę. - Ale mimo wszystko - prymitywne. Czymkolwiek to jest, jest bardzo stare.

- Ale nie pochodzenia ziemskiego? - szybko zapytał Thomas.

Fletcher przytaknął.

- Zgadzam się z tobą. Musi być pochodzenia pozaziemskiego. Podobnie jak ty i inni, nie znalazłem jąder w żadnej komórce - o ile to ma jakieś komórki. Ale tak czy siak, nie jest w stanie się rozmnażać.

- Jeżeli nie może się rozmnażać, w jaki sposób macki urosły do tak kolosalnych rozmiarów? - zapytał Napier, podchodząc do nich.

- Jediną odpowiedzią jest to, że nowy materiał jest dodawany do korpusu - oznajmił Thomas. - W miejscu, gdzie macki łączą się z korpusem stwora. Nowy materiał wypycha je na zewnątrz... Odwrócił się z powrotem ku większej macce i zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem, na czym polega mechanizm ich poruszania się. Nie widzę żadnych mięśni, a macki są bardzo silne.

- Masz rację - stwierdził Fletcher. - Nie ma tu żadnych struktur mięśniowych. Muszą być kontrolowane przez coś w rodzaju prymitywnych zastawek lub zwieraczy. Macki działają na zasadzie jakiegoś prostego, ale wymyślnego systemu hydraulicznego. O ile mi wiadomo, żadna forma życia na ziemi nie rozwinęła takiego mechanizmu, chociaż chyba można powiedzieć, że drzewa używają pewnego rodzaju mechanizmu hydraulicznego - oczywiście w mniej spektakularny sposób.

- Czy sugeruje pan, że to coś jest czymś w rodzaju gigantycznego warzywa? - spytał z niedowierzaniem Napier.

- Nie, nie. To ani roślina, ani zwierzę. To coś jeszcze innego. I bardziej prymitywnego.

- Najlepiej potraktować to jako wielki, jednokomórkowy organizm, jak gigantyczną amebę - oświadczył Thomas. - A te macki pełnią funkcję nibynózek. Wydają się być wielokomórkowe, ale to tylko pseudokomórki, nie prawdziwe. Posiadają też zdolność rozszerzania się.

W głównym korpusie tego stwora skupione jest DNA lub

coś pełniące jego funkcję. I właśnie na korpus musimy skierować atak tak szybko, jak można.

- Czy sądzi pan, że plan Rentona - wpompowanie fossenu i sarinu do tuneli - jest bezsensowny? - spytał Napier.

- Tak uważam - stanowczo przyznał Thomas. - Przede wszystkim, potrzebne będą potworne ilości gazu, aby wypełnić każdą dziurę pod Londynem, a nie ma możliwości sprawdzenia, czy dotarł wszędzie. Wątpię, czy mamy wystarczająco dużo gazu na przeprowadzenie tej operacji.

- Nie - potwierdził Napier. - Musielibyśmy sprowadzić dodatkowo gaz ze Stanów...

- Co oznacza, że nie będziemy w stanie zacząć pompowania gazu dzisiaj?

Napier skinął głową.

- Nie wcześniej niż jutro po południu.

- Może już być za późno. Jeżeli pozwolimy temu stwórowi rozrosnąć się jeszcze bardziej, zniszczenie go stanie się niemożliwe. Gaz może zabić wszystkie macki, ale stwór zużyje martwe tkanki do zablokowania tuneli i rur - będzie bezpiecznie siedział za tymi barierami.

- Co więc pan radzi? - spytał Napier.

- Musimy uderzyć w korpus. Trzeba zejść pod ziemię i odnaleźć gniazdo, gdziekolwiek jest ukryte i wstrzyknąć truciznę bezpośrednio w korpus. I musimy zrobić to dzisiaj, najpóźniej dziś w nocy.

Napier przesunął ręką po siwiejących włosach. Był wyraźnie zaszepiony.

- Ale jak dostaniemy się do jądra? Nawet jednostki wojskowe nie mogły się przedrzeć dziś rano.

- Sądzę, że ten stwór reaguje na podczerwień. Ciepło wydzielane przez ciała ludzi czy zwierząt przyciąga macki. Jeżeli mały oddział ludzi ubranych w izolowane kombinezony zejdzie

na dół, będzie miał szansę przebicia się bez narażania się na atak.

Napier spojrzął na niego z respektem.

- Na Boga! Ma pan rację!

- Hm, równie dobrze mogę nie mieć - przyznał Thomas.

Wskazał na mackę, która przypominała trąbę słonia. - To okopodobne coś może być wrażliwe na inną długość fali, nie tylko na podczerwień. Miejmy nadzieję, że nie ma ich zbyt dużo tam na dole.

- Jest to ryzyko, które musimy podjąć - stwierdził podniekscytowany Napier. - Zajmę się tym natychmiast. Trzeba to zrobić za plecami Rentona, ale nie ma innej rady. Porozmawiam bezpośrednio z ministrem. Zaproponuję sformowanie grupy ochotników z SAS...

- Dobra - przerwał mu Thomas. - Ale jest jeszcze inny problem. Nie sądzę, aby fossen czy sarin nadawały się do tego celu. Wolałbym coś bardziej toksycznego. Nie możemy sobie pozwolić na spieprzenie roboty - to może być nasza ostatnia akcja.

- Co pan proponuje?

Thomas potrzęsął głową.

- Nie jestem pewny. Radziłbym użyć boksyny, gdyby jeszcze jakaś istniała, ale całe zapasy zostały zniszczone w 1979.

- Wydaje mi się, że nigdy nie słyszałem o boksynie - oznajmił Fletcher marszcząc brwi. - Co to było?

- Wyhodowano ją przypadkiem na uniwersytecie w Queensland w Australii. Marynarka Wojenna USA zapłaciła naukowcom za znalezienie antidotum na toksynę wytwarzaną przez meduzę zwaną osą morską. Jedno jej dotknięcie jest śmiertelne. Obrzydliwa trucizna, ale naukowcy pracujący nad nią przypadkiem zsyntetyzowali nową jej odmianę, sto razy bardziej toksyczną. Oczywiście marynarka wiedziała, co

dostała do ręki i wyprodukowano całe tony boksyny. Wszystko jednak zniszczono na podstawie porozumienia międzynarodowego w 1979.

Napier zakaszał.

- No, niezupełnie...

Spojrzeli na niego. Poczzerwieniał.

- Drobne ilości zachowano, aby wyprodukować antidotum na wypadek, gdyby Sowieci użyli boksyny przeciwko nam.

- Rozumiem - stwierdził łagodnie Thomas. - Czy mamy jakieś zasoby boksyny w Anglii?

- Tak. Mamy pewne zapasy w Porton Down. Załatwię, aby je nam natychmiast dostarczono. Odwrócił się, aby wyjść...

- Chwileczkę! - powiedział Thomas. - Jeszcze jedna rzecz.

Napier odwrócił się.

- Tak?

Thomas był tak samo zdziwiony swoimi własnymi słowami, jak i reszta ludzi zgromadzonych w pokoju.

- Ten team ochotników z SAS będzie potrzebował kogoś z naszą fachową wiedzą i rozpoznaniem, aby upewnić ich, że skierują toksynę we właściwy cel, w najbardziej wrażliwą część korpusu stwora... a tym kimś będę ja.

Rozdział 20

- Powtarzam ci, jesteś szalony!

Thomas westchnął.

- Jezu, przestań w końcu wrzeszczeć. To strata czasu. Już się zdecydowałem. Idę z nimi.

Byli z Robin w malutkim biurze. Leżał rozciągnięty na kanapie, usiłując odpocząć chwilkę przed wyczerpującą eskapadą. Jednak Robin już od godziny maszerowała od ściany do ściany.

- Ale dlaczego ty? Dlaczego nie dasz innym zagrać roli bohatera? Wiesz dobrze, że masz nikle szanse na powrót, prawda?

- Robin, nie pomagasz mi ani troszeczkę. Doskonale zdaję sobie sprawę, jakie mamy szanse przeżycia - bliskie zera. I mam pełne portki strachu. Nie chcę iść, ale muszę!

- Ciągłe to powtarzasz! - rzuciła oskarżycielsko. - Ale nie chcesz wytłumaczyć, dlaczego musisz.

- Nie mogę wyjaśnić.

Wpatrywała się w niego przez pewien czas i powiedziała miękkiem głosem:

- Słuchaj, doktorku. Wiem, co do mnie czujesz. Kochaliśmy się wczoraj, to prawda, ale twoje uczucia do mnie wcale się nie zmieniły. Nawet mnie nie lubisz, co?

Nie odpowiedział.

- Okay - stwierdziła. - Rozumiem dlaczego. Ale zamierzam schować w kieszeń moją dumę - która, jak mi oznajmiono kiedyś, jest znaczna - i powiedzieć ci, że lubię cię bardzo.

Bardziej niż bardzo. Nie chcę cię stracić. Więc błagam cię; nie idź... patrz, nawet przed tobą uklęknę - upadła na kolana tuż przed kanapą. Uśmiechała się, ale w oczach miała łzy. Złapała go mocno za ramię. - No, nie daj takiemu upokorzeniu pójść na marne; pociesz mnie i powiedz, że nie pójdziesz.

Potrząsnął głową bezradnie.

- Nie da rady. Nie rozumiesz. Muszę iść. To dla Anny, widzisz...

- Dla Anny?

- Muszę coś zrobić, aby pozbyć się tego poczucia winy. Zachowałem się jak świnia i to zmusiło ją do pójścia prosto w ramiona śmierci. Gdybym nie był taki małpio złośliwy i dziecinny, spuściłbym z tonu, przyjął jej przeprosiny i opowiedział, co działo się w Harpenden, to by tam nie pojechała. Byłaby nadal. Ale nie - byłem wściekły i urażony, więc chciałem wyżyć się na kimś. No i udało mi się. Nie tylko ją zraniłem, do cholery, ja ją po prostu zabiłem...

- Nie, nie! - zaprotestowała Robin. - To nie tak. Skąd mogłeś wiedzieć! Nie możesz się oskarżać!

- Jednak się oskarżam. Dlatego muszę spróbować i pomóc w zniszczeniu tego stwora. Inaczej nigdy nie odzyskam spokoju...

Wolno wstała.

- I cokolwiek powiem lub zrobię, nie zmienię twojej decyzji, tak?

- Nie, obawiam się, że nie. Ale spójrz na to inaczej. Jeżeli mi się uda, wszystko między nami może się zmienić. Chodzi mi o to, że... jeżeli jakoś zmażę poczucie winy wobec Anny, pewnie będę inaczej myślał o tobie, kiedy wrócę.

- Wielkie dzięki, łaskawco! - parsknęła sarkastycznie. - Ale nie zwracaj sobie mną głowy.

Odwróciła się i pomaszerowała do drzwi.

- Jeżeli wrócisz - dodała, wściekle trzasnęła za sobą drzwiami.

Westchnął.

- Pięknie. To właśnie chciałem usłyszeć.

Godziny mijały wolno. Był zbyt podenerwowany by spać, więc w końcu wstał i poszedł sprawdzić, czy bufet jest otwarty. Był. Paru członkom obsługi udało się przygotować kilka gorących dań dzięki awaryjnemu generatorowi.

Nie był głodny, ale zmusił się do zjedzenia talerza gulaszu. Wiedział, że będzie potrzebował każdej dodatkowej kalorii, którą udałoby się zmagazynować. Jedząc zastanawiał się, czy ma wystarczająco dużo odwagi, aby przejść przez to wszystko. Jeszcze nie było za późno na odwrót...

Odepchnął od siebie te myśli i skoncentrował się na Robin. Czy rzeczywiście zmieni swoje uczucia co do niej, kiedy wróci? Jeśli w ogóle wróci... Nie był całkiem pewny, co teraz do niej czuł. Mieszała się z wspomnieniami o Annie.

Przypomniał sobie, jak kochali się wczoraj w nocy i poczuł strumień pożądania. Powrócił obraz jej nagiego ciała nad nim... To prawda, rozmyślał kwaśno, bezpośrednie zagrożenie śmiercią wzmaga podniecenie seksualne. Zastanawiał się, czy powinien odnaleźć Robin i przekonać ją, aby przyszła do niego do gabinetu na jeden szybki numerek, zanim będzie musiał iść. Ale zrezygnował z tego. Nawet gdyby chciała, co było nader wątpliwe, wiedział, że nie powinien pozwalać sobie na marnowanie sił w ten sposób. Trzeba poczekać do powrotu.

Jeżeli wróci...

Prawie kończył posiłek, gdy usłyszał, że wywołują jego nazwisko przez megafon. Miał natychmiast udać się do sali konferencyjnej. „Marines już przybyli” - mruknął sam do siebie. Wstał i wybiegł z bufetu. Serce waliło mu jak młotem, choć przecież ciągle jeszcze był w laboratorium. Ciekawe jak się będzie czuł, schodząc do tunelu metra.

Napier czekał na niego w sali konferencyjnej z dwoma wysokimi rangą oficerami i ośmioma młodymi ludźmi. Thomas domyślał się, że ta ósemka to ludzie z SAS, chociaż wcale nie wyglądali na legendarnych supermenów z bajeczek dla dorosłych. Tak naprawdę nawet nie przypominali żołnierzy. Mieli modne fryzury a nie wojskowego jeża, a w ich zachowaniu nic nie sugerowało wojskowego drylu. Nawet ich stroje bardziej przypominały cywilne ciuchy niż mundury.

Napier przedstawił go obu starszym facetom, którzy w przeciwieństwie do podwładnych, wyglądali na żołnierzy w każdym calu. Jeden z nich był w rzeczywistości marszałkiem polnym, a drugi zwykłym generałem. Następnie przedstawiono go jednemu z SAS-owców.

- Porucznik Lindsay Cox-Hayward - oznajmił Napier. - Będzie dowodził całą akcją.

Thomas i Cox-Hayward uścisnęli sobie ręce. Porucznik zbliżał się do trzydziestki. Przyjrzał się Thomasowi dyskretnie i cień wątpliwości pojawił się w jego oczach.

- Proszę mi wybaczyć, doktorze - powiedział - ale wygląda na to, że jest pan, hmm, nieco bez formy. Czy na pewno czuje się pan na siłach? To będzie trudna wycieczka, a kombinzony, które będziemy mieli na sobie, są bardzo ciężkie.

- Proszę się o mnie nie martwić - Thomas usiłował nadrobić miną. - Jestem w lepszej formie, niż się wydaje na

pierwszy rzut oka. Nie będę was opóźniał.

Cox-Hayward skinął głową z powątpiewaniem.

- Bardzo dobrze, proszę pana.

- A teraz, panowie - Napier szybko przeszedł do rzeczy. - Ustalmy plan całej akcji i to prędko. Jest już prawie siódma wieczór, mamy więc tylko dwie godziny do zapadnięcia zmroku...

Zebrali się wokół wielkiego, owalnego stołu, na którym leżała olbrzymia mapa londyńskiego metra. Zaznaczono na niej wszystkie tunele, kanały oraz wiele innych rzeczy, o których Thomas nie miał zielonego pojęcia.

Marszałek polny przewodniczył naradzie. Wskazał czerwony okrąg na mapie, obejmujący tereny przylegające do stacji Oxford Circus, Piccadilly Circus, Tottenham Court Road, Leicester Square i Holborn.

- Wczorajsze ataki miały miejsce właśnie tu - powiedział żywo. - Możemy więc założyć, że centrum zaburzeń, zgodnie z logiką, leży gdzieś poniżej...

Thomas zauważył, że marszałek niechętnie odnosił się do stwora jako żywej istoty. Miał widać własną metodę radzenia sobie z niewyobrażalnym. Jak Renton... Ciekawe, gdzie Renton się teraz podziewał. Miał nadzieję, że siedzi gdzieś w kącie z nosem spuszczoneym na kwintę.

- To cholernie duży rejon, sir - stwierdził Cox-Hayward, zerkając na mapę. - Sprawdzenie każdego tunelu zajmie nam co najmniej dwanaście godzin. Nie mamy tyle czasu.

- Zgoda, ale istnieje spora szansa, że najlepszym miejscem na zaczęcie poszukiwań jest tunel Bakerloo, między Piccadilly a Oxford Circus - wskazał miejsce w środku tunelu. - Tutaj wydarzyła się pierwsza tragedia. To zapadlisko, w

którym zniknął cały pociąg, może służyć jako zejście w dół... w dół, gdzie... - nagle zabrakło mu słów i zwrócił się do Thomasa: - Co tam właściwie jest, co pan myśli, doktorze?

- Gniazdo tego czegoś - odparł Thomas akcentując wyraźnie każde słowo. - Sądzę, że uwiło sobie gniazdko między pokładami gliny i wapienia pod Londynem. Prawdopodobnie na poziomie wód podskórnych. Zdaje się, że to potrzebuje dużo wody...

Marszałek drgnął.

No, skoro pan tak twierdzi - odwrócił się do Cox-Haywarda. - I cóż, poruczniku?

Oficer skinął głową.

- W porządku. Helikopter zrzuci nas gdzieś na Piccadilly Circus. Stamtąd zejdziemy do tunelu Bakerloo...

Przerwało mu stukanie do drzwi. Napier powiedział:

- Wejść.

Do sali weszło dwóch jego podwładnych z Porton Dawn. Jeden z nich niósł metalową walizkę wielkości przenośnej maszyny do pisania.

- Boksyna, sir - zwrócił się do Napiera. - Czy mam...?

Napier wykonał przyzwalający gest. Ubrany na biało facet postawił walizkę na stole i zaczął odbezpieczać różne klamry.

- Jest dobrze zabezpieczona - oznajmił zupełnie niepotrzebnie. Otworzył walizkę i wskazał rząd sześciu metalowych fiolek i jakieś urządzenie wyglądające jak dziecinny pistolet przyczepiony do pompki rowerowej.

Rozejrzał się pytająco po sali.

- Kto będzie za to odpowiedzialny? - spytał.

- Ja - odparł Thomas i przysunął się bliżej.

- Dobrze, proszę spojrzeć, jak to działa. - Ujął jedną z fiolek, otworzył ją ostrożnie i wyjął grubą strzałę trzymając ją za pierzasty koniec. Igła była długa i wyglądała na bardzo ostrą. - Każda strzała zawiera 50 cm³ boksyny. Zapewniono nas, że te strzały, zazwyczaj używane przy usypianiu dużych zwierząt, przebiją nawet skórę słonia. Pistolet ma najlepszą nośność ze wszystkich, jakie mieliśmy.

Cox-Hayward miał pewne wątpliwości.

- Czy tej substancji wystarczy na zabicie czegoś tak olbrzymiego?

- Boksyna jest chyba najbardziej toksyczną substancją, jaka kiedykolwiek istniała - wyjaśnił Thomas. - Jedna mikroskopijna kropelka na pańskiej skórze spowodowałaby natychmiastową śmierć. Boksyna przenika błyskawicznie przez całe ciało, wstrzymując życie wewnątrzkomórkowe, więc wszystkie funkcje życiowe ustałyby niemal jednocześnie.

- Właśnie tak - facet z Porton Down potwierdził zadowolony.

- Pokażcie mi, jak się ładuje ten pistolet - poprosił Thomas.

Facet zademonstrował tę czynność, potem wyjął strzałę i podał mu pistolet. Ukrywając starannie zdenerwowanie, doktor powtórzył zapamiętane czynności.

Kiedy udało mu się załadować broń, Cox-Hayward rzekł radośnie:

- No, to wyruszamy na łowy na grubego zwierza.

Rozdział 21

Olbrzymi helikopter SAS osiadł na parkingu przed budynkiem laboratorium. Pomalowany na zielono-szary kolor przypominał wielkiego, pierwotnego zwierzaka, który przybył zapolować na otaczające go małe samochodziki.

Na jego widok żołądek podszedł Thomasowi do gardła. Był tak przejęty, że zapomniał o swoim lęku przed lataniem. Nawet podróż dużym samochodem pasażerskim była dla niego ciężkim przeżyciem a co dopiero helikopter, który uważał za najniebezpieczniejszy środek transportu lotniczego, jaki kiedykolwiek wynaleziono.

- Trzymaj się, Thomas. Nie trzeba panu mówić, jak wiele zależy od powodzenia waszej misji - był to Napier.

Wyciągnął do niego rękę.

- Rzeczywiście nie trzeba - Thomas już chciał uścisnąć mu rękę, gdy poczuł, że obie dłonie ma mokre od potu. Mocno ścisnął metalową walizkę, wytarł prawą dłoń o spodnie i pożegnał się z Napierem. Rzucił okiem na cały personel laboratorium zgromadzony przed wejściem. Ani śladu Robin. Był rozczarowany. Mogła chociaż przyjść, powiedzieć do widzenia...

Odwrócił się. Ekipa SAS już siedziała na pokładzie helikoptera. Silniki wydały wysoki, wibrujący dźwięk, a śmigła zaczynały się obracać. Zacisnął zęby i z pochyloną głową pobiegł w kierunku helikoptera.

Cox-Hayward pomógł mu wejść do kabiny, wskazał miejsce i pokazał, jak obchodzić się z pasami. Ledwo Thomas

zdażył zapiąć ciasno pas, helikopter z ogłuszającym warkotem silników wzniósł się w powietrze.

Thomas siedział z nogami przyciśniętymi do wielkiej paki, z metalową walizką z boksyną na kolanach. Starał się utrzymać przylepiony do twarzy uśmiech, który, miał nadzieję, oszukiwał nieco SAS-owców. Zastanawiał się, co właściwie robi w tej latającej trumnie, zaciskając w garści pudło z najbardziej toksyczną substancją na świecie.

Robin także miała problemy, chociaż na nieco mniejszą skalę. Wychodząc z biura Thomasa natknęła się na podenerwowanego młodego mężczyznę w białym fartuchu. Podbiegł do niej na korytarzu i, łapiąc z trudem oddech, wysapał:

- Jaką ma pani grupę krwi.
- Hmm, zdaje się, że 0, a bo co?
- Świetnie. Proszę udać się od razu do szpitala i powiedzieć jakiejś pielęgniarce, że przysyła panią doktor Breanihan. Ona już skieruje panią gdzie trzeba...

Pobiegł dalej. Stała tam zastanawiając się, co robić i zobaczyła, jak lekarz zaczyna inną osobę.

Co prawda nie podał najważniejszej informacji, ale domyśliła się, że szukał dawców krwi dla szpitala Colindale. Był to wielki, wiktoriański budynek tuż obok laboratorium. Nigdy nie oddawała krwi i nie bardzo miała na to ochotę. Po namyśle zdecydowała, że chociaż w ten sposób może być użyteczna. I tak nie miała nic innego do roboty...

Dopiero gdy weszła do szpitala, pojęła ogrom tragedii. W szpitalu był istny dom wariatów. Nawet recepcja była pełna łóżek i ciężko rannych. Niektóre rany wyglądały tak potwornie że zrobiło jej się słabo. Zastanawiała się, dlaczego ci ludzie nie znajdowali się na intensywnej terapii lub sali operacyjnej i zrozumiała, że to tylko czubek góry lodowej. Ranni leżeli na

wszystkich korytarzach, Tak samo wyglądały pewnie inne szpitale.

Udało się jej zatrzymać jakąś zmalretowaną pielęgniarkę. Powiedziała, że przysyła ją doktor Breanihan.

Siostra skierowała ją do sali B12 na parterze, gdzie pobierano krew od dawców. Robin przeciskała się przez koszmarną płataninę przerażających widoków.

Zadziwiająco młodziotka siostra była chyba szefową sali B12. Około tuzina lub więcej dawców leżało na posłaniach z igłami z drenem wbitymi w rękę. Robin miała nadzieję, że dziewczyna zna się na rzeczy i czekała, aż zwolni się miejsce na którymś z łóżek.

Po jakimś czasie jeszcze młodsza siostra wpadła na moment, pobrała próbkę krwi z kciuka Robin i szybko zniknęła. Wreszcie nadeszła jej kolej. Położyła się na posłaniu i wbiła wzrok w sufit, podczas gdy pielęgniarka usiłowała znaleźć żyłę. Aby zapomnieć o bólu, dopytywała się o przyczynę tak wielkiej liczby rannych. Były to przeważnie ofiary wybuchów gazowych, zawaleń budynków itp. Wszystko to było następstwem tąpnięć spowodowanych przez rozrost stwora pod Londynem.

- Mamy tu urwanie głowy, ale to samo dzieje się we wszystkich szpitalach przy zagrożonej strefie. Próbuje się przetransportować część ofiar do szpitala poza Londynem, ale wszystkie drogi są zatarasowane, a nie mamy wystarczająco dużo helikopterów.

W końcu udało jej się wbić igłę w żyłę. Podała Robin gumową gruszkę i kazała ją uciskać, po czym szybko odeszła. Dziewczyna uciskała gruszkę posłusznie, zwalczając w sobie pokusę odwrócenia głowy i spojrzenia, jak stojąca obok butla napęnia się krwią. Spojrzała natychmiast na łóżko z prawej strony. Leżał tam bykowany młody facet. Jego muskularne

ramię było całe pokryte tatuażami. Ze złością zrozumiała, że musiał się w nią wgapić od dobrych paru minut.

- Cześć, jak leci? - zapytał i wyszczerzył zęby w obrzydliwym uśmiechu.

Z powrotem zaczęła wpatrywać się w sufit.

- Cudownie! - mruknęła. Tego właśnie było jej trzeba. Podrywającego faceta.

Następne pół godziny nie było zbyt zabawne. Leżała pompując gruszkę i usiłowała ignorować komentarze płynące nieprzerwanym strumieniem z ust sąsiada. Przedstawił się jako Kevin. Odetchnęła z ulgą, gdy siostra powróciła, wyjęła mu igłę z ramienia i powiedziała, że może już odejść.

- A gdzie ciasteczka i herbatka? - zapytał.

- Proszę się nie wydurniać - odparła pielęgniarka. - Kolejni dawcy czekają na łóżko, więc rusz się pan!

- Odpierdol się, ty Florence Nightingale! - warknął, ale powoli zwłóknął się z posłania. Łypał cały czas na Robin. W końcu mrugnął do niej na pożegnanie i wyniósł się.

Robin była bardziej niż szczęśliwa widząc, że jego miejsce zajęła pulchna kobieta w średnim wieku.

W chwilę później siostra odłączyła igłę również od ramienia Robin, przyłożyła do nakłucia tampon ze środkiem dezynfekującym i kazała trzymać przyciśnięty do ramienia przez parę minut. Robin przytrzymała watkę i czuła, jak robi się jej słabo. Powiedziała o tym siostrze, która odparła:

- Przykro mi. Normalnie mogłaby pani poleżeć tu dłużej, aż do poprawy samopoczucia, ale jest tyle osób czekających, aby oddać krew, że potrzebujemy tego łóżka natychmiast.

- W porządku, oczywiście - na twarzy Robin pojawiło się coś, co miało być dzielnym uśmiechem. Wstała i zachwiała się.

- Jeżeli czuje pani zawroty głowy, jakby miała pani zemdleć - powiedziała siostra ze zrozumieniem - proszę usiąść tu i pochylić głowę między kolana.

- Chyba byłoby mniej kłopotów, gdybym po prostu zemdlła - mruknęła Robin. Podeszła do drzwi, ale zatrzymała się i zawróciła do pielęgniarki.

- Czuję, że powinna zrobić coś więcej, niż tylko oddać krew. Musi być jakiś inny sposób, w jaki mogłabym pomóc!

Dziewczyna odgarnęła włosy z czoła i przyjrzała się jej krytycznie.

- Czy ma pani jakieś przeszkolenie w dziedzinie pierwszej pomocy?

- Nie, żadnego - przyznała Robin.

Dziewczyna zmarszczyła brwi w zamyśleniu i nagle jej twarz pojaśniła.

- Mam! Proszę poczekać! - Wybiegła z sali i szybko wróciła z powrotem ciągnąc za sobą grubą, czarną pielęgniarkę. - Jasmine, zabierz panią na dół, do piwnicy, aby zastąpiła Julie. Julie będzie mogła przyjść i pomóc mi tutaj - odwróciła się do Robin. - Dziękuję pani bardzo.

- O, to nic takiego - odparła Robin. Zastanawiała się, w jaką znowu kabałę pozwoliła się wplątać.

Czarna pielęgniarka przeprowadziła ją przez całe piekło na korytarzach aż do piwnicy. Tam również znajdowali się ranni, nawet w kotłowni. Gorące, stęchłe powietrze aż drgało od jęków i płaczu. Robin musiała bardzo uważać, przeciskając się między materacami, pokrywającymi każdy cal podłogi.

W końcu siostra zatrzymała się przed jakimiś drzwiami. Otworzyła je i wpuściła Robin do środka.

Robin weszła i znalazła się w samym środku największego koszmaru w swoim życiu.

Pokój wyglądał na magazyn, wypełniony po brzegi małymi dziećmi, od dwóch do czterech lat. Było ich tam około trzydziestu. Niektóre ryczały, inne się śmiały.

Robin nie cierpiała dzieci. „Nie cierpiała” nie było właściwym słowem. Ona po prostu czuła do nich obrzydzenie, zwłaszcza do małych. Zawsze omijała szerokim łukiem domy swoich drogich przyjaciół, którzy ulegając naciskom rodzinno-społecznym poświęcili swoją niezależność i cały wolny czas tym wszystko chcącym, różowym pasożytom.

Pielęgniarka stała pośrodku masy dzieci, w samym centrum huraganu. Spojrzała na Robin i drugą siostrę z oczekiwaniem.

- Ta pani przyszła cię zastąpić - powiedziała siostra. - Masz pójść i pomóc Sarze przy pobieraniu krwi.

Pielęgniarka niemal popłakała się z radości.

- Już! - krzyknęła i pobiegła do drzwi. - Już lecę!

Robin, ogarnięta paniką, krzyknęła:

- Nie mam pojęcia, jak obchodzić się z małymi dziećmi!

- One nie są chore. To tylko tymczasowy żłobek, aż rodzice lub krewni się odnajdą i przyjdą je zabrać.

- Ale co ja mam z nimi robić? - bezradnie zapytała Robin.

- Proszę je jakoś zabawić. Może też trzeba będzie zmienić parę pieluszek.

Obie pielęgniarki wyszły szybko, zamykając drzwi.

Robin rozejrzała się po pokoju. Miała ochotę zacząć wrzeszczeć.

Lynx wylądował na Piccadilly Circus. Thomas szedł za chłopakami z SAS, ciesząc się, że stoi znowu na twardym gruncie. Rozejrzał się wkoło, zdziwiony otaczającą go pustką. Piccadilly Circus leżało w gruzach. Zawalone budynki, pełno

opuszczonych samochodów, a wszędzie olbrzymie kawały chodników i jezdni sterczały spiętrzone w górę - zupełnie jak po trzęsieniu ziemi.

W powietrzu wisiała chmura gęstego, czarnego dymu.

Najbardziej niepokoiła go dziwaczna cisza. Ósma wieczór, ciepły, słoneczny dzień, samo centrum Londynu i nie słychać nawet jednego dźwięku.

- Hej, doktorze! Wspomoże nas pan? - to Cox-Hayward. On i jego ludzie w pośpiechu wyładowali ekwipunek z helikoptera. Thomas starannie postawił metalową walizkę na ziemi i poszedł im pomóc.

Uporali się w minutę. Pilot zwrócił się do Cox-Haywarda:

- Będziemy czekali na sygnał, żeby was zabrać. Trzymajcie się!

Silniki zawyły, a Thomas i SAS-owcy odsunęli się, gdy śmigła zaczęły się obracać.

Lynx wzniósł się w powietrze. Thomas poczuł się nagle opuszczony i bezbronny.

Wtem, gdzieś daleko, usłyszeli odgłos wystrzału.

- A to co? - zapytał zdenerwowany.

- Najprawdopodobniej wojsko rozprawia się z włamywaczami - odparł Cox-Hayward, otwierając jedną ze skrzynek. - Pełno ich tutaj... - Wyciągnął biały, gruby kombinezon. - Dobrze, chłopaki! Wskakujcie w nie jak najszybciej. Miejmy nadzieję, że to cholera nas zabezpieczy...

Podał skafander Thomasowi.

- To izolowane stroje zaprojektowane na przeżycie silnych mrozów, tylko że tym razem użyjemy ich, aby powstrzymać wydzielanie ciepła. Są jednocześnie i pokryte plastikową substancją, a więc wodoszczelne.

Thomas wbił się w skafander, który wydawał się składać z kilku warstw przeróżnych materiałów. Przynajmniej da im jakąś ochronę przed mackami.

Dali mu hełm. Był olbrzymi i ciężki. Nad plastikową szybką znajdowała się lampka.

- Nasi spece z Cardington dostarczyli je parę godzin temu, więc niech się pan nie dziwi, jeżeli będą tam jakieś pluskwy - oznajmił Cox-Hayward jowialnie, demonstrując Thomasowi, jak działa hełm. - Początkowo chcieliśmy użyć skafandrów i aparatów tlenowych marynarki wojennej, ale szybko zdaliśmy sobie sprawę, że upieklibyśmy się w nich bez żadnej wentylacji. Znaleźli więc inne wyjście - kiedy robi pan wdech, wciąga pan powietrze z zewnątrz przez zawór z zastawką, a powietrze wydychane przechodzi przez spiralę chłodzącą. Sprytne, co?

Thomas przytaknął. Coraz większe wrażenie robiła na nim nonszalancja Cox-Haywarda i jego ludzi. Zachowywali się tak swobodnie, jakby wybierali się na majówkę gdzieś nad jezioro, a nie mieli zejść tam na dół i...

Próbował o tym nie myśleć.

- Kask zawiera też coś w rodzaju walkie-talkie, więc będziemy w kontakcie - kontynuował Cox-Hayward. - Energia zasilająca lampkę, radio i system chłodzenia pochodzą z tej małej baterijki.

Uniósł do góry coś jakby uprząż, do której doczepione było małe, białe pudełeczko. W środku pudełka znajdował się cylinder z powietrzem.

Thomas wskazał na to palcem i spytał:

- Po co oddzielna butla z tlenem?
- Niektóre części tunelu mogą być zalane. Gdybyśmy musieli przechodzić pod wodą, te butle dadzą nam powietrze na dwadzieścia pięć minut. Nurkowaliśmy kiedyś, doktorze?

- Nie - odparł ponuro Thomas, któremu nie bardzo przypadła do gustu wizja przepychania się po omacku przez zatopione tunele ze stworem czającym się w pobliżu.

- No, to nic trudnego - oznajmił wesoło Cox-Hayward. - Pokażę panu, jak przełączyć się na powietrze z butli...

Potem pomógł mu dopiąć kombinezon, założyć „uprząż”, podłączył wszystkie przewody doprowadzające energię i powietrze opuścił hełm i zaplombował go.

Thomas odczuł chwilowy atak klaustrofobii, który na szczęście szybko minął. Używając wszystkiego zgodnie z instrukcjami Cox-Haywarda, włączył radio i w nagrodę usłyszał trzaski w słuchawkach. Potem usłyszał głosy innych mężczyzn, którzy też zdążyli założyć skafandry.

- Czuję się w tym mundurku jakbym grał w futbol amerykański!

- Wyglądasz raczej jak odrzut z „Gwiezdných wojen”.
- Cholera! Jak można się w tym odlać.

Po chwili usłyszał, jak Cox-Hayward uciszał żarciki:

- Okay, chłopaki, koniec z gadaniem, słuchawki muszą być wolne dla moich rozkazów. Mówcie tylko wtedy, gdy macie coś ważnego do zameldowania. Piekielnie ważnego. Teraz zabierajcie broń i graty. Ruszamy!

Natychmiast pobierali cały rozrzucony ekwipunek; długą, nylonową linę, maczety i siekiery, pistolety maszynowe i inną broń. Jeden z nich miał miotacz ognia, a inny niósł małą piłę elektryczną. Thomas podniósł metalową walizkę i czekał biernie, aż Cox-Hayward przypnie maczetę i mały toporek do pasa przy „uprzęży”. Wyraźnie czuł, że porucznik traktował go, jakby był łamliwym, kruchym towarem, co wcale mu się nie podobało.

- Gotowy, doktorze? - usłyszał jego głos w słuchawkach.
- Gotowy - odparł pewnie.

Ruszyli. Cox-Hayward na przedzie. Skierowali się do najbliższego wejścia do metra, tego naprzeciwko odrestaurowanej fasady kina London Pavillon na rogu Shaftesbury Avenue i Coventry Street. Cox-Hayward zatrzymał się u szczytu i włączył swoją lampkę. Thomas uniósł rękę i zrobił to samo. Wtedy Cox-Hayward zaczął schodzić w dół wąskimi, wijącymi się schodami. Thomas szedł za nim. Serce biło mu jak oszalałe.

Na ostatnich stopniach schodów porucznik zatrzymał się nagle.

- Uwaga! - syknął przez radio. Patrząc mu przez ramię Thomas zobaczył, dlaczego tamten przystanął.

Z ciemności tunelu wiodącego na stację wysunął się czubek grubej, czarnej macki. Wyraźnie czegoś szukała...

Rozdział 22

Thomas zamarł na widok pełznącego ku nim obrzydlistwa. Miało rozmiary podobne do macki, którą widział w laboratorium Fletchera, ale obejrzenie martwego okazu wcale nie złagodziło szoku wywołanego przez widok żywego, poniżającego się stwora. Było coś przeraźliwie celowego, przemyślanego w sposobie, w jaki się poruszał, podpełzając do nich. Gdyby nie wiedział, że to coś nie posiada mózgu, przysięgłby, że jest istotą inteligentną.

- Nie rusz się! - rozkazał Cox-Hayward. - Zobaczymy, jak spisują się skafandry.

Czubek macki był już tylko o kilka stóp od Cox-Haywarda. Uniósł się na wysokość jego piersi i wydawało się, że wyraźnie w niego celuje. Thomas czekał w napięciu. Może jego teoria o reagowaniu na podczerwień była chybiona?

Macka dotknęła ramienia Cox-Haywarda, cofnęła się o kilka cali, trąciła go lekko, po czym uniosła się ponad jego ramieniem i skierowała ku Thomasowi.

Wstrzymał oddech, gdy czubek macki uderzył w szybkę hełmu, zostawiając tłustą plamę na grubym szkle.

Zmusił się do chłodnego przyjrzenia się stworowi. Dostrzegł malutki otwór w środku czubka, który zdawał się rozszerzać i zwężać...

Stwór podniósł się jeszcze wyżej i doktor poczuł, jak stuka w lampkę.

- Co się dzieje? - spytał Cox-Hayward. - Co to robi?

Thomasowi zaschło w gardle.

- Przyciąga go światelko w hełmie. Możliwe, że umie wykrywać różne inne fale, ale atakuje tylko źródło ciepła, które wskazują na istnienie żywego organizmu...

Ulżyło mu, gdy macka przesunęła się obok.

- Sunie dalej - powiedział.

Stojący przed nim Cox-Hayward odwrócił się. Thomas zrobił to samo. Zobaczył, że macka prześlizguje się między pozostałymi mężczyznami, nie zwracając na nich uwagi. Gdy dotarła do miejsca oświetlonego przez promienie zachodzącego słońca, nagle cofnęła się.

- Światło słoneczne widoczne jest zbyt intensywne dla jego zmysłów - stwierdził Thomas.

- Aha. Ale słońce niedługo zajdzie, więc lepiej zbierajmy się. Dalej, ruszać się chłopcy!

Schodzili w dół po schodach. Macka z pewnością wyczuła wibracje wywołane przez ich kroki. Nagle zaczęła gwałtownie kołysać się we wszystkie strony, zmuszając kilku mężczyzn do przemykania się pod ścianami.

Szybko zbiegli w dół do krótkiego tunelu prowadzącego na stację. Cox-Hayward znowu ich powstrzymał.

- Jezu... - wyszeptał któryś z żołnierzy.

W świetle lamp widzieli wyraźnie okrągły podest z automatami biletowymi, który dosłownie pełzał - tyle było tam macek. Wyglądało to jak gniazdo olbrzymich węży lub raczej gigantycznych robali...

- Okay chłopaki, ruszać się ostrożnie i patrzeć pod nogi. Jeżeli cokolwiek was złapie, tnijcie siekierkami bez wahania. Tak samo jeżeli zauważycie, że złapało kogoś innego...

Cox-Hayward szedł pierwszy. Thomas odetchnął głęboko i od razu tego pożałował. Hełm wypełnił się ostrym odorem. Żałował, że nie może używać tlenu z butli, ale wiedział, że trzeba go zachować na później.

Szedł za Cox-Haywardem w kierunku ruchomych schodów, usiłując nie nadepnąć na żadną z macek, które wiły się wszędzie dookoła. Niektóre były cieniutkie, inne grube jak człowiek.

Wtedy zdał sobie sprawę, że idzie po czymś miękkim. Wpatrywał się w posadzkę przed sobą i zauważył, że cała była pokryta ubraniami. Garnitury, koszule, sukienki, dżinsy, buty... nagle dostrzegł coś, co ścięło mu krew w żyłach. Kłębki włosów i pomarszczone worki czegoś co wyglądało jak guma. Wiedział, że była to ludzka skóra.

Cox-Hayward nie odezwał się do tej pory ani słowem, ale w końcu jeden z jego ludzi nie wytrzymał:

- Hej, co to za gówno na podłodze?
- Ludzie - odparł tępo Thomas. - A raczej to, co zostało z ludzi, kiedy te stwory z nimi skończyły.

Zbierało mu się na wymioty, ale wiedział, że zginie, jeżeli zdejmie hełm.

- O kurwa... - wymamrotał ktoś.

Macki wiły się, gdy szereg mężczyzn przechodził obok. Często ich czubki podnosiły się badawczo, kiwając się na wszystkie strony, ale jak na razie, żadna nie zaatakowała.

Thomas dołączył do Cox-Haywarda przy ruchomych schodach i zerknął w dół. W strumieniach światła z lamp widzieli zarówno schody jak i podest między nimi - wszystko pokryte mackami.

- Dobry Boże! - jęknął z przerażeniem Thomas. - Jak mamy tam, do cholery, zejść?

Jedyną możliwą drogą było zjechać w dół po stworach, ale wątpił, czy byłby w stanie to zrobić bez porzygania się.

- Czas na wpuszczenie liska do kurnika - stwierdził Cox-Hayward. - Fox, chodź no tutaj razem ze swoją zabawką! -

Wskazał brzeg schodów, pokryty kłębiącymi się mackami.

- Tnij, Fox! Cała reszta - przygotować się! Mam wrażenie, że nie spodoba się to naszemu koleśowi tam na dole.

Fox włączył pilkę. Nawet przez hełm i słuchawki hałas wydawał się niewiarygodnie głośny i Thomas dostrzegł, że macki zawierały się niespokojnie. Może odbierały również fale dźwiękowe?. Nie, nieprawdopodobne. Może po prostu miały pewną wrażliwość na wibracje...

Fox przystawił ostrze do błony jednej z macek, mającej około dwóch stóp średnicy. Przeciął ją z łatwością i czarna, lepka ciecz rozprysnęła się dookoła. Gwałtowny dreszcz przeszedł przez mackę, która natychmiast cofnęła się jak oparzona. Jednocześnie wszystkie pozostałe macki zadygotały nerwowo.

Piła cięła kolejnego stwora. Thomas rozejrzał się dookoła i odpiął maczetę.

Zauważył, że jakaś macka owinęła się wokół nogi jednego z mężczyzn, ale nie był to zamierzony atak.

Macki, a raczej to co je kontrolowało, najwyraźniej nie wiedziały, co się dzieje. Thomas uspokoił się nieco.

Potwór widocznie nie był wszech potężny.

Fox już prawie odblokował dostęp do schodów.

Przecięte na pół macki cofały się szybko w dół, zostawiając za sobą odcięte kawałki.

Nagle Thomas spojrział w górę i dostrzegł, że coś odrywa się od sufitu i wolno spuszcza w ich kierunku.

Wyglądało jak bardzo długa trąba słonia... i wtedy zobaczył oko.

- Poruczniku! - wrzasnął. - Nad nami! To coś... musi pan...

Przerwał mu okropny wrzask w słuchawkach i zobaczył, że macka unosi w górę Foxa. Piła wypadła mu z rąk. Usłyszał chrzęst pękających kości. W tym samym momencie poczuł, że coś mocno uciska jego prawe udo.

Spojrzał w dół i dostrzegł, że złapała go jedna z mniejszych macek. Automatycznie uniósł maczetę i ciął.

Macki napływały ze wszystkich stron w najwyraźniej przemyślany sposób i Thomas wiedział, dlaczego.

- Poruczniku! - krzyknął znowu. - Musi pan zniszczyć to coś nad nami! To coś nas widzi!

Wskazał palcem oko. Cox-Hayward uniósł głowę i błyskawicznie wy dobył pistolet maszynowy. Stłumiony terkot automatu - „trąba” zadygotała i w końcu upadła bezsilnie na posadzkę.

Pozostałe macki natychmiast straciły koordynację ruchów i przestały atakować.

- Fox? - zapytał porucznik. - Co z tobą?

Fox leżał bez ruchu u szczytu schodów. Thomas patrzył jak porucznik podchodzi do niego i przewraca na plecy.

- Nie żyje. Czy ktoś jest ranny?

Szmer przytłumionych głosów oznajmił, że nikt.

- Ruszamy dalej, trzeba iść szybko, dopóki mamy przejście. Parker, weź piłę. A wszyscy uważajcie, czy nie ma gdzieś kolejnego oka...

Thomas przeszedł obok ciała Foxa i dostrzegł, że cały hełm był wypełniony krwią.

- Patrzcie pod nogi! - rozkazał porucznik. - Wszędzie pełno tego paskudztwa!

Thomas szybko zrozumiał, co porucznik miał na myśli. Schody pokryte były czarnym śluzem, który wypłynął z przeciętych macek. Parokrotnie pośliznął się i prawie przewrócił.

Gdy zeszli w dół, natrafili na kolejną przeszkodę. Schody prowadzące z podestu na peron były wręcz zalane mackami.

Musieli ponownie użyć piły. Tym razem udało im się oczyścić drogę bez problemów. Ani śladu trąb z oczami.

W końcu zeszli na peron północny, gdzie doznali kolejnego szoku. Strumienie światła wyłoniły z mroku rozłożoną na szynach mackę tak grubą jak pociąg.

Dokładne oględziny wykazały, że wypęzła z wylotu jednego tunelu i znikła w drugim. Poruszała się...

Patrzyli na siebie z trwogą w oczach.

- Chryste! - mruknął ktoś. - To diabelstwo musi mieć kilkanaście mil długości!

- Tak - zgodził się Thomas. I cały czas rośnie.

Macka pełzała obok nich wolno i jednostajnie, wydając wilgotny, chlupoczący dźwięk. Musiała składać się z kilku mniejszych. Zadrżał. Jeżeli we wszystkich tunelach metra i kanałach znajdowały się podobne, ciągle rosnące stwory, cały Londyn wraz z przedmieściami był zagrożony.

- Do kurwy nędzy! - wymamrotał Cox-Hayward.

- Jak my się przez to przedostaniemy?

Było trochę miejsca między ścianami tunelu a macką, ale ryzyko zgniecenia było zbyt duże. Aby rozgnieść ich na płatek, musiałyby po prostu przesunąć się troszeczkę. Zbyt duże ryzyko, aby próbować.

Thomas postawił walizkę na peronie, przyklęknął obok i - starając się nie patrzeć na żałosne ludzkie szczątki - otworzył ją.

- Co chce pan zrobić? - spytał Cox-Hayward.

- Zamierzam wstrzelić w to jedną strzałę boksyny - oznajmił Thomas, odbezpieczając pistolet na sprężone powietrze.

- Czy to rozsądne? Czy nie będziemy jej potrzebować później, na samego potwora?

- Jedna dawka więcej czy mniej nie zrobi żadnej różnicy. A poza tym, czy macie jakieś inne pomysły?

- Nie - przyznał Cox-Hayward.

Thomas załadował pistolet, podszedł do krawędzi peronu, wycelował w poruszające się cielsko i pociągnął za spust. Zobaczył czerwoną końcówkę strzały znikającą w macce. Czekał niecierpliwie, ale nic się nie działo.

Macka dalej pełzła do przodu.

- No i co? Myślałem, że to zadziała po sekundzie.

- Ja też - odparł rozczarowany.

Wtem macka wygięła się konwulsyjnie, uderzając gwałtownie w sklepienie tunelu. Thomas cofnął się szybko, gdyż wielkie płyty zaczęły spadać z góry rozbijając się o peron. Wszyscy niemal przykleili się plecami do ściany. Macka ciągle wiła się i rzucała gwałtownie.

W końcu znieruchomiła. Zewnętrzna błona pękła w kilku miejscach i lepka, czarna maź zaczęła wypływać na zewnątrz.

Słuchawki Thomasa aż drżały od okrzyków radości. Głos Cox-Haywarda przerwał te odgłosy tryumfu:

- Okay! Wystarczy! Doktorze, czy to nie żyje?

- Na to wygląda. Przynajmniej ta część.

- Może cały stwór zdechł.

- Nie, proszę spojrzeć. - Wskazał palcem mniejszą maczkę, wysuwającą się z dziury w peronie.

Cox-Hayward westchnął.

- Cóż, więc trzeba iść dalej, - zerknął na wylot tunelu. - Szykuje się ciężka przeprawa. Miejmy nadzieję, że ten potwór nie dostanie drgawek pośmiertnych.

Jeden za drugim zeszli z peronu i szli w głąb tunelu wzdłuż

nieruchomej macki. Zgodnie z obawami Thomasa korytarz był bardzo wąski i musiał walczyć, aby stłumić narastającą panikę. Wbił wzrok w Cox-Haywarda i usiłował odychać regularnie, pomimo przerażającego smrodu.

Najgorsze było to, że musieli dotykać macki przepychając się wzdłuż niej. Nawet przez gruby i miękki kombinezon czuł odrażającą gumowatość błony.

Kontynuowali ten koszmarny marsz, aż odór wypełniający zaczął go dusić, powodując halucynacje. Biały strój Coxa-Haywarda zaczął zmieniać kształty, aż przeistoczył się w nagą postać kobiecą. Kobieta odwróciła głowę i spojrzała na niego przez ramię. Anna.

Nie mógł powstrzymać kaszlu.

- Doktorze! Coś nie w porządku?

Thomas zamrugał oczami. Cox-Hayward zatrzymał się i przez szybkę zauważył zaniepokojenie na jego twarzy. Anna zniknęła.

- W porządku... - wysapał Thomas. - Tylko halucynacja. Ten smród mnie zadusi. Muszę zaczerpnąć powietrza z butli. Tylko przez chwilę.

- Dobra – niechętnie zgodził się Cox-Hayward. - Ale proszę nie pobrać za dużo. Możemy natknąć się na zalane przejścia.

Thomas manipulował przełącznikiem zatykającym butlę z tlenem. W końcu otworzył zawór. Usłyszał syk i chwilę później oddychał świeżym powietrzem. Poczul olbrzymią ulgę.

Za jakiś czas Cox-Hayward krzyknął:

- Doktorze! To się kończy!

Parę kroków dalej Thomas zobaczył, co porucznik miał na myśli. Macka urywała się nagle. Jej koniec był pokryty białą włóknistą substancją, przypominającą gęstą pajęczynę.

- Co pan o tym sądzi? - spytał Cox-Hayward, dotykając jej ostrożnie rękawicą.

- Kiedy potwór poczuł, że trucizna rozprzestrzenia się w macce, po prostu ją odrzucił, tak jak rozgwiazda pozbywa się swojego złapanego przez coś ramienia. Ta biała substancja musi być czymś w rodzaju zapory blokującej rozprzestrzenianie się boksyny.

- To sugeruje inteligencję.

- Nie - oświadczył Thomas z przekonaniem. - Jest zbyt prymitywne, aby posiadało jakąkolwiek inteligencję.

- Mam nadzieję, że się pan nie myli.

Tunel przed nimi był pusty, więc szło się o wiele łatwiej. Nie widzieli żadnych śladów nawet malutkich macek. Thomas znowu oddychał powietrzem z zewnątrz i zauważył, że odór był tu mniej intensywny.

Wtem, trzydzieści jardów dalej, napotkali tę samą białą substancję, co na końcu grubej macki. Pokrywała całe dno tunelu, rozciągając się od ściany do ściany. Pogięte szyny sterczały w górę.

- To tutaj macka cofnęła się w głąb - oznajmił Thomas. - Kiedy zrzuciła zatrute segmenty, zapieczętowała też otwór, aby się dodatkowo zabezpieczyć.

- Tak - wolno zgodził się Cox-Hayward. - Ale może to początek innej macki...

Ta sama myśl przemknęła przez głowę Thomasowi, ale miał nadzieję, że tak nie jest. Musieli przejść około dziesięciu stóp przez tę pajęczynę i myśl, że natkną się zaraz na kolejną mackę, która uniesie się i rozpląszczy ich na ścianach lub sklepieniu, nie była zbyt wesoła.

- Dobra! Chłopaki, dawać linę! - rześko rozkazał Cox-Hayward.

Przeciagnęli linę przez sprzączki przy skafandrach. Szli w odległości dwunastu stóp jeden od drugiego. Kiedy reszta mocowała linę. Cox-Hayward wystąpił naprzód i wszedł na włóknistą substancję. Ugięła mu się pod butami niczym trampolina, ale nie przerwała się. Szedł dalej i bezpiecznie przedostał się na drugą stronę. Thomas odetchnął z ulgą i usłyszał w słuchawkach, że reszta zrobiła to samo.

Kolejny mężczyzna wystąpił z szeregu. Thomas był czwarty. Cox-Hayward chciał, aby dwóch jego najsilniejszych ludzi szło za Thomasem i pomogło, gdyby upadł, przechodząc przez włókna.

Trzeci człowiek przeszedł. Nadeszła jego kolej. Zrobił krok i żołądek podszedł mu do gardła, gdy biała substancja ugięła się pod jego stopami. Zupełnie jakby chodził po materacu wodnym. Zastanawiał się, co znajduje się pod spodem... Konic drugiej macki, czy też przepaść głęboka na kilkaset stóp...

W końcu stanął na twardym gruncie. Dołączył do innych i zwracał pilną uwagę na linę, rejestrując wszystkie szarpnięcia.

Piąty człowiek przeszedł... szósty... siódmy... Thomas odprężał się... lecz kiedy ostatni stanął na białym materiale, kilkanaście macek wystrzeliło w górę tuż za jego plecami. Nie było nawet czasu na ostrzeżenie. Macki owinęły się dookoła niego i ściągnęły go w dół, w otchłań...

Lina gwałtownie napięła się. Thomas i inni stracili równowagę. Czuł jedynie, że coś ciągnie go po ziemi w kierunku przepaści.

Rozdział 23

Robin nie wierzyła własnym oczom, kiedy spojrzała na zegarek i zobaczyła, że była prawie dziewiąta wieczór. „Gdzie, do cholery, podziała się zmienniczka” - zastanawiała się z wściekłością. Kiedy jedna z pielęgniarek zeszła o piątej na dół z puszkami soku owocowego i ciastkami dla dzieci, obiecała Robin, że znajdzie kogoś, kto ją zastąpi o ósmej. Minęła już godzina i nikt się nawet nie pokazał...

Wychodziła z siebie. Oprócz rozdrażnienia spowodowanego pilnowaniem trzydziestu lub więcej bachorów odczuwała również przygnębienie. Tej właśnie nocy rozgrywał się największy dramat stulecia, a ona siedziała w pułapce tej szpitalnej piwnicy z bandą rozpuszczonych, małych gówniarzy.

Martwiła się bardzo o Thomasa. Nie powiedziała mu całej prawdy, w biurze. Nie tylko bardzo go lubiła - była pewna, że się w nim zakochała.

Ponownie zerknęła na zegarek. Zastanawiała się, gdzie teraz był. W tunelu? Może było już po wszystkim i wracał do domu. „Chryste!” - pomyślała ze złością.

„Muszę się jakoś stąd wydostać!”

- Płoszę pani, chcę na nocnik — mały chłopaczek, na oko trzyletni, szarpał ją za nogawkę spodni. Robin spojrzała na niego ponuro. Jeżeli te małe gnojki nie wyły, ryczały czy skrzeczały - to sikały lub srały, niektóre wykonywały dwie lub nawet trzy wyżej wymienione czynności jednocześnie.

- A nie siedziałaś niedawno? - spytała podejrzliwie. Sprawy nocnikowe były rzeczą poważną. Najbliższe toalety znajdowały się dosyć daleko i nie mogła zostawić ich samych na tak długi czas, aby pójść i wypróżnić te cholerne kapelusze.

Dziecko zapewniło poważnie, że już bardzo dawno nie siedziało na nocniku; nie miała więc wyboru i musiała znaleźć taki, w którym mogło się coś jeszcze zmieścić. Posadziła go. Niespokojnie pomyślała o wzrastającym parciu na swój własny pęcherz - nic dziwnego, skoro ostatni raz była w toalecie cztery godziny temu. Jeżeli jej zmienniczka nie pojawi się szybko, będzie chyba musiała również skorzystać z nocnika.

Żałowała, że nie udało się położyć ich spać. Kilka maluchów padało od czasu do czasu gdzieś w kącie, ale większość była zbyt przestraszona wypadkami, aby się uspokoić. Nie miała do nich o to pretensji - nawet współczuła biednym smarkaczom - ale to wcale nie umniejszało katuszy, które przeżywała, pilnując ich.

Wyczerpała cały repertuar opowiastek, a gry i zabawy z dzieciństwa pamiętała bardzo mglście, więc nie miała pojęcia, co począć z nimi dalej...

Usłyszała głośny łomot do drzwi. „Nareszcie!” - pomyślała szczęśliwa. „Zmienniczka!”

Podbiegła i otworzyła drzwi. Stał w nich ten sam facet, który tak się naprzykrzał przy pobieraniu krwi. Kevin.

Wyszczerzył zęby.

- Cześć! Szukałem cię wszędzie, kochanie. Ktoś mi powiedział, że jeźdź na dole. No i jeźdź... - rozejrzył się po pokoju pełnym dzieci. - I to zupełnie sama.

- Tak, nie licząc trzydziestu dzieci - powiedziała spokojnie. Zaczynała się bać, ale zmusiła się do uśmiechu. - Jeżeli

znasz jakieś zabawy, możesz je wypróbować na dzieciakach. Skończyły mi się pomysły.

Jego głupkowaty uśmiech był coraz szerszy.

- O, znam kupę różnych gier, ale nie bawię się w nie z dziećmi, kapujesz, o co chodzi?

Pchnął ją, wszedł do sali i szybko zamknął drzwi. Oparł się o nie, całą swoją postawą wyrażając arogancję i bezczelną pewność siebie.

- Rozbieraj się - rozkazał.

Zebrała szybko myśli i stwierdziła:

- Jesteś śmieszny. Nigdy ci się to nie uda. Dookoła jest pełno ludzi...

Podjęła decyzję: podejdzie bliżej, kopnie go w jaja i wbije palce w oczy...

- Szpital jest pełen zdychających ludzi, więc wszyscy będą mieli cię w dupie. No, rozbieraj się - wyciągnął zza pleców rękę uzbrojoną w sztylet.

Zamarła. Jej plan legł w gruzach. Zadygotała. Przeszyły ją fale lodowatej paniki. Próbowwała wymyślić jakiś alternatywny plan uspokojenia go lub chociaż odwrócenia jego uwagi...

- Powiedziałem - rozbieraj się! - podszedł bliżej. Czubek noża był wycelowany prosto w jej gardło.

Rozejrzała się wkoło desperacko. Wszystkie dzieci uciszyły się i przyglądały dorosłym szeroko otwartymi oczami. Robin powiedziała:

- Nie możesz tego zrobić tutaj... nie przy dzieciakach.

Wzruszył ramionami.

- Mówiłaś, że nie masz pomysłów na zabawienie ich. W takim razie przedstaw program edukacyjny.

- Nie - odparła twardo. - Dobra, pójdę na współpracę, zrobię wszystko, co zechcesz, ale pod warunkiem, że pójdziemy gdzie indziej. W jakieś ustronne miejsce.

Przymrużył podejrzliwie oczy.

- Gdzie?

Myślała szybko.

- Toalety. Nie są zbyt daleko.

Rozważył to i skinął głową. Przyjęła to z ulgą - była pewna, że znajdzie jakąś okazję, aby się wyrwać.

- Chodźmy więc - oznajmiła.

Otworzył drzwi i wsunął sztylet do kieszeni spodni.

- Spróbuj tylko dać nogę, kochanie, a wsadzę ci go w plecy, zanim zrobisz jeden krok. Jasne?

- Jasne - odwróciła się w stronę dzieci. - Wychodzę tylko na chwilkę. Zachowujcie się grzecznie i nie wychodźcie z tego pokoju.

Niektóre dzieciaki zachichotały. Inne pomachały rączkami na do widzenia.

Zamknął drzwi i mocno złapał ją za ramię.

- Prowadź, kochanie! - rozkazał.

Szli przez krótki korytarz, wiodący do wąskiej kotłowni. Z nadzieją rozejrzała się wokół, ale było oczywiste, że żaden z leżących tam ciężko rannych nie był w stanie jej pomóc.

Kiedy znajdowali się pośrodku sali, drzwi otworzyły się i weszła młoda pielęgniarka, niosąc tacę. Robin już chciała do niej krzyknąć, ale poczuła, jak ręka Kevina prawie zgmiotła jej ramię.

- Ani mru-mru - szepnął. - Uśmiechnij się.

Zrobiła, co jej kazał. Uśmiechnęła się sztucznie, gdy dziewczyna przechodziła obok. Spojrzała na nich z zaciekawieniem, ale było widać, że miała zbyt wiele spraw na głowie, aby się dopytywać, co robią tu, na dole.

Gdy wyszli z kotłowni, nadzieja zaczęła opuszczać Robin. Poddała się.

Kiedy ostatnio szła do toalety, droga wydawała się jej strasznie długa, ale tym razem dotarła tam zdecydowanie za szybko.

Jak tylko weszli, popchnął ją brutalnie na ścianę i ponownie wyjął sztylet. Upewnił się, że nikogo nie ma, odwrócił się do niej z uśmiechem i powiedział:

- Tak, to mi się podoba. Teraz, kochanie rozbieraj się, ale wolniutko.

Spojrzała na nóż i poprosiła:

- Obiecuj, że mnie nie zranisz.

W odpowiedzi uderzył ją mocno w twarz.

Przez krzyki wypełniające słuchawki Thomas słyszał, jak Cox-Hayward wrzeszczy, ale nie mógł zrozumieć o co chodzi. Toczył się coraz szybciej po twardym dnie tunelu, głowa obijała się wewnątrz hełmu. Tuż przed sobą widział kolejny biały skafander, znikający w ziejącej przepaści. On będzie następny...

- Odetnij linę, do ciężkiej cholery! Odetnij linę!

Nagle zrozumiał, co krzyczał Cox-Hayward. Ale jeżeli odetnie linę, wszyscy ci mężczyźni będą straceni... Uprzytomnił sobie, że oni i tak byli już skazani. Wszyscy zginą... Chyba że...

Sięgnął po maczetę, odczepił ją od pasa, machnął na oślep i... chybił.

Machnął raz jeszcze. Lina przerwała się i przestał się toczyć. Zobaczył koniec liny znikający w dziurze, a potem maczkę sunącą w jego kierunku. Odciął jej czubek i odpełził dalej na kolanach. Poczul, że ktoś go podnosi.

- No, doktorze, pośpieszmy się! - był to Cox-Hayward.

Pół-zataczali się, pół-biegli w dół tunelu. Dopiero po upewnieniu się, że nie ścigają ich macki, zatrzymali się, aby odsapnąć.

- Musiałem... to... zrobić... - wysapał Thomas.
- Tak, oni już byli skazani - zgodził się Cox-Hayward. -
Postąpił pan właściwie.

Zostało ich tylko czterech. Ciągłe mieli przed sobą długą drogę. Thomas był absolutnie pewny, że już nigdy nie zobaczy słońca.

- Ruszajmy - powiedział Cox-Hayward. - Nie ma czasu na żalobę, najpierw trzeba skończyć robotę.

Powlekli się dalej.

Po około sześćdziesięciu jardach natknęli się na olbrzymia dziurę. Była tak szeroka, że rozciągała się aż do sąsiedniej, południowej gałęzi tunelu. Ściana rozdzielająca gdzieś zniknęła. Thomas nerwowo wpatrywał się w niczym nie podparte sklepienie jaskini, które uformowała się po tąpnięciu. Wyglądało to tak, jakby miało się za moment zawalić.

- To tutaj! - krzyknął Cox-Hayward. Stał nad brzegiem przepaści, oświetlając lampą otchłań.

Thomas podszedł do niego. Dojrzał koniec czerwonego wagonu linii Bakerloo. Odnaleźli go.

Zabezpieczyli koniec ostatniego zwoju wokół jednej z wygiętych szyn i zrzucili linę w głąb przepaści. Jak zwykle Cox-Hayward poszedł pierwszy.

Thomas i dwaj pozostali SAS-owcy wpatrywali się z napięciem w porucznika, schodzącego w dół po stromych stokach skały aż do wagonu. Kiedy zszedł bezpiecznie, dał im znak, aby szli za nim.

Thomas przypiął metalową walizkę do klamry przy pasie. Potrzebował obu rąk do zejścia po linie.

- Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją - zamruczał do siebie zsuwając się w głąb otchłani. Dwaj pozostali żołnierze poszli w jego ślady.

Kiedy dotarli do ostatniego wagonu pociągu, nie dostrzegli nawet śladu Cox-Haywarda. Wtem usłyszeli dźwięk. To porucznik wyszedł przez boczne drzwi z kabiny maszynisty. Przez chwilę Thomas był zaskoczony, że z tego końca jest kabina maszynisty, skoro pociąg wpadł w dół przodem. Dopiero później uświadomił sobie, że takie kabiny znajdują się na obu końcach pociągów.

- Z tego, co widzę, wagony nie są zgniecione - sapnął Cox-Hayward przez radio. - Ale i tak będziemy mieli mnóstwo kłopotów z przejściem przez pociąg.

- Dlaczego?

- Proszę przyjść i zobaczyć.

Thomas z trudnością przecisnął się za nim przez uchylone drzwi kabiny aż do wagonu.

- Rany Boskie! - jęknął.

Wagon był nadal pełen ludzi.

- Niezły widok, co?

Thomas przesunął strumieniem światła po wnętrzu wagonu. Kilka osób nadal siedziało na ławach, ale większość stała stłoczona w przejściach. Wyglądali jak figury woskowe. Ich skóra dziwnie odbijała światło, jakby przysypana brokatem.

Szedł dalej przez nachylony pod kątem czterdziestu stopni wagon, czepiając się siedzeń i uchwyty, aż dotarł do najbliższego ciała. Był to dwudziestoletni chłopak w sportowym stroju. Thomas dostrzegł, że całe jego ciało pokrywała cienutka warstewka białych włókien - podobnych do substancji okalającej koniec porzuconej macki.

Oczy chłopaka były otwarte - wydawały się wpatrywać w Thomasa. W powietrzu unosił się obrzydliwy, słodkawy zapach.

Thomas poczuł, że zwymiotuje, jeżeli nie zaczerpnie świeżego powietrza.

Gromadząc resztki naukowej bezstronności i rezerwy, dotknął lekko ciała. Pod pajęczyną ciało było twarde, lecz kruche, tak jak u ofiar z Harpenden. Ale tym razem nie było pustą skorupą. Było pełne.

- Czy coś pan z tego rozumie, doktorze? - zapytał porucznik.

- Te ciała wyglądają na zakonserwowane w pewien sposób - stwierdził Thomas.

- Zakonserwowane? Chce pan powiedzieć, że ten stwór...?

- Tak, zupełnie jak wiewiórki gromadzą orzechy - Thomas roześmiał się ponuro. - Zamienił pociąg w spiżarnię. Zapewne jedną z wielu...

- Chryste!

- Doktorze - zapytał jeden z ludzi Cox-Haywarda. - Czy nie ma szansy, że ci biedacy tam są jeszcze żywi?

Thomas wiedział, o co chodzi żołnierzowi. Oczy ofiar wydawały się promieniować życiem. Ale głośno oznajmił:

- Nie, to niemożliwe. Przede wszystkim dlatego, że ich cała skóra skamieniała - nie są w stanie oddychać.

- Tak, ale...

- Nie żyją - powiedział Cox-Hayward stanowczo.

Chwiejnie przeszedł koło Thomasa i zaczął przepychać się między ciałami, brutalnie roztrzając je na wszystkie strony.

- Chodźcie! - rozkazał. - Mamy mało czasu. Tam na górze musi być już ciemno. To znaczy, że stwór niedługo się obudzi.

To, co nastąpiło teraz, było dla Thomasa jeszcze większą torturą, niż spacer wzdłuż grubej macki w tunelu. Szedł zaraz

za Cox-Haywardem między sztywnymi ciałami. Coraz trudniej było mu wierzyć, że naprawdę nie żyją.

Ich oczy szukały wzroku Thomasa pod plastikową szybą, cicho błagając o pomoc, a ręce zdawały się szarpać skafander.

Kiedy odniósł wrażenie, że widzi Annę w tłumie stojących ciał zrozumiał, że musi natychmiast wziąć w garść, inaczej załamie się zupełnie. Zamknął oczy i zmusił się do myślenia o czymś innym. O czymś przyjemnym...

Robin. Przywołał jej obraz z wczorajszej nocy, kiedy się kochali. Postanowił, że jak tylko wróci do Colindale odnajdzie ją i będą się znowu kochać. W jego biurze, na kanapie. Albo na podłodze.

Przewrócił ją brutalnie na plecy i poderwał na kolana.

- Co teraz? - spytała bezgłośnie, gdy skrępował jej dłonie i nogi w kostkach używając kawałków podartej bluzki. Mówiła z trudem - usta miała opuchnięte, bolała ją cała broda i podbródek. Podbił jej też lewe oko.

- Idę się wysrać - warknął z uśmiechem. - Nie chcę, żebyś zwiłała. Jeszcze z tobą nie skończyłem.

Zastanawiała się tępo, co planował jeszcze z nią zrobić. Nie, żeby ją to obchodziło. Już dawno miała to stadium za sobą. Było jej obojętne, gdyby ją teraz zabił. W pewnym sensie już to zrobił. Ta Robin Carey, którą tu przyciągnął czterdzieści pięć minut temu, już nie istniała. Umarła i odeszła. Mógł dobić również jej ciało.

Siedziała w rosnącej kałuży krwi i moczu na zimnej posadzce i patrzyła jak wchodzi do kabiny, spuszcza spodnie i siada. Zostawił otwarte drzwi, żeby mieć ją na oku. Wcale nie zamierzała zwiać. Nie była w stanie zebrać w sobie energii, aby mu to powiedzieć.

Uśmiechnął się głupkowato i zadowolony z siebie stwierdził:

- Już nie taka niedotykańska, co kochanie? Wiesz, gdybyś była trochę miłsza, tam na sali, to bym cię inaczej potraktował, rozumiesz?

- Oczywiście - powiedziała zmęczonym głosem. - Po prostu zgwałciłbyś mnie bez miażdżenia mi twarzy o podłogę... - Już nie mogła mówić dalej. Zaczął się śmiać.

- Kochanie, my dopiero zaczęliśmy. W tym starym kapucynie kołacze się jeszcze trochę życia. Popatrz.

Podniósł penis i pokazał jej. Znowu zaczął twardnieć.

Zamknęła oczy. Jego szyderczy śmiech odbijał się od ścian toalety... i nagle zmienił się w przeraźliwy wrzask.

Otworzyła oczy. Wił się i rzucał usiłując wstać.

Mięśnie ramion napięły się, a olbrzymia żyła na szyi zaczęła pulsować.

Patrzyła bez żadnego zainteresowania na jego rozpaczliwe wysiłki. Zastanawiała się tępo, czy to może atak padaczki. Niechby udławił się własnym językiem...

Wrzask ucichł i zamienił się w bulgot. Wtedy Robin zobaczyła coś niesamowitego. Jego ciało zaczęło więdnąć; mięśnie zwiotczały i robiły się jakby coraz mniejsze. Bluza ciasno opinająca jego szeroką pierś obwisała zupełnie luźno.

Spojrzała mu w oczy. Wpatrywał się w nią błagalnie, rozpaczliwie... Jego twarz nagle zapadła się niczym papierowa torba, zgnieciona czyjąś niewidzialną ręką. Pomarszczone ciało powoli znikało w muszli. Zostały po nim jedynie puste worki skóry z nóg - dostrzegła, że były obrzydliwie owłosione.

Coś zaszeptało jej w mózgu: „zwariowałam”.

W tym samym momencie drzwi sąsiedniej kabiny rozpadły się z trzaskiem i zobaczyła grubą, czarną mackę, która kiwała się przez parę sekund we wszystkie strony.

Zaczęła pełznąć w jej kierunku...

Rozdział 24

W czwartym wagonie Cox-Haywarda ogarnęło szaleństwo. Cierpliwość zawiodła go, gdy przepychali się przez wagon szczególnie zatłoczony skamieniałymi ciałami. Zaczął rabacje maczetą. Thomas patrzył, jak ciężkie ostrze obcinało ramiona, nogi, głowy...

Jednocześnie poczuł ulgę widząc, że opatulone kokonami postacie nie zawierały krwi, ani ciała. Gdy ostrze maczety cięło i siekało kokony, w górę wytryskiwały strugi żółtej, lepkiej cieczy, co ostatecznie rozwiało podejrzenia, że ludzie mogą być jeszcze żywi. Ich ciała zostały całkowicie strawione przez enzymy potwora.

Postępowanie Cox-Haywarda wywołało odrazę Thomasa. Szybko zrozumiał, że miało głęboki sens. Jedynie w ten sposób mogli przebić się przez pociąg. Kiedy porucznik osłabł, Thomas niechętnie przejął jego rolę, wymachując maczetą w tym samym, upiornym celu.

Nareszcie dotarli do pierwszego wagonu, parę stóp od kabiny maszynisty. Cox-Hayward przejął znowu prowadzenie i rozbijał ostatnie kokony. Jego biały skafander był teraz cały żółty od mazi tryskającej z uszkodzonych ciał. Tak samo wyglądały stroje Thomasa i reszty.

Porucznik usiłował właśnie rozbić drzwi. Thomas zerknął w ciemność przez potrzaskane szyby. Nie widział nic. Zastanawiał się, co czekało na nich za pociągiem. Tunel wiodący prosto do gniazda potwora? A może tylko ślepy korytarz?

Cox-Hayward zniknął w kabinie. Thomas wszedł za nim, przekraczając otoczone kokonem ciało maszynisty.

W dalszym ciągu nie widział, co znajdowało się z przodu, gdyż wszystkie szyby były spękane. Cox-Hayward wychylił się przez rozbite okno.

- Ja pierdołę! - wrzasnął.

- Co tam jest? Co pan widzi? - niecierpliwie dopytywał się Thomas.

- Nic. W tym cały problem. Proszę spojrzeć.

Cofnął się o krok, aby doktor mógł podejść. Thomas wysunął głowę przez okno. Wszędzie dokoła panowała ciemność. Kręcił głową na wszystkie strony, aby lampka oświetliła boki wagonu... o doznał szoku.

Przedni wagon wystawał ze skały, w której utkwiał. Nagle pojął, że po prostu wisieli w pustce. Złapał się mocno za boczne drzwi. Czy to tylko wyobraźnia, czy rzeczywiście wagon zadygotał pod stopami?

Dwaj pozostali żołnierze przepychali się ku kabinie. Thomas obawiał się, że dodatkowy ciężar może przeważać i spadną w przepaść...

Cox-Howard wyjaśniał swoim ludziom sytuację.

- Znajdujemy się w olbrzymiej grocie, tuż pod sklepieniem, pod nami jest tylko przepaść. - Zwrócił się do Thomasa.

- Doktorze, czy uważa pan, że to naturalna grota?

- Nie. Tak olbrzymia jama pod Londynem już dawno została wykryta. To ten stwór ją zrobił.

- Ale jak? To znaczy, co to zrobiło z ziemią? Zeżarło?

- W pewnym sensie tak - odparł Thomas - Wyssało związki krzemu ze skał i osadów, powodując ich zapadnięcie. Im więcej rośnie, tym więcej krzemionki pochłania. Musi

pobierać jej teraz olbrzymie ilości, sądząc po tempie wzrostu macek.

- Więc skoro to jego legowisko, gdzie do cholery podziewa się sam gospodarz? - dopytywał się jeden z żołnierzy.

- Nie mam pojęcia - odrzekł Thomas.

- Pewnie czai się gdzieś na dnie - ponuro stwierdził Cox-Hayward. - Zobaczymy, czy można go podpuścić, aby się pokazał.

Odczepił od pasa granat.

Thomas patrzył na to zmartwiony.

- Czy to na pewno mądry pomysł? Wstrząs może spowodować osypanie się ścian i spadniemy w dół...

- Rzucę go daleko w przód. Proszę przygotować swoje magiczne pudło, doktorze.

- Dobra - zgodził się. - Mam nadzieję, że pan wie, co robi.

Otworzył walizkę i wyjął jedną z fiolek. Cox-Hayward otworzył drzwiczki kabiny i wychylił się.

- Proszę powiedzieć, kiedy pan będzie gotowy.

Thomas szybko naładował broń.

- Już - oznajmił.

- Pięć sekund - poinformował ich.

Gdzieś daleko ujrzeni rozbłysk i usłyszeli stłumiony wybuch. Thomas czekał w napięciu, ściskając w dłoni pistolet. Ulżyło mu wyraźnie, gdy wagon nawet nie drgnął.

- Widzi pan coś? - zapytał Cox-Hayward.

- Nic a nic.

Sekundę później czarna macka owinęła się wokół Cox-Haywarda i wyrwała go przez drzwi prosto w ciemność.

Thomas był zbyt osłupiały by zareagować. Po prostu klęczał tam wsłuchując się w przeraźliwy krzyk Cox-Haywarda w słuchawkach. Krzyk zdawał się trwać bez końca.

Jeden z SAS-owców przeklinając, usiłował odepchnąć Thomasa od drzwi, ale doktor zablokował mu drogę.

- Muszę mieć miejsce na strzał! - wykrzyknął.

Ostrożnie wychylił się, trzymając nabitą broń.

Ciemności pochłonęły promień lampy. Nic się nie poruszyło. Zastanawiał się, czy nie zaryzykować strzału na oślep, w pustkę... Lepiej nie, mógłby w nic nie trafić...

I wtedy to dojrzał. Na samym końcu smugi słabego światła. Jakiś ruch.

Przesunął światłem dookoła. To było wszędzie. Wielkie, olbrzymie... Wznosiło się z dna przepaści ku niemu.

Robin szarpała supeły na kostkach. Złamała trzy paznokcie, ale supeł w końcu puścił. Poderwała się. Widok macek w kabynie obudził w niej instynkt życia. Nie mogła dopuścić, aby spotkała ją taka śmierć jak Kevina...

Ze związanymi dłońmi dopadła drzwi i szarpnęła je. Coś zimnego dotknęło jej nagich pleców. Wrzasnęła i wypadła na korytarz. Poślizgnęła się i upadła, raniąc się boleśnie w kolano. Wstała i pobiegła dalej.

Dookoła wszędzie słyszała krzyk. Dochodziły przede wszystkim z kotłowni. Wbiegła tam i zamarła. Macki znajdowały się wszędzie. Przebijały się przez podłogę.

Ciężko ranni nie mogli uciec - leżeli bezradnie, atakowani przez stwory. Kilku zginęło na miejscu, wysساني jak Kevin, inni byli wciągani pod ziemię przez dziury wybite w podłodze.

Robin przypominała sobie o dzieciach.

Rzuciła się w sam środek koszmaru. Przeskakiwała płata-
ninę ciał i macek. Musiała dostać się do dzieci.

Pielęgniarka schwytała przez jedną z macek złapała ją za
ramię. Robin szarpnęła się ku niej. Zapadła cisza. W końcu
malutka dziewczynka pokazując ją palcem, oznajmiła oskar-
życielskim tonem:

- Brzydko pani wygląda.

Robin prawie wybuchnęła śmiechem. Zapomniała, że była
naga. Co teraz? Macki jeszcze tu nie dotarły, ale wkrótce
przybędą. Jak zabrać te dzieciaki w bezpieczne miejsce?

Stała, Zastanawiając się co robić dalej, gdy nagle usłyszała
złowieszczy łoskot i wielki kawał podłogi wystrzelił w górę.
Cement rozpadł się w kawałki tak łatwo jak domek z kart.
Olbrzymia macka wtargnęła do sali...

Dzieci zaczęły wrzeszczeć. Robin też. Ciągłe krzycząc,
rzuciła się bez zastanowienia naprzód i złapała mackę. Pod
palcami czuła jej oślizgłą grubość i przerażającą siłę. Wiedzia-
ła, że nie ma żadnej szansy na wygranie tego pojedynku, ale
walczyła dalej. Oby tylko udało się chociaż na chwilę utrzy-
mać mackę z dala od dzieci i dać im czas na ucieczkę.

- Uciekajcie! - krzyknęła. - Uciekajcie!

Było przezroczyście. Ogromna, przezroczysta kopuła. Jej
błona połyskiwała, a pod nią widział pulsujące kształty i cienie
żyjące jakby własnym życiem. Kępy czarnych macek wyrasta-
ły z kopuły niczym włosy z gigantycznej głowy. Potwór przy-
pominał olbrzymią, gąbczastą meduzę.

Poczuł mdłości. Ogarnął go strach, gdy potwór podnosił się
coraz wyżej i wyżej w jego kierunku. Był tak przerażony
ogromem potwora, że prawie zapomniał wystrzelić.

Kiedy kilkanaście macek zaczęło wic się ku niemu, odzyskał panowanie nad sobą. Pociągnął za spust. Dwaj SAS-owcy stali jak skamieniały za jego plecami. Trzęsącymi się rękami nabił broń ponownie i wystrzelił drugą strzałę w zbliżającą się galaretowatą masę. Potem trzecią...

Stwór znieruchomiał. Jego pulsująca błona znajdowała się w odległości około dwudziestu stóp od Thomasa. Jedna z macek owinęła się wokół wagonu. Thomas poczuł drżenie podłogi pod stopami. Wystrzelił ostatnią strzałę.

Inna macka, szara, wiła się w jego kierunku. Był bezbrony. Nie miał więcej strzał. Poczuł coś ciepłego, wilgotnego w spodniach - zrozumiał, że zmoczył się ze strachu.

Szara macka nagle opadła. Patrzył, jak spada na cielsko potwora. Dostrzegł drgawki wstrząsające przezroczystą błoną. Pulsowanie odrażających kształtów stało się bardziej konwulsyjne. Kolejne macki rzucały się gwałtownie w górę, po czym opadały bezładnie i znieruchomiały.

Na błonie pojawiło się pęknięcie, które szybko osiągnęło wielkość rozpadliny. Strumień lepkiej, czarnej mazi strzelił w górę. Krople ochlapały strój Thomasa.

Nigdy nie przypomniał sobie, co się wydarzyło później. Przez chwilę miał wrażenie, że coś rzuca się na niego, a coś ciągnie go w tył. Półświadomie zrozumiał, że to któryś z SAS-owców wyciągnął go z kabiny. Słyszał dźwięk rozdieranego metalu i czuł drżenie podłogi.

Gdzieś daleko słyszał inny dźwięk - pisk tak wysoki, że niemal sięgający ultradźwięków. Później zastanawiał się, czy to krzyczał stwór, czy on sam.

Ekipa dziennikarska CBS krążyła nad Piccadilly helikopte-rem Augusta Bell 204. Mieli nie tylko widok na ostatnie drgawki stwora, ale także zarejestrowali je na taśmie...

Amerykańscy dziennikarze najpierw zobaczyli coś, co wyglądało jak wielka eksplozja między Oxford a Piccadilly Circus. Budynki po obu stronach ulicy wznosiły się w powietrze, po czym spadały na ziemię, rozbijając się w kawałki. Chmura kurzu i dymu przesłoniła wszystko.

W parę sekund później zobaczyli olbrzymi kształt wynurzący się z dymów. Tak jak Thomasowi, wszystkim przypominał olbrzymią, odrażającą meduzę. Stwór ciągle wznosił się w górę...

Bulwiasta, gąbczasta masa przypominała teraz lodygę, z której wyrastały macki. Największa z nich zniknęła pod ziemią, inne, mniejsze i krótsze, unosiły się w powietrzu. Stwór rósł i rósł aż do wysokości czterystu stóp...

Wyglądał jak gigantyczny fallus.

Nagle napięta błona na szczycie olbrzymiej kolumny pękła i z potworną siłą potoki lepkiej mazi rozprysnęły się we wszystkich kierunkach...

Macki wolno opadały i zasłały prawie całą Regent Street, niszcząc przy okazji wszystkie domy. Strefa zniszczeń rozciągała się od Beak Street aż do Golden Square.

Helikopter CBS kołował nad tym terenem. Chmura kurzu i dymu rozwiała się i mogli zobaczyć resztki potwora. Nic nie poruszyło się w ruinach zburzonych domów.

Stwór nie żył.

Robin straciła oddech. Zwoje macki zginały jej piersi, zaś ostry czubek wędrował po ciele szukając dogodnego wejścia. Wiedziała, że tylko sekundy dzielą ją od potwornej śmierci. I wszystko na nic. Te durne bachory nie uciekały. Stały wokół niej zdrętwiałe ze strachu...

Macka nagle zwiotczała.

Cieężko dysząc uwolniła się z jej oślizgłych zwojów. Co ten stwór robił? Bawił się z nią? Nie, leżał nieruchomo na podłodze. Odpełza dalej obawiając się, że w każdym momencie może wrócić mu życie.

Długie sekundy wolno zmieniały się w minutę. Stwór leżał nieruchomo. Zobaczyła, że błona zaczyna pękać, a ciemna maź wypłynęła na podłogę.

Dzieci płakały. Niektóre wręcz wrzeszczały. Wstała, ale natychmiast osunęła się na podłogę. Nasłuchiwała uważnie. Oprócz jęków dochodzących z oddali panowała cisza. Żadnego śladu macek.

Kazała dzieciom zostać w pokoju, a sama niechętnie poszła z powrotem do kotłowni...

Nie przyglądała się szczątkom ludzkim, patrzyła tylko, czy były tam macki. Leżały wszędzie, gnijąc i rozkładając się jak ta w żłobku.

Naprawdę koniec.

Świadomość tego uderzyła jak obuchem. Zachwiała się. Jej umysł poddał się i przestał walczyć; wszystkie mechanizmy obronne puściły. Osunęła się na podłogę i siedziała tam kołysząc się jak przy chorobie sierocej, nucąc coś bezgłośnie. Siedziała tak godzinę później, kiedy odnalazła ją ekipa ratunkowa.

Thomas niewiele pamiętał ze swojej drogi na powierzchnię. Kiedy wspinał się z powrotem przez pociąg, jego umysł odpłynął gdzieś daleko i stracił poczucie rzeczywistości. Dwaj SAS-owcy musieli go nieść przez resztę drogi. Jakoś dociągnęli go do szczytu tunelu i tam udało im się przywrócić mu przytomność. Mimo to nadal czuł się jak ogluszony, kiedy prowadzili go przez tunel na Oxford Circus - droga powrotna na Piccadilly Circus była nie do przejścia.

Widzieli mnóstwo macek po drodze - wszystkie leżały nieruchomo. Stacja Oxford Circus była pełna rozkładających się macek, a schody lepiły się od czarnego, cuchnącego śluzu.

Kiedy wytoczyli się ze stacji, Thomas znowu zemdlął. Odzyskał przytomność dopiero w helikopterze wojskowym. Pochylał się nad nim lekarz ze strzykawką.

- Mały zastrzyk supraseniny, doktorze - oświadczył lekarz. - Jak się pan czuje?

Thomas nagle odzyskał jasność umysłu. Złapał faceta za ramię i natarczywie dopytywał się:

- Co się stało? Czy te wszystkie stwory nie żyją? Naprawdę?

- Z pewnością na to wygląda - odparł lekarz. - Zdaje się, że cokolwiek tam zrobiliście, zadziałało. Szkoda tylko, że nie zrobiliście tego trochę wcześniej...

- Nie rozumiem?

- Te stwory zaatakowały dziś wieczór cały Londyn - daleko poza granicami strefy zagrożenia. Atak nie trwał długo dzięki wam, ale cholernie dużo ludzi zginęło.

- Ach! - Thomas westchnął załamany. Ale przecież dał z siebie wszystko. Inni też. Nie było sposobu, aby dotrzeć do stwora wcześniej...

Lekarz oznajmił:

- Dam panu kolejny zastrzyk. Glukoza z wodą. Cierpi pan na odwodnienie.

Thomas skinął głową i wyciągnął rękę. Lekarz wbił igłę i spytał:

- Myśli pan, że tych pieprzonych potworów jest więcej?

Thomas był zdziwiony.

- Co takiego?

- Słyszałem, że może być ich więcej w innych częściach świata. Głęboko pod ziemią. W letargu, tak jak ten, ale mogą się zbudzić. Ta teoria ma chyba ręce i nogi. Myśli pan, że jest ich więcej?

Thomas westchnął.

- Tak sędzę.

Gdy helikopter dotarł do Colindale, Thomas czuł się o wiele lepiej. Glukoza pomogła. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy zobaczy Robin. Duch Anny ciągle majaczył gdzieś w oddali, ale poczucie winy i ból zmniejszyły się, tak jak się tego spodziewał. Teraz mógł znowu myśleć o życiu. Dla niego życiem była Robin.

Przypomniawszy sobie, co postanowił w pociągu metra; że znajdzie Robin tak szybko, jak tylko będzie mógł, że pójda do jego biura i będą się kochać. W cholerę z oficjalnym raportem, pomyślał z uśmiechem. Miał własny, prywatny raport do zdania w pierwszej kolejności.

Miał nadzieję, że będzie miała na to ochotę.